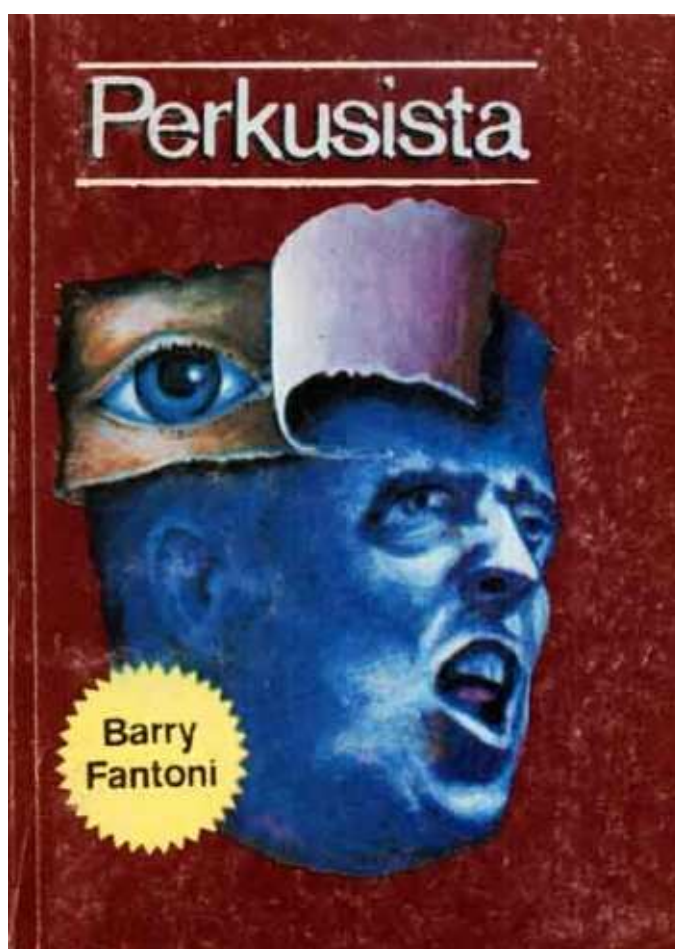


**BARRY FANTONI**

# **PERKUSISTA**

TYTUŁ ORYGINAŁU: STICKMAN  
PRZEKŁAD: ANNA BRZEZIŃSKA



KRAJOWA AGENCJA WYDAWNICZA • WARSZAWA • 1989

# 1.

Było to tego lata, kiedy czerwonym trafiła się bomba atomowa, a McCarthy'emu trafili się czerwoni. Każdemu coś się wtedy trafiło, nawet mnie. Mnie przypadło w udziale metr sześćdziesiąt kłopotu zwanego Nancy Canady, ale nie powiem, żebym się zmartwił.

W owym czasie wynajmowałem skromne mieszkanie nad barem Charliego i prowadziłem swoją agencję detektywistyczną w dwóch wynajętych klitkach na trzecim piętrze biurowca po przeciwnej stronie ulicy. Z wybiciem północy Nancy Canady złapała mnie telefonicznie w domu i namówiła na spotkanie o ósmej trzydzieści rano.

Cudem jakimś zwlokłem się z łóżka i zasiadłem za biurkiem dwie minuty przed ustalonym terminem. Nancy Canady zjawiła się dwie godziny później. Co jakiś czas dzwoniła, by donieść mi o kolejnej komplikacji. I tak najpierw trolejbusy przestały kursować po Broad Street, potem w całej Filadelfii zabrakło taksówkarza skłonnyego pojechać na południe od Locust, aż wreszcie ktoś usunął Tasker Street z planu miasta. Za każdym razem przeproszała, że tracę przez nią czas, i wyrażała nadzieję, że nie będę zły, jak już się spotkamy. Za każdym razem odpowiadałem, że przecież to swój czas traci i że jak już dotrze, powitam ją szerokim, przyjaznym uśmiechem. Gdy zadzwoniła po raz piąty, zaproponowałem, że wyślę po nią psa gończe.

O dziesiątej trzydzieści pięć dzwonek u drzwi mojego biura obwieścił jej przybycie. Warto było dla niej wstać skoro świt. Nancy Canady bez słowa przemierzyła gabinet zdecydowanym, acz swobodnym krokiem dobosza w spódnicy, ale bez śladu fanfaronady. Nie musiała się przy tym uciekać do pomocy najwyższej pary obcasów, jakie przybija się do butów, jeśli butami nazwać można kilka wąskich pasków białej lakierowanej skóry, przyklejonych do podeszwy wielkości biletu tramwajowego.

Twarz miała bardziej pociągłą i subtelną, niż to się zwykle spotyka u młodych kobiet drobnej budowy; obce jej były bzdurne minki typu zadzieranie perkatego noska, opatentowane przez Shirley Temple. Jej skóra była nadzwyczaj blada, a krótko przycięte ciemne włosy z grzywką osłaniały długą, smukłą szyję i opadały długimi kosmykami na jej bladozielone oczy. Nosiała kloszową, odsłaniającą ramiona jaskrawożółtą sukienkę, która — jak wszystkie drogie kreacje — więcej mówiła o nabywcy niż o projektancie. Starsze kobiety, mające najlepsze lata za sobą, z zazdrością określiłyby ją jako „ładną małą”. Ale powiedzieć o Nancy Canady, że jest ładna, to tak, jak nazwać Conrada Hiltona zwykłym hotelarzem.

— Cześć! — powitałem ją, kiedy rzuciła sfatygowaną torbę podróżną na podłogę i zajęła miejsce dla klientów. — Miło, że pani dotarła.

Nancy Canady zrewanżowała się niezobowiązującym „cześć”, sięgnęła do torby i zaczęła grzebać w stosie ciuchów, przeważnie z plisowanych koronek i czarnego atlasu, jakie noszą kelnerki. W końcu znalazła to, czego szukała i wyciągnęła zmiętoszoną paczkę pall malli z filtrem. Odszukanie zapalniczki sprawiło jej jeszcze więcej kłopotu. Kiedy szperała w torbie, wstałem i obszedłem biurko. Wyciągnąłem zapalniczkę z kieszeni, niedbale skrzesalem kciukiem ogień i podsunąłem płomień pod jej mały, prosty nos.

— Z najlepszymi życzeniami od Agencji Detektywistycznej Mike'a Dime'a — powiedziałem.

Wsunęła papierosa do ust, pochylila się niepewnie i zaciągnęła głęboko. Rezultatem był napad kaszlu. Spłonęła rumieńcem i wygięła brwi w bolesny łuk.

— Jeżeli pan jest detektywem, to może by tak przeszedł pan do pytań, zamiast stać i się gapić — wykrztusiła.

Wróciłem za biurko, zdjąłem marynarkę i powiesiłem ją na oparciu krzesła. Usiadłem.

— Mnie też pierwszy pet z rana rzuca na kolana — rzekłem podsuwając jej popielniczkę.

czkę.

— Dym mi źle wpadł, nie byłam przygotowana — odparła i zgasiła papierosa.

Pokiwałam głową ze współczuciem.

— A może by tak przestała pani robić wrażenie na mnie i na sobie, panno Canady, i powiedziała mi lepiej, o co chodzi?

— Wody! — jęknęła i znowu zaniósła się kaszlem. — W gardle mi całkiem zaschło.

Miałem wodę w lodówce. Napełniłem i podałem jej plastikowy kubek. Kiedy popijała, podszedłem do szafki z aktami i wysunąłem dolną szufladę.

— Chce pani coś na wzmocnienie? — zapytałem podnosząc butelkę z resztkami seagrams V.O., którą trzymałem dla specjalnych klientów.

Rozszerzyła oczy.

— O tej porze pije pan czystą whisky?

— Tylko jak jestem na czczo — wyjaśniłem wracając z butelką do biurka. — Zwykle gotuję na niej owsiankę. — Wyrzuciłem spinacz i znaczek pocztowy z biurowej szklanki i nalałem sobie solidną miarkę. — Za abstynencję — rzuciłem, puszczając do niej oko, po czym rozsiadłem się wygodnie. Podnosząc szklankę do ust przyglądałem się, jak jadeitowe oczy Nancy Canady śledzą jej drogę. — Skąd pani pochodzi — zapytałem. — Nikt, kto się tu urodził, nie mógłby błędzić przez całe dwie godziny. Tu nie ma się gdzie zgubić. Łatwiej znaleźć drogę w Filadelfii niż wykrzesać uśmiech ze stewardesy.

— Nie pańska sprawa, skąd pochodzę — odcięła się niepewnie. — Dlaczego pan pyta?

— Czasami dobrze jest wiedzieć to i owo o kliencie. Ale nigdzie nie jest napisane, że musi mi pani odpowiadać.

— Zanim zostanę pańską klientką, sama chciałabym zadać panu kilka pytań — oświadczyła Nancy Canady krzyżując smukłe nogi. W jej głosie pobrzmiwał lekki akcent z Nowej Anglii.

Wysuszyłem szklankę i postawiłem ją na środku biurka.

— Śmiało. Nie mam tajemnic.

— Otóż — rozpoczęła, po raz pierwszy patrząc mi prosto w oczy — co konkretnie pan robi jako detektyw?

— Chodzi pani o to, w czym się specjalizuję?

— Można i tak to ująć.

Zapaliłem papierosa, złożyłem usta w kółko i wypuściłem długą smugę dymu.

— Przyjmuję różnego typu sprawy — wyjaśniłem. — Głównie rozwodowe. O tej porze roku mam ich najwięcej, a to z powodu długich gorących nocy i równie gorącej krwi. Można powiedzieć, że to epidemia sezonowa.

— To wszystko? — W jej głosie zabrzmiało rozczarowanie. — Tylko rozwody?

— Dzięki nim płacę czynsz, panno Canady — rzekłem. — Ale raz dostałem propozycję od Mickey Rooneya.

Znów rozszerzyła oczy. W ten sposób wyglądały jeszcze bardziej urzekająco.

— Od Mickey Rooneya? Tego gwiazdora? A na co mu był prywatny detektyw?

Wypuściłem więcej dymu.

— Chciał, żebym przetrząsnął Hollywood w poszukiwaniu takiej, z którą się jeszcze nie ożenił.

Nieśmiało podniosła rękę do ust i roześmiała się szczerze, odsłaniając równe białe ząbki.

— Wydaje mi się, że pan nie bierze życia na serio, panie Dime — powiedziała. — Skąd mogę mieć pewność, że jest pan dla mnie właściwym człowiekiem?

— Zależy, co pani zrobiła.

Skrzyżowała nogi odwrotnie i spojrzała na szkarłatny paznokieć u swego dużego palca.

— Właściwie to mój przyjaciel potrzebuje pomocy — rzekła. — Nazywa się Chuck

Western. Być może słyszał pan o nim. Jest perkusistą w zespole Lucky Moonsa... a raczej był, zanim aresztowała go policja.

— A co takiego zrobił, wypadł z rytmu?

Puściła to mimo uszu.

— Oni twierdzą, że zastrzelił człowieka, właściciela klubu, w którym pracował.

— A Chuck twierdzi, że tego nie zrobił?

— Ja wiem, że on tego nie zrobił — oświadczyła kategorycznie. — Czasami jest humorzasty. Huśtawka nastrojów. Tacy już są muzycy. Ale Chuck nikogo by nie zabił.

Siedziała nieruchomo, mówiąc głosem cichym, lecz stanowczym. Taki głos miło wpada w ucho.

— Czy ten pani Chuck siedzi w więzieniu?

Kiwnęła głową.

— Czyli że gliny muszą mieć całkiem solidne dowody.

— Chuck mówi, że ktoś go musiał zrobić. To jedyne wytłumaczenie.

— Albo tak, albo zakochała się pani w nieodpowiednim mężczyźnie.

— Czy to aż tak widać? — spytała, a prawa strona jej noska ni to drgnęła, ni to podskoczyła. Tak, jak u króliczka.

— Wcale nie widać, panno Canady, ale jaki inny powód mógłby tu panią sprowadzić?

Nieprzerwany szum porannego ruchu wypełniał gorącą, zakurzoną ulicę za miastem. Rozpiąłem koszulę pod szyją i rozluźniłem krawat.

— Pozwoli pani, że powiem, co z tego rozumiem jak na razie.

Zduśiłem papierosa i pochyliłem się, opierając na łokciach.

— Zaczniemy od tego, że zadzwoniła pani z knajpy, gdzie ludzie zagłuszali naszą rozmowę przepisami na sto jeden sposobów przyrządzania befsztyków.

— Ludzie często dzwonią z restauracji — wtrąciła szybko.

— Jasne, ale rzadko kiedy umawiają się z prywatnym łapsem w porze, kiedy reszta świata mocuje się z nakrętkami pasty do zębów. — Wskazałem kciukiem za siebie. — Proszę wyjrzeć przez okno, panno Canady. Sierpień w całej krasie. Słońce nie znika z nieba ani na sekundę, a jednak na pani skórze nie widać jego działania. Nawet wampiry mają opaleniznę.

Lewa strona jej noska drgnęła.

Przyjrzałem jej się bacznie.

— Na mój gust pracuje pani na dwie zmiany w tych czarnych pończochach i plisowanym białym kapeluszu, z którym się pani nosi, i odkłada pani każdy ciężko zarobiony grosz.

Jej milczenie powiedziało mi, że mam rację.

— Jeśli dziewczyna o pani urodzie pracuje tak ciężko, to nie dla siebie — dodałem.

— Nie rozumiem.

Zakręciłem butelkę seagramsa i schowałem ją do szuflady biurka.

— To proste — wyjaśniłem. — Piękna młoda kobieta zawsze da sobie radę. Mało tego, może się nawet całkiem wygodnie urządzać. Nie musi nic robić, żeby znalazło się mnóstwo facetów gotowych wyrzucać forszę szybciej niż Jolson sprzedaje swoje płyty. Ale tacy nie dają gotówki. Szarpną się na futra, brylanty, ale nie wysupłają ani grosza, żeby nie wydała tego na innego gościa. — Przerwałem i zapaliłem kolejnego papierosa. — Z mojego stołka patrząc, Chuck Western jest wypisany na pani twarzy jak nazwa firmy na tablicy ogłoszeń.

Gęsta grzywka panny Canady przesłaniała jej oczy niczym falbanka z czarnego jedwabiu. Nancy uniosła rękę, grzechocząc tęczą plastikowych bransoletek, i otwartą dłonią odgarnęła włosy z białego, gładkiego czoła.

— Na wypadek, gdyby zgodził się pan nam pomóc, ostrzegam, że nie udało mi się dużo odłożyć — powiedziała.

Strząsnąłem popiół z papierosa.

— Dużo to rzecz względna, jeśli mowa o pieniądzech. Dla jednego majątek to adres w

Beverly Hills. Dla innego — możliwość nakarmienia rodziny od czasu do czasu.

— Jeśli chodzi o pieniądze, jestem beznadziejna — wyznała Nancy Canady. — Wychodząc rano z domu miałam przy sobie pięćdziesiąt trzy dolary. Myślałam, że to wystarczy na zaliczkę.

Jej rzęsy opadły i zatrzepotały.

— Moja świnka trzymała się dzielnie aż do rogu Osiemnastej i Walnut. A potem wpadłam na to.

Uniosła rąbek sukienki, którą miała na sobie.

— Co mogę dostać za trzy dolary i siedemnaście centów? — zapytała niewinnie.

— Bilet w jedną stronę, z dala od mnóstwa kłopotów — odparłam. — Na stacji przy Trzynastej sprzedają je na pęczki. Zadzwoń po taksówkę.

Uniosłem się z krzesła, lecz wyraz jej oczu powiedział mi, że tylko tracę czas. Siadłem więc z powrotem i odłożyłem papierosa, by dopalił się na brzegu popielniczki. Następnie wziąłem ołówek i zapisałem datę w lewym górnym rogu notatnika.

— No dobrze, panno Canady. Proszę mi wszystko opowiedzieć.

Znów pociągnęła noskiem i splotła ramiona.

— Chuck siedzi w więzieniu już ponad cztery tygodnie, a tymczasem jego obrońca ani razu nie złożył mu wizyty! — rozpoczęła z oburzeniem. — Być może się mylę, ale uważam, że nawet nie kiwnął palcem w sprawie Chucka.

Wyraziłem swe zatroskanie unosząc brwi o jakieś ćwierć do pół centymetra.

— Co więcej, Louis Botubot — to ten adwokat — kłamie — ciągnęła. — Raz, kiedy jego sekretarka powiedziała mi, że go nie ma, zaczekałam w barze naprzeciwko. Godzinę po moim telefonie zobaczyłam, jak wychodzi z biura.

— To jeszcze niczego nie dowodzi — powiedziałem starając się ukryć śmiertelne znużenie. — Adwokatom nie płaci się za mówienie prawdy.

Nancy Canady miała na szyi zawiązaną na supeł jaskrawoczerwoną apaszkę, tego samego koloru co lakier na paznokciach, skórzany pasek otaczający jej mikroskopijną talię i klipsy w kształcie spiralnie zwiniętych makaroników. Teraz szarpnęła za jeden z końców chusteczki i zaczęła miętosić go kciukiem i palcem wskazującym.

— Popytałam tu i tam i, o ile wiem, Louis Botubot nie zrobił absolutnie nic w sprawie Chucka. Gdyby proces rozpoczął się jutro, obrońcą równie dobrze mógłby być Kaczor Donald. Szczerze mówiąc, on chyba uważa, że Chuck jest winny... zresztą wszyscy chyba tak sądzą.

— Czy proponował, żeby Chuck przyznał się wprost do winy?

— On nic nie proponuje, właśnie to nas doprowadza do szału! — Westchnęła krótko, z rezygnacją, i potrząsnęła głową. — Doszło do tego, że zaczęliśmy się zastanawiać nad zmianą obrońcy.

— Nierozsądnie — rzekłem. — To zawsze źle wypada, gdy prokurator okręgowy informuje sąd, że oskarżony wywalił swoją papugę. Zawsze obraca się to przeciwko pani, nawet jeśli były po temu uzasadnione powody. W dodatku na tym etapie wystawianie Chucka na sprzedaż nie daje najmniejszej gwarancji, że zdażycie przygotować obronę, nawet gdybyście znaleźli kogoś, kto nie gardzi towarami z drugiej ręki.

Jej nosek znów drgnął.

— Nie bardzo rozumiem, czego pani chce ode mnie — podjąłem — może poza tym, żebym się pokręcił koło tego całego Botubota i stwierdził, czy rzeczywiście bumelował, zamiast zająć się Chuckiem.

Nancy Canady uderzyła w krawędź biurka piąstką niewiele większą od piłki do golfa.

— Chcę, żeby ktoś udowodnił prokuratorowi okręgowemu, Louisowi Botubotowi, policji i w ogóle wszystkim zainteresowanym, że Chuck Western jest niewinny. Chcę, żeby jakiś zgrzybiały sędzia wydając wyrok na „zabójcę szefa klubu »Dżungla«” nie skazał niewłaści-

wego człowieka. Chcę, żeby Chuck wyszedł z więzienia i wrócił do perkusji, żeby znów był wesoły i beztrojski jak zawsze. I chcę, żeby całą tę okropną pomyłkę sprostowano, zanim będzie za późno.

Rozsiadłem się wygodnie.

— To wszystko? — zapytałem uprzejmie. — A już myślałem, że chce mi pani zlecić coś trudnego.

Zwróciła na mnie łagodne zielone oczy. Łzy tylko czekały na sygnał, by spłynąć po jej bladych policzkach.

— Perspektywa, że Chuck pójdzie na krzesło elektryczne za zbrodnię, której nie popełnił, to nic do śmiechu — powiedziała z naganą w głosie.

— Proszę. — Rzuciłem jej ołówek i odwróciłem notatnik na biurku w jej stronę. — Melina Botubota. Pani zapisze adres.

— Czy to oznacza, że można liczyć na pańską pomoc? — zapytała opierając się łokciem o blat biurka. Nie czekając na odpowiedź, zaczęła coś bazgrać dużym, zamasztywym piśmem.

— Pomoc to za duże słowo — odparłem biorąc od niej notatnik. — Przycisnę szacownego Louisa Botubota i zobaczę co z tego wyniknie. Od tego zaczniemy.

— To słodko z pańskiej strony. — Rozprostowała nagie ramiona. Pełne i delikatnie zaokrąglone, nie przypominały ramion chłopczycy. Opalenizna nie potrzebna — ich bladość była doskonała. — Kiedy się pan do niego wybierze?

— Jak tylko się od pani dowiem, co to, u licha, ma znaczyć? — odrzekłem wskazując na jej bazgroły.

Przeżytała mi na głos, powoli i wyraźnie, akcentując wszystkie samogłoski.

— Louis Botubot, „Botubot i Botubot”, radcy prawni, gmach Fiska osiemnaście sześćdziesiąt siedem. To ten wysoki budynek na rogu Trzynastej i Market.

— Wiem, gdzie jest gmach Fiska — przerwałem jej. — A te gryzmoły na dole to pewnie numer telefonu?

Nancy Canady skinęła głową.

— Gruba ryba, ten Louis Botubot — mruknąłem. — Nasz Chuck musi nieźle wychodzić na waleniu w bębny.

— On jest najlepszym perkusistą w całym mieście. Powinien go pan kiedyś posłuchać.

— Jasne — przytaknąłem z uśmiechem. — Dam się posadzić i dołączę do więziennej kapeli. Na grzebieniu jestem prawdziwy wirtuoz.

Myślałem, że rzuci się na mnie, ale puściła to mimo uszu. Głowiła się nad czymś, przesuając czubkiem małego palca tam i z powrotem po dolnej wardze.

— Ja naprawdę mam tylko kilka dolarów — powiedziała w końcu. — Ale potrafię oszczędzać, jeśli muszę. Może mi pan wierzyć.

Wstałem, odsunąłem krzesło i obszedłem biurko.

— O forsie niech pani zapomni — rzekłem zbliżając się do niej. Pachniała piżmem i poziomkami. — Biorę pieniądze tylko za wyniki, a sądząc z obrazu, jaki mi tu pani odmalowała wąpnię, czy za to, co zdziałam, uda mi się kupić precla na rogu.

— Nie jestem taka. Zapłacę, jeśli poświęci pan dla mnie swój czas. — Przerwała. — Proszę mi powiedzieć, ile pan sobie liczy.

— Dwadzieścia pięć dziennie plus wydatki... wliczając w nie kawę, benzynę i żyletki na wypadek, gdybym musiał się gdzieś zatrzymać. Dla jasności, jest to przeciętna stawka wśród tych, którzy pracują poza obrębem południowej Filadelfii. Ale o tym pewnie już pani wie, jeżeli odwiedziła pani innych tajniaków w okolicy.

Stanąłem tak blisko, jak gdybym chciał sięgnąć jej na kolanach.

— Pan jest pierwszym detektywem, do którego się zwróciłam — wyznała otwarcie. Jej usta znajdowały się na poziomie mojej piersi. Miały rzadko spotykany kształt — wygiętego

łuku Kupidyna z górną wargą przeciętą na dwa kanciaste łuki, jak gdyby dziabnął w nią płaski pędzel Cezanne'a. Ich barwą był naturalny śmietankowy róż, kolor bardzo starych, bardzo gładkich cegieł oglądanych w promieniach słońca u schyłku jesieni.

Instynktownie ująłem ją zgiętym palcem pod brodę i zadarłem jej głowę do góry. Rozchyliła usta. W powstałej szczelinie z trudem zmieściłby się dziób kolibra.

Nancy Canady szarpnęła głową i wymierzyła mi policzek z siłą, jakiej nie spodziewałbym się po kimś jej postury.

— Dość tego! — zezłościła się nie na żarty. — Jeśli zechcę się zachowywać jak dzikwa, sama dam panu znać.

— Wolnego! — rzuciłem masując szczękę. — To tak się traktuje bohaterów wojennych?

— Niech mi pan o tym przypomni, jak się spotkamy w metrze — odcięła się cierpko. — Ustąpię panu miejsca.

Wstała, przesunęła palce przez ucho torby podróźnej i skierowała się do drzwi. Na środku starego, wytartego linoleum zatrzymała się i odwróciła. Zapadła krótka cisza, po czym uśmiechnęła się. Nic specjalnego, ale zawsze to uśmiech.

— Ten ostatni gryzmoł na samym dole to mój numer domowy — powiedziała. — Zanim go pan rozszyfruje, z pewnością pan ochłonie. — Uśmiechnęła się szerzej. Nikt nie uśmiechał się równie swobodnie i nikt nie wyglądał równie ślicznie. — A swoją drogą — dorzuciła — ten garnitur, w którym stara się pan wyglądać elegancko, to nie pański kolor. Mężczyźni o takich oczach jak pan powinni nosić ubrania jasnoszare i dawać je do prasowania od czasu do czasu. Jak na swoje lata prezentuje się pan wcale nieźle i być może znalazłoby się nawet kilka kobiet, na które podziała pański niewyszukany, samczy urok.

— Ale pani do nich nie należy?

Nancy Canady wyciągnęła z torby różowobrazowe okulary przeciwsłoneczne w grubej oprawie, rozmiarem przypominające opony traktora, i upozowała je na nosku.

— Niech pan nie zapomni zadzwonić — rzuciła i krótkimi, pewnymi krokami uniosła swe zgrabne kostki z mojego poranka.

Znałem Nancy Canady zaledwie od pół godziny, czyli krócej niż trwa zdrapanie gumy do żucia z podeszwy, a jednak miałem wrażenie, że rozpoczęła nowy rozdział w moim życiu. Spotkanie z nią sprawiło, że poczułem się niedoświadczony i niepewny, jak gdyby zmieniły się zasady gry i od początku miałbym się uczyć, jak to jest, kiedy nazywasz się Mike Dime.

## 2.

Na moim zegarku wciąż jeszcze było wcześnie. Włożyłem kapelusz i marynarkę i przemknąłem przez jezdnię, by wydać dwadzieścia centów na specjalny zestaw śniadaniowy Charliego. Zjadłem grzanekę, jajka i galaretkę i wypłem tyle kawy, że można by w niej utopić słonia. Potem przeczytałem gazetę, spacerkiem okrążyłem kwartał ulic i o jedenastej trzydziści siedziałem z powrotem w swoim biurze, gotów zmagać się z kolejnym dniem.

Z miejsca zadzwoniłem do Louisa Botubota. Po długich targach — najpierw z recepcjonistką o lodowatym głosie, a potem ze śmiertelnie rzeczową sekretarką — udało mi się zaklepać sobie wizytę między trzecią a wpół do czwartej.

Do spotkania z Botubotem było jeszcze daleko, toteż zabijałem czas załatwiając wszystkie te drobne sprawy, jakimi zajmuje się każdy prywatny detektyw, kiedy podłapie klienta. Zdmuchnąłem kurz z blatu biurka, podlałem na wpół uschniętą roślinę na parapecie i wypali-

łem tuzin papierosów. Następnie wyciągnąłem czystą kartkę z rejestru, który trzymałem obok telefonu, i wpisałem datę oraz adres i numer domowy Nancy Canady. Wystukałem na maszynie krótkie sprawozdanie z tego, co mi powiedziała, i schowałem je do ciemnozielonej koperty przeznaczonej na akta. Zastanawiałem się nad nagłówkiem „Przypadki beznadziejne”, to jednak oznaczałoby, że Nancy Canady nie ma wycucia sytuacji. Wątpiłem, żeby tak było. Nie mogłem się oprzeć wrażeniu, że jeśli nawet zabujała się w facecie, to i tak potrafiłaby wyrobić sobie zdanie na jego temat, a nie tylko na temat jego garnituru. Poza tym byłoby to równoznaczne z przyznaniem, że gliny mają rację — w to zaś również nie wierzyłem. Wobec tego napisałem w rogu koperty „Przypadki prawie beznadziejne” i wsunąłem ją do kartoteki.

Później wykreśliłem numer ratusza i kazałem się połączyć z pokojem nr 666.

Sam Bananier był od niepamiętnych czasów kapitanem Wydziału Śledczego. Nie szalał na punkcie gliniarzy, którzy z mundurowych przechodzili na prywatnych, ale w razie potrzeby rzadko kiedy odmawiał im pomocy.

Kapitan Bananier podniósł słuchawkę.

— Mike Dime, jakem żyw, co przy tej pogodzie zakrawa na cud! — odezwał się. — Jak leci?

Odparłem, że byczo i zapytałem, jak tam po jego stronie sznura.

— Gorąco, przyjacielu. Obiecują nam tu klimatyzację odkąd kupili od zabojadów Luizjanę, a my wciąż czekamy.

— Nie macie wentylatorów?

— Mamy, a jakże. Ale one nie chłodzą. Przesuwają tylko gorące powietrze z miejsca na miejsce.

Mój śmiech nie znalazł oddźwięku.

— Powiem ci, po co dzwonię.

— Odkryłeś tajemnicę wiecznego szczęścia — przerwał mi głębokim, basowym pomrukiem. — I chciałeś, żeby twój stary kumpel ze śledczego dowiedział się o tym pierwszy.

— Dałem ci przecież adres tej wysokiej rudej z Cleveland.

— Ślicznie ci dziękuję — stwierdził Sam Bananier. — Yonkers Avenue trzydzieści sześć pięćdziesiąt osiem to szpital położniczy.

— Żartujesz.

— Jakbyś sam nie wiedział.

Na takich pogwarkach zeszło nam jeszcze z pięć minut, po czym rzekłem:

— Chuck Western, perkusista, którego przyknęliście za strzelaninę w klubie „Dżungla”. Opowiedz mi o nim.

Bananier zastanawiał się przez chwilę.

— Wszystko, czy tylko trochę?

— Podstawowe fakty. To, co ci spłynie z czubka głowy.

— Pot mi spływa z czubka głowy, Dime. Zaczekaj, pójde rzucić okiem na akta.

Jego słuchawka stuknęła o biurko. Wyciągnąłem papierosa i zapaliłem, podczas gdy kapitan pracowicie spędzał czas po drugiej stronie.

Byłem w połowie papierosa, gdy Bananier wrócił do telefonu.

— Chuck Lionel Western został aresztowany trzydziestego czerwca o drugiej trzydzieści osiem nad ranem, pod zarzutem dokonania morderstwa, próby kradzieży, pogwałcenia ustawy o kontroli broni palnej i posiadania śmiertelnej broni.

— Oszczędź mi ozdobników — przerwałem. — Nie jestem ławą przysięgłych.

Bananier westchnął ciężko.

— Westerna aresztował funkcjonariusz Angelo Stipello w klubie jazzowym, o którym mówiłeś, na Ranstead. Western stał nad zwłokami właściciela klubu, Ike'a Vreema, trzymając kieszonkowy pistolet samopowtarzalny Mausera kaliber dwadzieścia pięć, który nie jest zarejestrowany na nazwisko oskarżonego. — Najwyraźniej czytając z raportu koronera, Bananier



ciągnął: — Testy laboratoryjne, ble, ble, ble... dwie kule wydobyte ze zwłok Vreema pasowały do pistoletu, który trzymał Western, i obie wystrzelono z odległości mniej więcej metra w ciągu pięciu minut przed aresztowaniem oskarżonego. Chcesz coś jeszcze?

— Macie może jakiś solidniejszy motyw niż usiłowanie kradzieży?

— Nie potrzebujemy motywu. Western to czubek, amator trawki. Jak go zwinęliśmy, był tak nagrany, że trzeba było posłać po chłopaków ze straży, żeby go ostudzili.

— Świadkowie? — zapytałem, wysypując zawartość popielniczki do kosza na śmieci.

— Muchy na ścianie. Western jest już nasz, szkoda słów.

Po jego stronie zabrzączał telefon wewnętrzny.

— A skąd to zainteresowanie? — spytał kapitan obojętnym tonem, jakim policjanci zadają pytania.

— Właśnie była u mnie panienska Westerna. Twierdzi, że on tego nie zrobił.

— Która? Z moich informacji wynika, że miał ich cały wianuszek. — Bananier zachichotał pod nosem. — Perkusiści zespołów tanecznych... zachodzę w głowę, dlaczego panienom odbija na ich punkcie. Sam też kiedyś waliłem w bębny, w orkiestrze szkolnej. Ale jakoś żadna za mną nie latała.

— A jednak świadek mógłby się przydać — naciskałem.

— Posłuchaj mnie, Dime — rzekł kapitan. — Mamy zeznanie, więc nie trzeba nam nic więcej, żeby usmażyć tego biedaka.

Tego mi Nancy Canady nie powiedziała. Być może wyleciało jej z pamięci, a może o tym nie wiedziała. Telefon wewnętrzny znowu zabrzączał natarczywie.

— Czas na mnie — oświadczył kapitan Bananier. — To pewnie prokurator okręgowy. Spóźniłem się na nasze spotkanie w południe. Mamy dwie takie nasiadówki dziennie, dzień w dzień.

— Wiem — odparłem. — A trzy na urodziny Lincolna. Tak swoją drogą, kto prowadzi sprawę Westerna?

— Clooney.

Roześmiałem się.

— Żartujesz. Myślałem, że jeszcze nie skończyli go wyżymać.

— Trudny masz charakter, Mike Dime. Stary Clooney to dobry gliniarz.

— Jasne — parsknąłem. — Dopóki mając do wyboru dwóch facetów potrafi aresztować tego, co trzeba.

Bananier nie roześmiał się.

— Wpadnij kiedyś.

— Chętnie.

Odkładałem słuchawkę powoli, rozmyślając o kobietach, które kręcą się wokół zespołów muzycznych, a zwłaszcza o tych, które przyszpilają perkusistów zniewalającym wzrokiem. Ująłem ołówek niczym pałeczkę i zastukałem parę razy w klosz lampy na biurku. Zabrzmiało to całkiem niezłe — coś pośredniego między krowim dzwoneczkiem a talerzem. Ale swingu w tym nie było.

O drugiej trzydziści zadzwoniłem do kancelarii Botubota, by potwierdzić wizytę i zawiadomić, że już wychodzę. Następnie połączyłem się z warsztatem samochodowym Erniego Kafki, by sprawdzić, jak daleko posunął się z reperacją skrzyni biegów mojego pontiaka Torpedo Six. Limuzyną tą zastąpiłem przedwojennego kabrioleta marki „Packard”, gdy ten osiągnął stan, w którym nawet magia Erniego nie mogła już nic z niego wykrzesać. Czekałem ze słuchawką przy uchu wystarczająco długo, by Ernie zdążył wypełznąć spod nadwozia i wytrzeć ręce, ale nikt nie odebrał. Wobec tego zamknąłem biuro i trzymając się zacienionej strony ulicy, spacerkiem przeszedłem trzy przecznice dzielące mnie od jego warsztatu — parterowej plomby z cegły, wciśniętej między szereg walących się bliźniaków.

Drewniane drzwi przybytku Erniego, otwarte na oścież, pokrywała bez reszty galeria jaskrawych, utrzymanych w pierwszorzędnym kolorach reklam części zamiennych do samochodów — topornie namalowane blondynki w kostiumach kąpielowych, niańczące świece zapłonowe i pierścienie do tłoków, oraz futurystyczne liternictwo włożone w chmurki rodem z komiksów. Pewnego dnia zawędruje tam jakiś krytyk sztuki z Nowego Jorku i zanim Ernie zdąży się przebrać w czysty kombinezon, stwierdzi, że jego drzwi wiszą u Guggenheim.

W garażu było ciemno. Nie paliła się żadna z dwóch jarzeniówek wiszących na łańcuchach nad centralnym kanałem. Pomimo mroku dostrzegłem jednak swój samochód. Spoczywał sobie wywindowany na podnośniku, skrzynia biegów zaś, rozłożona na części, leżała na zasmarowanej płachcie brezentu. Nie było ani śladu Erniego, jedynie jego wiekowy doberman spał twardo pod półką z oponami. Zawołałem na mechanika i czekałem.

Po przeciwnej stronie zalanej słońcem ulicy gromadka półnagich milusińskich taplała się w fontannie wody tryskającej z rozszonego hydrantu. Jakiś chłopczyk z oczami jak piłeczki pingpongowe i wystającymi zębami spojrzał w moim kierunku.

— Ernie wysed po coś do pana gruchota, sefie! — krzyknął i rzucił gumową piłką w dziewczynkę z kucykami, która zapiszczała z podniecenia, zaśmiewając się. — Ernie kazał powtórzyć, że wpadnie do pana, jak skończy. Powiedział, że pana gruchot się rozlatuje, sefie.

Rzuciłem mu „piknedzięki” i ćwierć dolara, żeby miał za czym gonić. Potem poszedłem na Broad Street i złapałem taksówkę.

### 3.

Na osiemnastym piętrze gmachu Fiska, na wprost pięciu wind, wisi na ścianie mosiężna płyta wielkości tablicy, z kunsztownie wygrawerowanym napisem „Botubot & Botubot”. Namalowana pod spodem dłoń wskazuje kierunek. Ruszyłem za wyciągniętym palcem jasno oświetlonym korytarzem, prowadzącym przez drzwi wahadłowe do chłodnej, przestronnej poczekalni. Podszedłem do recepcjonistki układającej amarantowe mieczyki w wysokim ozdobnym wazonie. Miała ptasią twarz, małe, jakby kurze ślepka i związane w surowy kok kruczoczarne włosy, wyblęszczone jak nosek buta wojaka z piechoty morskiej.

— Sie manko — odezwałem się uchylając kapelusza. — Nazywam się Mike Dime. Jestem umówiony na trzecią z panem Botubotem.

Okulary w oprawce w kształcie skrzydeł motyla, przyozdobionej od góry diamencikami, zwisały jej z szyi na cienkim srebrnym łańcuszku. Zahaczyła je sobie na nosie i spojrzała na zegar ścienny. Wskazywał trzydzieści sześć sekund po trzeciej.

— Jest pan umówiony na godzinę trzecią z panem Botubotem seniorem czy juniorem? — zapytała głosem, którym można by siekać marchewkę.

— Zależy, który z nich nazywa się Louis.

Przycisnęła guzik telefonu wewnętrznego.

— Zawiadomię pana Botubota juniora, że się pan nareszcie zjawił.

Czekając przy telefonie na odpowiedź, położyła ołówek na otwartej księdze gości.

— Zechce pan wpisać swoje nazwisko i godzinę, na którą był pan umówiony, a potem proszę spocząć — rzekła. — Sekretarka pana Louisa Botubota niebawem po pana przyjdzie.

Zastosowałem się do poleceń i przysiadłem na skraju przepastnego fotela z czarnej skóry, osadzonego na cylindrycznych nogach — jednego z kwartetu identycznych foteli ustawionych wokół okrągłego stolika zarzuconego czasopismami kulturalnymi. Wziąłem egzemplarz „Esquire”, omal nie roześmiałem się w głos z dowcipu rysunkowego i prawie że doczytałem

pierwszy wiersz wypocin jakiegoś jajogłowego na temat Joe di Maggio, gdy w niszy na lewo od recepcji pojawiła się kobieta w kraciastym kostiumie i skinęła na mnie ręką.

— Pan Botubot przeprasza, że kazał panu czekać — odezwała się miło, prowadząc mnie długim korytarzem obwieszonym osiemnastowiecznymi sztychami w złożonych ramach, prezentującymi angielskich prawników przy pracy. — Miał pan wyjątkowe szczęście, że został pan przyjęty w tak krótkim terminie — dorzuciła, gdy mijaliśmy uchylone drzwi gabinetu. W środku ukryty za egzemplarzem „Wall Street Journal” mężczyzna monotonicznie dyktował list komuś siedzącemu poza moim polem widzenia. Sens wiadomości sprowadzał się do tego, żeby sprzedać szybko, ale żaden prawnik nie mógłby się wysłowić równie prosto. Napis na drzwiach informował: Gilbert Botubot. — Prawdę mówiąc — ciągnęła sekretarka jego syna — pan Botubot junior wyjeżdża dziś wieczorem na wakacje, w związku z czym jest szczególnie zajęty.

Dyskretnie puknęła w drzwi jego apartamentu i cicho wprowadziła mnie do pokoju o ścianach wyłożonych ciemną boazerią i obwieszonych typową kolekcją dyplomów i świadectw.

Adwokat siedział za biurkiem wielkości plantacji bawełny, ustawionym pod kątem prostym do długiego i niskiego okna wychodzącego na rzekę Delaware w miejscu, gdzie zakręca ona na południe. Zwrócony na fotelu obrotowym twarzą do okna, rozmawiał cicho przez telefon, ściskając słuchawkę między uchem a ramieniem. Nie odwrócił się do nas.

Sekretarka doprowadziła mnie do fotela na kulistych nóżkach, z tacy na biurku wzięła plik papierów i zniknęła za podwójnym przepierzeniem.

Zapaliłem papierosa i rozejrzałem się.

Boazerię nad rzeźbionym dębowym kominkiem zdobiły dwa płótna mniej znanych impresjonistów oraz wielki portret olejny Gilberta Botubota, mężczyzny o surowym obliczu, który pozował w todze prawniczej, z zaciśniętą pięścią na stosie ciężkich, oprawnych w skórę tomów. Po drugiej stronie puszystego dywanu w kolorze starego burgunda dwie przeładowane, otwarte z przodu mahoniowe biblioteczki spoglądały na siebie ze spokojem, a w rogu na wprost okna stał wielki antyczny globus, osadzony na stojaku z drewna różanego. Nie była to jednak tandetna imitacja, z tych, co otwierają się na równiku, a w półkuli południowej zawierają trunki. To był stuprocentowy autentyk.

Nad globusem wisiał ładny, ręcznie malowany plan miasta i okolic z czasów, gdy Filadelfia składała się z ośmiu ulic biegnących z północy na południe, a w sobotnie wieczory człowiek nie miał do roboty nic lepszego, jak czekać na niedzielę. W przeciwległym rogu pokoju sterczał maszt flagowy, z pocziwym Gwiazdzystym Sztandarem zwisającym bezwładnie w klimatyzowanej ciszy. Zapinał on na ostatni guzik wystrój pokoju mającego wzbudzać poczucie pewności i zaufanie, pokoju, w którym płaciłeś dziesięć dolarów za minutę z pełnym przekonaniem, że dobrze zainwestowałeś każdy wydany tu grosz.

Rozległ się cichy dzwonek — to Louis Botubot odłożył słuchawkę na widełki.

— Przepraszam — powiedział okręcając się na fotelu twarzą do mnie. — Dzień jest jak zawsze za krótki.

Powietrze przesycił kosztowny, aksamitny aromat mieszanki przypraw i rumu. Emanował on z jego brody.

— Czym mogę panu służyć, panie... — Botubot spojrział na leżący na biurku terminarz, przez dłuższy czas wczytywał się w zapiski, po czym skierował wzrok mniej więcej w moją stronę — ... panie Dime?

Uniosłem wyżej niedopałek, który niańczyłem już od jakiegoś czasu.

— Czymś, w czym mógłbym to zgasić.

— Najmocniej przepraszam — rzekł uprzejmie i między biurowymi bibelotami z onyksu a dwoma mosiężnymi gryfonami, przytrzymującymi z obu stron dzieła wszystkie Ralpha Waldo Emersona, pchnął ku mnie kwadratową, szklaną popielniczkę. — Zapomniałem, że

palacze wymagają tylu drobnych posług. Ja na szczęście nie wpadłem w ten nałóg, chociaż mój ojciec wypala przynajmniej tuzin cygar dziennie.

Louis Botubot był ciemnowłosy, wzrostu nieco powyżej przeciętnego i raczej szczupły. Miał delikatnie modelowane rysy i mocną, choć nie przesadną opaleniznę. Wykrój kącików jego pełnych latynoskich ust świadczył o pewnej dozie okrucieństwa, lecz tonowały to łagodne piwne oczy. Miał też wspaniałą grzywę ciemnych kręconych włosów z przedziałkiem na środku, przedwcześnie siwiejących na skroniach. Ubrany był w pięknie skrojony garnitur i bawełnianą koszulę w blade prążki, z kołnierzykiem odprasowanym nie gorzej, niż lukier na weselnym torcie, oraz czarny krawat, węższy niż to nakazywała moda i gustownie ozdobiony tuż pod węzłem małą, pomarańczowo-czarną tarczą herbową. Wiek adwokata określiłbym na niewiele ponad czterdzieści lat.

— Rozumiem, że występuje pan z ramienia mojego klienta, pana Westerna — ciągnął prawnik, biorąc do ręki jakąś kartkę i szybko przebiegając wzrokiem jej treść. — Wyznam, że jestem nieco zaskoczony. Rozmawiałem właśnie z więzieniem w Holmesburg i z uzyskanych przeze mnie informacji wynika, że pan Western nie miał nic wspólnego z wynajęciem pana. Prawdę mówiąc, nawet o panu nie słyszał.

Głos miał cichy, lecz stanowczy.

— To żadna tajemnica — wyjaśniłem. — Western mnie nie wynajął, załatwiła to jego dziewczyna Nancy Canady. Mówi panu coś to nazwisko?

Nad brwiami wystąpiły mu zmarszczki.

— Niestety, nie.

— Ona twierdzi, że od miesiąca usiłuje z panem porozmawiać.

Botubot potarł brodę, jak gdyby zastanawiał się, czy się nie ogolić.

— Przedziwna historia. Czy powiedziała panu, dlaczego nie udało jej się ze mną skontaktować? Od kilku tygodni prawie nie ruszałem się z miasta.

Wsunąłem następnego papierosa w kącik ust i przypaliłem.

— Ona twierdzi, że pańska sekretarka kłamie.

— Doprawdy? — parsknął drwiąco. — Nie wątpię, że istnieje co najmniej dziesięć wystarczających powodów, dla których ta pańska Nancy Canady nie mogła się do mnie dostać, ale żaden z nich nie ma nic wspólnego z mistyfikacją.

— Straciłem wątek na ostatnim słowie — rzekłem.

— Z kłamstwem.

Opróżniłem płuca z dymu.

— Panna Canady twierdzi również, że nie zrobił pan absolutnie nic w związku z obroną Chucka Westerna. Martwi się tym. Ma wrażenie, że pan umyślnie gra na zwłokę.

Botubot nie odpowiedział od razu. Pod lewym okiem miał małą bliznę wielkości ziarenka ryżu.

— Jestem bardzo zajęty. Przełożyłem niezmiernie ważne spotkanie, żeby się z panem zobaczyć, ponieważ zrozumiałem, że musi pan ze mną pilnie porozmawiać. Tymczasem okazuje się, że przyszedł pan tu z wyssanymi z palca, bezpodstawnymi oskarżeniami podważającymi moją rzetelność zawodową.

Przerwał, by zerknąć na zegarek i nakręcić go kilkoma szybkimi ruchami.

— Skoro jednak już pan tu jest, panie Dime — podjął swobodnie — być może uda nam się spożytkować czas ku obopólnej korzyści. Na początek proszę mi powiedzieć jedną rzecz. W jakim celu przyjaciółka Chucka Westerna miałaby korzystać z usług detektywa prywatnego?

— Miałem nadzieję, że pan mi to wyjaśni.

Botubot uniósł brwi niczym trzeciorzędny aktorzyzna, grający dla ostatnich rzędów.

— Nie nadążam za pańskim tokiem rozumowania.

— Nancy Canady twierdzi, że nie odwiedził pan jej pięknisia ani razu, odkąd go posa-

dzili. Przyszedłem dowiedzieć się dlaczego. Ostatecznie — dorzuciłem — to normalne, że adwokaci od czasu do czasu odwiedzają swoich klientów, chociaż pewnie mi pan powie, że istnieje dziesięć wystarczających powodów, dla których się tego nie praktykuje.

Botubot splótł wypięęgnowane dłonie, pochylił się i oparł łokcie na bladoróżowym suknie, upstrzonym amarantowymi literami. Gdyby je oprawić w ramkę, mogłoby uchodzić za Paula Klee.

— Jako prywatnemu detektywowi nie muszę panu tłumaczyć, w jak niezwykle trudnym położeniu znajduje się mój klient. Skoro jednak interesuje to pana, oto fakty.

Policja wprawdzie już mnie z nimi zapoznała, lecz ciekaw byłem usłyszeć wersję prawnika. Ochoczo pokiwałem głową.

— Wal pan.

— Materiały policyjne dowodzą ponad wszelką wątpliwość, że broń, z której zastrzelono Ike'a Vreema, to pistolet znaleziony przy Westernie w chwili aresztowania i — nawiasem mówiąc — stanowiący jego własność — rzekł Botubot. — Mimo iż Western zaangażował Lucky Moons, kierownik stałej orkiestry klubu „Dżungla”, to pensję wypłacał mu Vreem. Istnieją dowody potwierdzające fakt, że Western często nagabywał Vreema o zaliczki na poczet pensji. Jest bowiem kilku świadków, wśród nich wokalistka orkiestry Sunshine Lavallo, gotowych zaświadczyć przed sądem, iż słyszeli, jak Western groził, że zabije Vreema, jeżeli ten, cytując „nie odpali mu z góry trochę szmalu”.

Na ścianie za głową Botubota wisiało duże zdjęcie przedstawiające grupę wymoczko-watych studentów w płaszczach z szopów i długich szalikach. Ich nazwiska wydrukowano wersalikami na oprawie zdjęcia, pomiędzy dwiema tarczami z tym samym motywem, co na krawacie Botubota. Niestety, z tej odległości litery zlewały mi się w zamazaną plamę. Jedyne słowa, jakie udało mi się odczytać, brzmiały: „Rocznik 1926”.

— Mając kulę z pistoletu Westerna w ciele Vreema i zeznania o kłótni w związku z pieniędzmi, prokurator okręgowy ma tym samym i dowód, i motyw — mówił dalej Botubot. — Zgodzi się pan ze mną, panie Dime, że prokuratura dysponuje silną kartą przeciwko Westernowi.

Adwokat czekał, aż to sobie przemyślę. Czuję, że powinienem coś powiedzieć, ale nie bardzo miałem co. Powiedziałem więc to, co mogłem.

— Na pierwszy rzut oka wygląda to nie najlepiej, ale z pańskich słów wynika, że są to wyłącznie dowody pośrednie. Na dobrą sprawę nikt nie widział, jak Western strzela do Vreema.

Botubot założył ręce, delikatnie opierając dłonie na ramionach.

— Wypada mi także wspomnieć, iż Western palił marihuanę — podjął. — W chwili aresztowania znaleziono przy nim trzy lub cztery papierosy z tym narkotykiem. Fakt, że Western nie przyznaje się do zabójstwa Vreema, cokolwiek błędnie, jeśli wziąć pod uwagę stan jego umysłu tamtej nocy. Wątpię, czy uświadamiał sobie, na jakim świecie żyje, a tym bardziej, czy kogoś zabił.

Sięgnąłem po popielniczkę i ustawiłem ją sobie na kolanach.

— Myślałem, że épanie Westerna można równie dobrze wykorzystać do obrony — rzekłem strząsając popiół. — Dopóki Western nie przyzna się do winy albo nie wyskoczy ktoś, kto widział go, jak strzelał, uważam, że warto poświęcić mu nieco czasu. A może proponuje pan, żeby na rozprawie przyznał się do zabójstwa w stanie ograniczonej poczytalności? To by panu zaoszczędziło mnóstwa kłopotów.

— Raczej by przysporzyło nowych — warknął ostro Botubot. — W niektórych stanach zażywanie narkotyków stawia się niemal na równi z zabójstwem, a Pensylwania jest właśnie jednym z takich stanów. Zważywszy na kaliber dowodów — przemawiających przeciwko mojemu klientowi, w normalnych okolicznościach bez wahania radziłbym przyznać się do zabójstwa. Dla nas jednak stwierdzenie, że Western zabił Vreema, ponieważ był pod wpływem

narkotyków, oznaczałoby sromotną klęskę.

Mężczyzna w szytym na miarę garniturze znów spojrzął na zegarek.

— Są to jednak rozważania czysto teoretyczne — dorzucił. — Podobnie jak panna Canady, wierzę, że Western mówi prawdę. Co więcej, aby to udowodnić, zamierzam dołożyć wszelkich starań, bez oglądania się na pana czy kogo innego. — Jego głos nagle stwardniał. — I sam zadecyduję, kiedy i jak się tym zajmę. Jasne?

Wstał i wyciągnął do mnie rękę. W ten sposób dawał mi do zrozumienia, że moja wizyta dobiegła końca i że za drzwiami czeka ogonek ludzi skłonnych zapłacić za to, co ja dostałem za darmo. Tyle, że ja się nigdzie nie wybierałem. Jeszcze nie. Zgniotłem papierosa i zapaliłem następnego.

— Kiedy Western stanie przed sądem? — spytałem poprzez zasłonę dymną.

Nie spodobało mu się to. Powinienem być już w pół drogi do windy. I z powrotem przysiadł na skraj fotela.

— Nie sposób określić tego dokładnie — odparł z irytacją, przyklepując kosztownie utrefioną falę przyprószonych siwizną włosów. — Proces, a raczej — formalnie rzecz biorąc — wstępne badanie zasadności projektu aktu oskarżenia przez ławę przysięgłych, może się odbyć w każdej chwili. Za tydzień, za rok. Nieoficjalnie jednak wiadomo, że odbędzie się raczej wcześniej niż później. Tak czy inaczej, zanim to nastąpi, muszę mieć sposobność przygotowania się do obrony.

Zamilkł. Aparat klimatyzacyjny szumił dyskretnie.

— Jeszcze coś, panie Dime? Naprawdę powinienem już przyjąć następnego klienta.

— Zaraz skończę — uspokoilem go. — Dziwi mnie jedna rzecz. Dlaczego wzięty adwokat traci czas na takiego przegranego faceta jak Western? Zgoda, twierdzi pan, że mu pan wierzy, i możliwe, że Western rzeczywiście mówi prawdę. Pozostaje jednak faktem, że on przez miesiąc nie zarobi tyle, ile pan sobie liczy za godzinę. A jeżeli wierzyć zeznaniom o kłótni z powodu pieniędzy, to był on splukany do suchej nitki. Prawdopodobnie miał długi. Nie wietrzy pan w tym nic podejrzanego, panie Botubot?

Po raz pierwszy uśmiechnął się.

— Tak się składa, że jestem zapalonym wielbicielem tego gatunku muzyki, jaki uprawia Lucky Moons i jego orkiestra — odparł. — Pewnego wieczoru podczas przerwy wpadłem na Westerna przy barze. Wspomniałem przy kieliszku, że gdyby potrzebował kiedyś adwokata, niech się zwróci do mnie. Był to czysto spontaniczny wyraz wdzięczności za radość, jaką mi sprawił swoją muzyką. Nie przypuszczałem, że kiedyś skorzysta z tej propozycji.

Brzmiało to nader rozsądnie. W otoczeniu ścian rozgłaszających na cztery strony świata kwalifikacje prawne pana Botubota nie mogło to zabrzmieć inaczej.

— Więc kolegował się pan z Chuckiem — rzekłem. — Połączył was *le jazz hot*?

Botubot schował swój uśmiech.

— Kiedyś moja żona i ja podwieźliśmy Chucka do hotelu — powiedział z westchnieniem. — Do tego się sprowadza nasze, jak pan to określił, „kolegowanie”. Chociaż dlaczego ja panu to wszystko opowiadam... szczerze mówiąc, chyba z moją głową coś jest nie w porządku.

Rozdzwonił się jeden z telefonów na biurku.

— Wybacz pan — mruknął podnosząc słuchawkę. Wysłuchał krótkiej wiadomości i rozłączył się bez słowa. — Przykro mi, panie Dime, ale nalegam, żeby pan wyszedł — powiedział, znów wstając z fotela. — Nie mogę pozwolić, żeby mój następny klient czekał choćby sekundę dłużej.

— Tak jest — rzekłem powstając. — Bardzo to przyzwoicie z pana strony, że poświęcił mi pan tyle cennego czasu. Ale zanim się rozstaniemy, chciałbym dostać od pana pisemną zgodę na odwiedzenie Westerna.

Louis Botubot wyszedł zza biurka i stanął koło mnie, twarzą do drzwi.

— Skoro w ten sposób chce pan spędzać czas, wydadzą panu upoważnienie w recepcji — odparł tonem bardziej protekcyjnym, niż na to zasługiwała moja prośba.

Wymieniliśmy formalny uścisk dłoni, po czym odprowadził mnie do drzwi.

— Przy okazji — rzuciłem wkładając kapelusz — jak z pana taki amator swingu, to słyszałem, że stary Satch daje czadu w „Sukcesie” aż chałupa się trzęsie w posadach. Będzie tam grał przez tydzień.

Adwokat wlepił we mnie wzrok, zwęził oczy i otworzył mi drzwi.

— Dziękuję, panie Dime — syknął. — Będę o tym pamiętał.

Dźwięk zamykanych za mną drzwi zabrzmiał jak trzaśnięcie biczem.

Czekając na pismo przyglądałem się, jak recepcjonistka pracowicie maluje paznokcie na ten sam kolor, co wargi. Po chwili sekretarka Botubota wróciła z listem i położyła go przed nią na biurku. Wymachując do mnie mokrymi paznokciami, recepcjonistka pokazała na migi, że nie może podać mi pisma, bo mogłaby je popłamić lakierem. Wobec tego sam wziąłem brązową kopertę, wsunąłem ją do kieszeni na piersi i skierowałem się do windy.

Byłem już na środku dywanu, kiedy dołączył do mnie Gilbert Botubot w ciemnym garniturze i meloniku. Jak większość niskich, krępych mężczyzn, stawiał szybkie, zdecydowane kroki, wymachując teczką z garbowanej skóry ze złotymi inicjałami na pasku. Wyglądał tak samo jak na portrecie, co oznacza, że ani trochę nie przypominał syna. Największa różnica kryła się w ich oczach. O ile oczy Louisa Botubota były z gruntu uczciwe, o tyle oczy starego były przebiegłe, twarde jak lód, jakby przechowywał je w zamrażalniku wtedy, gdy z nich nie korzystał.

Wcisnąłem kciukiem guzik sprowadzający windę i obaj przyglądaliśmy się w milczeniu, jak strzałka nad drzwiami przesuwana powoli po numerach pięter. Na osiemnastce znieruchomiała, a wypolerowane stalowe drzwi rozsunęły się z sykiem.

Wsiadliśmy razem.

— Na dół! — warknął Gilbert Botubot do windziarza, który błyskawicznie nacisnął przycisk i drzwi się zamknęły.

Jazda z osiemnastego piętra na parter trwała długo.

Gilbert Botubot wyciągnął cygaro z futerału ze skóry krokodyla, odgryzł koniuszek i wypluł go na podłogę. Windziarz pstryknął kciukiem w ronsona, którego trzymał w pogotowiu, i wpakował płomień w twarz starego. Widać było, że ma ten rytuał przećwiczony.

— Pan na ryby? — odezwałem się wesoło, gdy Botubot senior włożył w ogień koniuszek swej hawany.

Ustami pełnymi dymu wydał z siebie niezrozumiały pomruk i wbił we mnie małe szare oczka.

Światelko nad drzwiami przeskakiwało po numerach mijanych pięter. Byliśmy już w połowie drogi.

— Pan się widział z Lousem? — rzekł Botubot. Było to raczej stwierdzenie niż pytanie; sądząc po głosie, obchodziło go to tyle co nic.

Skinąłem głową. Przyjrzał mi się uważnie.

— Klient?

— Niezupełnie.

Zapaliła się piątka.

— Lou i ja studiowaliśmy razem — wyjaśniłem. — Starzy wychowankowie z dawnych lat.

— Pan żartuje. — Nie uwierzył mi. Miałem to gdzieś.

Czwarte piętro.

— Nie — powiedziałem. — Grałem na tubie w jazzbandzie w Princeton. Lou przepadał za nami. Nie mogliśmy się od niego opędzić.

Trzecie.

— Zdaje się, że trafił pan do niewłaściwego Louisa Botubota — rzekł prosto z mostu. — Louis — dorzucił, silnie akcentując imię syna — od dziecka słucha wyłącznie klasyki.

Drugie piętro. Nikt się nie odezwał.

Drzwi się otworzyły i Gilbert Botubot żwawo wyszedł do hallu wyłożonego białym marmurem włoskim. Ludzie umykali mu z drogi, gdy przeciskał się przez drzwi obrotowe i wsiadał do limuzyny z szoferem.

— Nieźle cacko, no nie? — zagadnął mnie windziarz z zazdrością w głosie, gdy lśniący czarny cadillac model 60 Special oderwał się bez wysiłku od krawężnika. — Pan wraca na górę? — dodał, ponieważ tkwiłem w miejscu, zastanawiając się nad tym, jakiej muzyki słucha Louis Botubot.

— Później — mruknąłem z roztargnieniem, sprawdzając godzinę na zegarku. — Póki co, wybieram się koleją stanu Pensylwania do więzienia w Holmesburg.

#### 4.

Centrum miasta było pełne ludzi, głównie szykownych kobiet wracających do podmiejskich osiedli na pierwszy koktajl po długim popołudniu, owocnie spędzonym na uszczuplaniu kont małżonków. Słońce zachodziło właśnie za wysokimi gmachami, które ograniczały Market Street od południa i rzucały długi, chłodny cień. Tam, gdzie między budynkami występowały przerwy, snopy srebrzystych promieni przecinały ruchliwy chodnik niczym świetlne mosty. Aby zaoszczędzić Nancy Canady dolara czy dwu z funduszu na pokrywanie moich wydatków, przespacerowałem się aż do ulicy Piętnastej i tylko ostatnią milę do stacji przy Trzydziestej przejechałem taksówką.

Pociąg odchodził o czwartej pięćdziesiąt osiem po południu, co dawało mi mnóstwo czasu na kupno dwóch paczek papierosów, wypicie zimnego piwa i zjedzenie kanapki w dworcowym barze. O czwartej pięćdziesiąt podałem dolara i odebrałem resztę za bilet powrotny do stacji Holmesburg Junction.

Kupowanie biletów kolejowych, picie piwa, jazda windami — moje życie składało się z samych atrakcji. Ciekaw byłem, czy ci faceci z wybrzeża, co piszą scenariusze o prywatnych detektywach, spotkali kiedy takiego osobiście, i pół godziny później wciąż nad tym dumałem, gdy czarny konduktor ryknął: „Holmesburg”, jakby intonował hymn modlitewny.

Zeskoczyłem na tory, przeszedłem przez szyny i dołączyłem do niewielkiej procesji pasażerów, z mozołem wspinających się pod górę ku Torresdale Avenue. Na skrzyżowaniu skręciłem w prawo i samotnie ruszyłem wzdłuż łuszczących się domów o wysokich werandach i spragnionych wody trawnikach, odsuniętych od ulicy. Poza tym nie było tam prawie nic, jeśli nie liczyć kilku działek budowlanych, gdzie prace utknęły na etapie zwózki cegieł i kopania płytkich dołów. Krajobraz Holmesburg niczym szczególnym się nie wyróżniał — występujące tam drzewa rozpoznaliby pierwszy z brzegu harcerz, a rozległy, porośnięty suchymi krzewami teren aż się prosił o to, żeby w samym jego środku postawić chałupę tak szpetną, jak więzienie okręgowe. Wilgotność powietrza była paskudna jak w mieście, a nawet jeszcze bardziej dusząca, bo hektary dzikiego wiciokrzewu dookoła wydzielały mdlące zapachy.

W palącym przedwieczornym słońcu przebrnąłem pół mili i zanim dotarłem do mostu na Pennypack Creek, moja koszula przypominała mokrą szmatę. Pomijając ciężarówkę, które od czasu do czasu turkotały na rozgrzanej betonowej drodze, w zasięgu wzroku nie było



żadnych przejawów życia.

Kiedy przeszedłem przez most, dojrzałem zarys południowej wieży strażniczej więzienia, wystającej zza szpaleru wysokich topoli, których smukłe korony w ten bezwietrzny dzień były nieruchome i sztywne jak zatopione w modlitwie zakonnice.

Wejście do więzienia znajdowało się na zakolu drogi odchodzącej od głównej szosy, na wprost domu naczelnika — piętrowego budynku z tego samego jasnobrązowego kamienia, z którego wzniesiono masywne pochyłe mury. Przed domem stało kilka samochodów, lecz prawie wszystkie żaluzje w oknach były spuszczone. Nacisnąłem klamkę u drzwi. Zamknięte. Zapaliłem papierosa i podszedłem wysypaną żwirem drogą do drewnianego portyku z otwartą górną połówką dwuczęściowej bramy. Wymalowany nad nią napis informował: „Wejście dla odwiedzających. Dzwonić i czekać.” Przyłożyłem kciuk do mosiężnego guzika itrzymałem go tak parę sekund. Na dźwięk dzwonka dolatujące zza muru wrzaski ucichły natychmiast.

Wkrótce po drugiej stronie zabrzączały klucze i wysoki, Czerstwy dozorca więzienny otworzył ciężkie wewnętrzne drzwi. W oliwkowym mundurze, czapce z daszkiem i w okularach przeciwsłonecznych sprawiał wrażenie człowieka, który nie odczuwa upału. Z kącika wąskich, zaciśniętych ust sterczała mu wykałaczka.

Czekał, aż odezwę się pierwszy.

— Jest naczelnik?

— Wyszedł wcześniej.

— Zastępca?

— Chory.

— A kto jest?

Wyjął wykałaczkę z ust, obejrzał ją bez pośpiechu i wsadził z powrotem.

— Ja — odparł głosem wprost z Teksasu.

Powolutku rozpiąłem marynarkę, żeby sobie czasem nie pomyślał, że sięgam po spluwę, i równie ostrożnie wyciągnąłem list z wewnętrznej kieszeni na piersi.

— Oto pismo od niejakiego Louisa Botubota, adwokata z Filadelfii, upoważniające mnie do odwiedzin jego klienta, który oczekuje tu na proces. Facet nazywa się Chuck Western. Nie spodziewa się mojej wizyty i nie słyszał o mnie. Ale sądzę, że się ze mną zobaczy, jeśli się dowie, że wynajęła mnie panna Nancy Canady.

Funkcjonariusz wziął kopertę, rozerwał ją i przeczytał pismo.

— Napisz pan swoje nazwisko i adres na odwrocie — polecił wręczając mi list i ołówek.

Przyłożyłem kartkę do muru, zanotowałem żądane informacje i mu ją zwróciłem.

— Już późno, kolego — oświadczył zrzędliwie. — Widzenie będzie skrócone.

Kluczem, który nosił na łańcuchu u pasa z bronią, otworzył dolną połówkę bramy i ruchem głowy polecił mi wejść na wielki dziedziniec, częściowo pokryty przeszklonym dachem.

— Ile trwa takie skrócone widzenie? — spytałem, kiedy zatrzasnął główne drzwi i zarygłował zamek.

— Dostatecznie długo — wycedził i wskazał mi palcem zielone drzwi po drugiej stronie podwórza. — Zaczekaj pan tam, sprawdzę. To blok tylko dla odwiedzających, więc nie zapraszać mi tam nikogo, ani nie kręcić się po placu, chyba że chcesz pan zarobić kulkę. Jak z tym listem wszystko gra, to zaraz ktoś przyjdzie i pójdiesz pan z nim na widzenie.

Czerstwy klawisz wyniósł się z listem do małego biura, ja zaś przeszedłem po kocich łbach dziedzińca, na którym paru funkcyjnych ładowało śmieci na otwartą ciężarówkę. Rozparty na przednim zderzaku dozorca więzienny co chwila rzucał na nich okiem. Ręce trzymał w kieszeniach, a za uchem miał zatknięte grube, nie zapalone cygaro.

W poczekalni dla odwiedzających panował zaduch i zalatywało starym potem i tlenionymi blondynkami. Wyłożoną linoleum podłogę zaśmiecwały niedopałki, a stojący pośrodku

dwóch rzędów metalowych krzeseł stół nosił ślady gaszenia papierosów. Jedyne okno było zakratowane i zaryglowane, drzwi zaś samoczynnie zamykał potężny automat. Na suficie zainstalowano wentylator, tyle że nie podłączono go do sieci. Usiadłem i zająłem się odganiaaniem much kapeluszem i lekturą wiszącego na ścianie regulaminu dla odwiedzających. Mimo że niewiele było tego do czytania, ale znalazłem jedynie trzy błędy gramatyczne i dwa ortograficzne. Jak na dokument urzędowy to prawie nic.

Po jakimś czasie dozorca więzienny z gwiazdkami na koszuli — kawał chłopca na krótkich nogach i z szerokimi barami, zezujący na prawe oko — kopniakiem otworzył drzwi.

— Gość do Westerna! — warknął. — Tędy, bracie.

Wszedłem za nim w gąszcz chłodnych korytarzy, zakończonych zamkniętymi drzwiami. Otwierając i zamykając kolejne drzwi kluczem uniwersalnym z taką szybkością i wdziękiem, jak gdyby grał na ksylofonie kijem baseballowym, klawisz zaprowadził mnie do długiej, oświetlonej sali, podzielonej na osiem otwartych od frontu kabin. Na niskim podium po drugiej stronie pomieszczenia stał stół, a na nim znajdowała się filiżanka kawy i broszurowe wydanie jakiejś książki, otwartej jak do czytania.

— Twój siedzi w numerze trzecim — rzekł funkcjonariusz. — Czasami gwizdzę, jak czas się kończy, a czasami nie. Tak czy siak, macie dziesięć minut. Mniej więcej.

Powtórzył numer kabiny i szybkim krokiem podszedł do stołu.

Kabinę trzecią pomalowano na kolor skóry chorego na żółtaczkę i wyposażono w stół identyczny ze stołem strażnika oraz dwa sfatygowane krzesła. Jedyne element dekoracyjny stanowiło obwieszczenie z wykazem kar grożących za udzielanie więźniom pomocy w ucieczce.

Western siedział z rękami splecionymi na piersi i skrzyżowanymi nogami. W jasnym kombinezonie roboczym z drelichu i białym podkoszulku sprawiał wrażenie człowieka na pełnym luzie. Był dokładnie taki, jak się spodziewałem — przystojniak z dołkiem pośrodku kwadratowej brody i jasnoniebieskimi oczyma, które w najciemniejszym nawet klubie nocnym przyćmiłyby blaskiem szkatułę szafirów. Czarne włosy obcięto mu na krótką szczecinę, co uwydatniało jego uszy i sprawiało, że wydawały się większe niż w rzeczywistości. Jak wszyscy mężczyźni o ciemnej cerze, Western powinien golić się dwa razy dziennie, rano i gdzieś koło piątej po południu. Teraz jednak albo nie dbał o to, albo nie dostał pozwolenia. Tak czy owak, potrzeba było czegoś więcej niż więzienie i więzienny golibroda, by zniszczyć męski urok Chucka Westerna.

Chłopak nie wstał, kiedy wszedłem do kabiny, toteż usiadłem bez słowa. Położyłem na stole nową paczkę papierosów i zapalniczkę.

— Częstuj się — rzekłem z uśmiechem.

Spojrzał na mnie, rozplótł ramiona i czubkami palców wystukał na blacie szybki rytm.

— Wpadaj o każdej porze dnia i nocy — powiedział wyjmując papierosa. Przetoczył go między palcami i podrzucił wprost do ust.

— Zręczna sztuczka. — Sam też wyjąłem papierosa, podałem ognia perkusiście i przypaliłem sobie.

— To taki nawyk — wyjaśnił Western, szczerząc do mnie zęby przez obłoki dymu. — Na scenie często tak szpanuję, głównie pałeczkami. Te smutasy, co przychodzą uderzyć w gaz, wołają to od muzyki. — Przerwał. — My się chyba nie znamy?

Odchyliłem głowę, przełożyłem jego żargon na ludzki język i wydmuchałem dym.

— Jestem Mike Dime, prywatny detektyw. Dziś skoro świt złożyła mi w biurze wizytę młoda kobieta podająca się za twoją dziewczynę i wynajęła mnie, żebym sprawdził, dlaczego twój adwokat zasnął przy pracy. Przedstawiła się jako Nancy Canady.

Western jeszcze bardziej rozdziawił usta w uśmiechu.

— To klawo, staruszk. Nancy pisała mi, że chce wynająć tajniaka, żeby koło tego pochodził. — Mówił marzycielskim głosem, właściwym muzykom jazzowym jak świat długi i

szeroki. — Nancy — dorzucił po namyśle. — Mam nadzieję, że sobie radzi. Jak wygląda?

Zwróciłem mu uwagę, że znam ją zaledwie od rana, ale na mój gust wygląda świetnie.

Bez pośpiechu kilkakrotnie skinął głową, jak gdyby przypominając sobie odwieczną prawdę, która już dawno uleciała mu z pamięci.

— Nancy — powtórzył. — Chłopie, to ci towar. Powiem ci tyle, staruszk, że jest apetyczna jak... — Zamyślił się głęboko nad tym, jak apetyczna jest Nancy Canady.

— Szarlotka? — podsunąłem. Jeżeli słowa nie były jego mocną stroną, to nie musiałem silić się na oryginalność, byleby pasowało.

— Taaak — westchnął z uznaniem, jak gdybym odegrał właśnie improwizację na puzonie. — Daj jej buzi od Chucka, staruszk, jak ją zobaczysz. Nie mam nic przeciwko. — Wystukał na stole kolejną palcówkę, dostatecznie głośno, by strażnik ryknął na niego, żeby nie hałasował.

— Słuchaj, Western, nie mamy wiele czasu — rzekłem. — Nie rozumiem niektórych szczegółów twojej sprawy, więc chcę przelecieć jak najwięcej z nich, zanim opadnie kurtyna.

— Ja tam nic nie będę przelatywał — odparł Western na swój otwarty, jowialny sposób. — Twoja rzecz pytać, moja odpowiadać. — Był na takim luzie, jak gdyby opalał się na pokładzie jachtu.

W pociągu wynotowałem sobie garść informacji uzyskanych od trzech osób, z którymi dotychczas rozmawiałem — Bananiera, Botubota i Nancy. Położyłem przed sobą na stole otwarty notes.

— Opowiedz mi, co się wydarzyło tej nocy, kiedy zginął Vreem — powiedziałem. — Wszystko, co tylko pamiętasz.

Western spojrzął na papierosa i zaciągnął się.

— Przyszedłem do klubu o szóstej. Normalnie zaczynamy występy o dziewiątej, ale tego dnia kierownik orkiestry Lucky Moons chciał powtórzyć kilka piosenek.

— Ile to trwało?

— Jakies dwie godziny — odrzekł Western. — Wokalistka zespołu i Moons tak długo sprzeczali się, w jakim tempie grać „*Lover Man*”, żeśmy to w końcu opuścili.

— Co dalej?

— Po próbie wyskoczyłem do knajpy naprzeciwko na pizzę i kawę.

— Jadłeś sam?

Western przetrawiał w myślach to zdarzenie. Jak na jazzmana, potrafił spamiętać całkiem sporo szczegółów oprócz nazw koktajli i numerów telefonicznych kociaków.

— Poszedłem z paroma chłopakami — odparł w końcu. — W „*Dżungli*” cały personel, w tym także zespół, może jeść za darmo. Ale odkąd obejrzeliliśmy kuchnię, większość z nas woli jadać na mieście.

— Kto był z tobą?

— Lenny i Pete... nasze dwa oboje.

— Czy piłeś coś oprócz kawy?

Western złożył duże, kształtne dłonie i zatarł je kilkakrotnie. Rozległ się dźwięk, jaki wydaje drewno polerowane bardzo drobnym papierem ściernym.

— Tak jak co wieczór — odrzekł. — Ale woda nie daje żadnego efektu. Gra na perkusji to praca fizyczna, jak podnoszenie ciężarów. Od pierwszego taktu do ostatniego spływasz potem i cokolwiek wypijesz, od razu ci wsiąka w koszulę. Woda przelatuje przez ciebie tak szybko, że nie zdążysz się wstawić, nawet gdybyś chciał.

Rzuciłem okiem na notatki.

— Podobno twierdzisz, że ktoś cię wrobił. Tak powiedziała Nancy. Policja jest innego zdania. Według nich rąbnąłeś Ike'a Vreema, bo miałaś dziury w kieszeni.

— I co z tego, że byłem goły? — Western wzruszył ramionami. — To nie przestępstwo.

— Ale przestępstwem jest noszenie broni bez zezwolenia.

— Wielu chłopaków ma coś do obrony — stwierdził gasząc papierosa i natychmiast zapalając następnego. — Bywa, że pracujemy po różnych mordowniach.

— Z materiałów policyjnych wynika, że byłeś naćpany i miałeś przy sobie skręty z trawą. — Wlepiłem w niego twardy wzrok. Muzyk jakby trochę zeszywniał. — I co ty na to?

Zaciągając się głęboko papierosem, Chuck Western lekko dygotał.

— Spokojnie — rzekłem. — Ja cię o nic nie oskarżam. Chcę tylko mieć pełny obraz sytuacji.

Chłopak skinął głową i milczał przez chwilę.

— Tamtego wieczoru byłem jaki byłem, ale to nie przez narkotyki — powiedział w końcu. — Wierz mi. Byłem ścięty, to fakt. Bo byłem chory. — Dźgnął się kciukiem w pierś. — Podrzucili mi te skręty, staruszk. Jak powiedziała Nancy, ktoś mnie wrobił.

Uśmiechnąłem się sceptycznie.

— Chcesz powiedzieć, że nigdy nie palisz trawy?

Western dwa razy silnie pociągnął nosem — dwa pełnokrwiste parsknięcia.

— Czasami palę, tak dla hecy. Ale nie używam jej regularnie i nie jestem narkomanem. — Jasnoniebieskie oczy zwróciły się na mnie badawczo, szukając na mojej twarzy potwierdzenia. Niczego nie znalazły. — Jedyni faceci, jakich znam, którzy biorą nałogowo, to muzycy wyjałowieni z pomysłów. Branie pomaga im je odnaleźć. — Przerwał. — A niektórzy biorą, bo są samotni.

Ostatnie zdanie zabrzmiało niemal filozoficznie. Jakoś to do niego nie pasowało.

— A ty nie bywasz samotny? — zapytałem.

— Mam Nancy — odparł obojętnie. — A jak nie ma Nancy, to jest jakaś inna.

W ustach większości ludzi zabrzmiałoby to chępliwie i nieszczerze. Ale nie w ustach Westerna. Było to stwierdzenie faktu; przechwałka mniej więcej taka, jak gdyby Valentino przyznał, że otrzymuje listy od wielbicielek. Western na pozór nie zdawał sobie sprawy ze swej urody, co tylko dodawało mu wdzięku. W jego przekonaniu kobiety wokół niego były czymś tak naturalnym, jak makaron we włoskiej restauracji.

— Wróćmy do tamtej nocy — powiedziałem. — Z kim rozmawiałeś po powrocie do klubu?

Zastanawiał się przez chwilę.

— Zdaje mi się, że pogadaliśmy sobie z Luckym. Wiesz, staruszk, tak między nami muzykami.

— Jeżeli podrzuciono ci skręty, to kiedy mogło się to stać?

— A kiedy bądź — odparł. — Znaleźli je w mojej marynarce. Na estradzie noszę łachy orkiestry, więc moje ubranie całą noc wisi w szatni. Pokoju muzyków nikt nie pilnuje... w drzwiach nie ma nawet zamka.

Pospiesznie spisałem krótką relację tego, co mi dotychczas powiedział, i zerknąłem na zegarek. Czas uciekał.

— No dobra, a co się wydarzyło po zamknięciu klubu? Rozumiem, że w chwili aresztowania poza tobą i Vreemem nie było tam już nikogo?

Chuck Western przeciagnał otwartą dłoń po krótko obciętych włosach.

— Właśnie tutaj wszystko robi się jakieś mętne — powiedział. — Pamiętam, że jak zszedłem z estrady, przysiadłem się do czyjś stołu, żeby się napić, jak to zwykle po robocie. Ktoś ze stałych bywalców wyprawiał przyjęcie urodzinowe.

— Pamiętasz kto? To może być ważne.

— Mówiłem ci, staruszk, że wszystko już mi się wtedy mąciło. Pamiętam tylko, że gdzieś usiadłem.

— A potem? — spytałem ostrzejszym tonem, licząc że może dzięki temu przypomni sobie coś istotnego. — Co się działo po przyjęciu?

Potrząsnął głową ponuro.

— Pewnie wróciłem do szatni.

Gdzieś w oddali rozległ się dzwonek. Długo przebijał się przez grube, nieprzenikalne ściany.

— Jeżeli wszystko, co mówisz, to prawda — powiedziałem zamykając notes — to po kiego licha stałeś z tą dymiącą spluwą nad trupem Vreema?

— Wiem tyle co ty, staruszk — odparł z westchnieniem. — Na mój gust odsypiałem to coś, co mnie ścięło, i pewnie usłyszałem strzał. Może dlatego się obudziłem... gabinet Vreema przylega do pokoju orkiestry. No i pewnie potknąłem się o zwłoki, poznałem swój pistolet i podniosłem go odruchowo. — Spojrzał mi prosto w oczy. — W końcu to był mój pistolet.

Przyznałem, że ma to ręce i nogi, po czym schowałem zapalniczkę i notes.

— A potem zwinęła cię policja?

— Tak słyszałem.

— Przypuszczalnie — ciągnąłem, myśląc głośno — zanim zadzwoniłeś do Botubota i kiedy wciąż jeszcze byłeś zamroczony, Clooney wydobyl z ciebie podpisane zeznanie.

Western po raz pierwszy okazał niepokój.

— Wiem — powiedział nabierając powietrza do ust i wypuszczając je krótkimi, szybkimi pyknięciami. — Zachowałem się jak ostatni głupek.

— Zachowywałeś się jak głupek, odkąd zacząłeś nosić broń bez zezwolenia. Nawet jeśli nie zawsze gracie w Carnegie Hall.

Western rozpromienił się.

— Właśnie w Carnegie Hall potrzebowałbym broni — rzekł z uśmiechem. — Tyś chyba nigdy nie słyszał orkiestry Moonsa.

Nagle z końca sali, gdzie siedział strażnik, dobiegł przenikliwy gwizd.

— Przykro mi, Western — stwierdziłem wstając. — To, co mi powiedziałeś, nie na wiele się przyda. Myślę, że Botubot dlatego nic nie zrobił, że nie da się nic zrobić. Potrzebny mi jakiś trop, coś innego, co mogło się wydarzyć tamtej nocy. Albo ktoś, kogo tam spotkałeś, a kto zachowywał się dziwnie. Coś więcej niż to, co mamy.

Western nie ruszył się z miejsca.

— Następnego dnia rano widziałem to wszystko o wiele jaśniej — rzekł.

— Jak zwykle. Szkoda, że nikomu o tym nie powiedziałeś.

— Jak to nie? Powiedziałem Botubotowi.

Serce zamarło mi na sekundę.

— Na miłość boską, Western! — niemal krzyknąłem. — Czemuś nic nie mówił?

— Dopiero co sobie przypomniałem, staruszk — wytłumaczył się perkusista. — Botubot przyszedł do mnie do celi przed wstępnym przesłuchaniem. Powiedziałem mu wszystko.

— Czy ktoś to notował?

— Stenografowała taka laleczka, nogi do samej szyi. Spisała wszystko słowo w słowo.

— Western uśmiechnął się z nadzieją. — Przyda się to na coś?

Zrewanżowałem się uśmiechem.

— Dam ci znać.

W tej samej chwili strażnik szybko wszedł do kabiny.

— Niestety, bracie, czas się skończył — przerwał chwytając mnie za ramię. — Odprawdę cię do bramy, a pan Western poczeka tu sobie, aż ktoś go odstawi do gniazdko.

Rzuciłem Westernowi „Adios!”, w odpowiedzi usłyszałem, żebym się nie przejmował, i pozwoliłem klawiszowi wyprowadzić się z sali.

— Dużo czytasz? — zapytał mnie w drodze przez plac, gdzie trzej skazańcy dalej ładowali śmiecie pod okiem tego samego strażnika z tym samym grubym cygarem zatkniętym za ucho.

— Relacje z wyścigów, od wielkiego dzwonu — odparłem. — I czasami trochę Prousta jak nie mogę zasnąć.

Nie słyszał mnie.

— Bo ja czytam mnóstwo — ciągnął wyjmując książkę z kieszeni koszuli. — W moim fachu człowiek nie ma nic innego do roboty. Ale czegoś takiego tom jeszcze nie czytał.

Przysunął mi książkę pod nos, bym mógł zobaczyć tytuł.

— Havelock Ellis! — warknął. — Takich świństw to żeś jeszcze, bracie, nie widział, a mówi ci to człowiek, co napatrzył się w życiu na różności. Ale przy tym wszystko wysiada. — Trzasnął książką w otwartą dłoń i schował ją z powrotem do kieszeni. — Chętnie bym tu ściągnął tego Ellisa na dwa słowa.

— Wybiłbyś mu to z głowy — odpowiedziałem.

— Tak jest, bracie. Wybiłbym mu te świństwa z głowy raz na zawsze.

Zamknął za mną bramę, ja zaś powlokłem się na stację Holmesburg Junction, dumając, w przerwach między innymi ważkimi myślami, nad celowością przymusowych ciężkich robót.

## 5.

Było tuż po dziewiątej, gdy pchnąłem drzwi mojego biura i wszedłem do pokoju omroczonego cieniami zamierającego dnia. Zapaliłem światło i podniosłem kartkę z wycieraczki. Następnie otworzyłem okno tak szeroko, że do środka mógłby wlecieć sterowiec, włączyłem stojący na biurku wentylator i klapnąłem na krzesło obrotowe. Byłem zgrzany, zmordowany i spragniony, lecz przed oddaniem się rozpuście miałem jeszcze parę drobiazgów do załatwienia. Na początek zapaliłem papierosa i przeczytałem kartkę. Okazało się, że jestem winien Erniemu Kafce trzydzieści dolarów, jako że mój samochód został naprawiony. Zawsze byłem i zawsze będę winien Erniemu trzydzieści dolarów. Taki to już z niego facet, a ja prowadzę taki wehikuł.

Wrzuciłem kartkę do szuflady, na stertę innych nie zapłaconych rachunków, i przez chwilę siedziałem wsłuchując się w natarczywe, brzęczące dźwięki zbyt głośno nastawionego radia w sąsiednim mieszkaniu oraz głucho buczenie syren holowników na Delaware, bezmyślne wycie sygnałów policyjnych i szczekanie niespokojnych psów. Wszystkie te dźwięki składały się na chaotyczny kontrapunkt, w którym tylko Arnold Schönberg mógłby zasmakować. Ale panujący upał nawet jemu nie przypadłby do gustu — jak zresztą nikomu.

W butelce seagramsa zostało jeszcze co nieco po moim porannym spotkaniu z Nancy Canady. Przypomniało mi to, że miałem do niej zadzwonić. Przedtem jednak należało wyjaśnić pilniejszą sprawę — zeznanie Chucka Westerna, złożone rankiem następnego dnia po aresztowaniu.

Połączyłem się z informacją i podczas gdy dyżurująca dziewczyna szukała numeru domowego Botubota, wypilem resztki whisky. Czekając, wpatrywałem się niewidzącym wzrokiem w proste drewniane krzesło dla klientów. Przez moment zdawało mi się, że w miejscu, gdzie rano siedziała Nancy Canady, dostrzegam fosforyzujący cień. Zupełnie jak biała otoczka powstająca na siatkówce oka, gdy przez dłuższy czas spogląda się na bardzo jasny obiekt.

Nie ulegało wątpliwości, że Nancy Canady jest piękna, lecz nie w tym wulgarnym, pospolitym typie, który w Hollywood pakują na taśmę celuloidową i sprzedają na szpule. Jak na ich potrzeby jej uroda była zbyt delikatna, zbyt oryginalna i subtelna.

Dziewczyna wyrwała mnie z zadumy podając numer telefonu w Flourtown — eleganckiej dzielnicy pełnej całonocnych przyjęć i pokojówek uprzątających pobojuwisko. Zdusiłem papierosa i zadzwoniłem.

Mężczyzna, który odebrał telefon, nie był Louistem Botubotem. W Flourtown telefony odbierał kamerdyner, który oprócz tego zajmował się w zasadzie wszystkim, z wyjątkiem prowadzenia lincolna continentala i sypiania z panią domu. To należało do obowiązków szofera.

— Dobry wieczór, rezydencja państwa Botubot — rozległ się starannie modulowany, czysty baryton, który mógłby należeć do starego angielskiego arystokraty.

— Przepraszam, że dzwonię o tak późnej porze — rzekłem. — Nazywam się Mike Dime. Pański szef i ja mamy wspólnego klienta, niejakiego Chucka Westerna. Potrzebna mi zgoda na przejrzenie pewnych dokumentów i chciałbym to załatwić, zanim wyjedzie na urlop.

— Żałuję, lecz pan Botubot już wyjechał, proszę pana — odparł służący z powagą w głosie. — Nazywam się Teagarden. Być może ja mógłbym w czymś pomóc?

W głębi pokoju po jego stronie kabla telefonicznego jakaś kobieta rozdarła się na cały głos, pytając kto dzwoni.

— Czy byłby pan łaskaw zaczekać? — spytał kamerdyner i szybko zakrył słuchawkę. Gdy się odezwał ponownie, jego głos zdradzał napięcie. — Bardzo pana przepraszam. Widocznie nastąpiło zwarcie na linii. Wracając do sprawy, w jakiej pan dzwoni, być może chciałby pan zamienić kilka słów z panią Botubot?

— Pogadam nawet z kotem, jeśli to coś da.

Teagarden odchrząknął.

— Czy wobec tego zechciałby pan poczekać jeszcze chwilę? Ja tymczasem pójdę odszukać madame.

Nie musiał jej szukać daleko. Tylko w sąsiedztwie najbliższej butelki. Wkrótce kobiecy głos zaszczebiotał:

— Mówi Gloria Botubot. Z kim mam przyjemność?

Wyglądało na to, że jest gorąco zaprzyjaźniona z kieliszkiem, lecz mówiła tak, jak gdyby panowała nad sytuacją. Przedstawiłem się i powtórnie wyjaśniłem powód mojego telefonu.

— Prywatny detektyw — rzekła przepłukując gardło martini. — Proszę, proszę.

Usłyszałem cichy trzask i słyszalność zmieniła się nieznacznie. Ktoś podniósł słuchawkę drugiego aparatu.

— Muszę pilnie skontaktować się z pani mężem w bardzo ważnej sprawie — powiedziałem dobitnie, lecz możliwie uprzejmie. — Byłbym bardzo wdzięczny, gdyby zechciała mi pani podać aktualny numer telefonu pana Botubota.

— Coś podobnego? — Gloria Botubot zaprezentowała całą skalę swego głosu, od dolnych rejestrów do górnych i z powrotem. — Ktoś byłby mi wdzięczny za aktualny numer telefonu mojego męża. A to dobre! Potrzebny ci Louis? To zadzwoń do Biloxi i poproś Sama. — Zarechotała łamiącym się głosem. Brzmiało to, jak gdyby kruk dostał napadu kaszlu.

— Przepraszam, jeżeli wydają się pani niezbyt bystry, ale czym mam rozumieć, że nie zna pani numeru telefonu męża?

— Masz rozumieć, że ostatnim razem, jak Louis zabrał mnie ze sobą na wakacje, mieszkaliśmy w hotelu razem z Krzysztofem Kolumbem.

— A więc nie ma pani pojęcia, gdzie mógłbym złapać pani męża?

Sądząc z odgłosów w słuchawce, zapalała papierosa.

— Mówiłeś, że jak się nazywałeś?

— Dime. Mike Dime.

— Coś mi się widzi, że z ciebie łebski chłopak.

— Bo jestem łebski chłopak.

Gloria Botubot przyssała się do papierosa. Najwyraźniej miała czasu pod dostatkiem.

— Słuchaj, Frank — rzekła przysuwając słuchawkę do ust. — Wiesz, co mam na sobie w ten upał?

Darowałem sobie odpowiedź.

— No co jest, Frank, zgaduj! Do trzech razy sztuka. Możesz świntuszyć ile wlezie.

— Mike — sprostowałem ze znużeniem.

— Frank, Mike — zaczęła. — Jak to kiedyś powiedział wieszcz znad Avonu, no ten, jakże mu było, do ciężkiej cholery...

Czasami dobrze jest je rozśmieszyć.

— Masz doktorat z literatury angielskiej?

Roześmiała się jak kobieta, która usłyszała komplement z erotycznym podtekstem.

— Nabijasz się — powiedziała, a jej głos stwardniał. — Doktorat z angielskiego? Nie doszłam nawet do matury. Chcesz wiedzieć, z czego się doktoryzowałam? Z tego, jak za wcześnie wychodzić za nieodpowiednich facetów.

Milczałem.

— Słuchaj no — ciągnęła, teraz już kokieteryjnie — jeszcze nie skończyliśmy mojego tekstu. Zeszliśmy tylko z tematu. Pytanie brzmi: w czym się objam sama samusiańska po tym wielkim, pustym domu?

— No dobrze — poddałem się. — Daj mi jakąś wskazówkę.

— To się zaczyna na literę... — wydmuchnęła dym i zastanowiła się. — Na literę „p”.

— Pergamin — rzekłem.

— Też coś! — prychnęła i zarechotała. — Jak można by się ubrać w pergamin? Możesz zgadywać jeszcze dwa razy, Jack.

— Poddaję się — stwierdziłem stanowczo. — Wygrałaś. Powiedz mi.

— Pantofle! — wrzasnęła triumfalnie. — A do tego tu i tam kapka czegoś o nazwie „Grzech”. Wpadniesz sprawdzić, czy nie kłamię?

Pominałem to milczeniem, lecz nie doceniłem Glorii Botubot.

— Głuchyś?! - ryknęła. — A może naga kobieta, która wie, jak pofiglować z mężczyzną, działa na ciebie tak samo jak na tych wszystkich zakichanych chłopów w okolicy, co zamiast krwi mają wodę?

Było to pierwsze interesujące stwierdzenie, jakie padło z ust pani Botubot. Poczulem mrowienie na karku.

— Przykro mi. Gloria, ale nie jestem tym, kogo ci trzeba — rzekłem. — Mogłabyś mi przynajmniej powiedzieć, kiedy spodziewasz się powrotu męża?

— To ty jesteś detektywem — warknęła. — Sam mi powiedz. I jak już się zobaczysz z panem Cudo nie zwracaj sobie głowy podziękowaniami. Przekaż mu tylko dużą buźkę od Glorii i powiedz mu, żeby zdechł.

I wyczerpawszy temat, cisnęła słuchawkę na widełki, tak że moje „dobranoc” nie znalazło adresata.

Zapaliłem następnego papierosa, oparłem nogi na biurku i przemyślałem całą sprawę. Niewykluczone, że Chuck Western przypomni sobie coś więcej, jeśli go odpowiednio przycisnąć. Bo trudno, żeby mógł pamiętać mniej. Szansa była jednak mizerna, a w dodatku byłoby to igranie z czasem. Nie miałem wyboru. Za zgodą Botubota czy bez niej, musiałem zdobyć zeznanie Westerna. I to szybko.

Rozparłem się na krześle i obmyśliłem plan. Jeżeli zeznanie muzyka znajdowało się w kancelarii Botubota, to mogłem rzucić na nie okiem bez przeszkód tylko wówczas, gdy niko-go tam nie będzie. Czyli późno w nocy, kiedy wyniosą się już sprzątaczkę i faceci, co pracują po godzinach, żeby dotrzymać kroku innym. Przejrzałem stojący na biurku terminarz. Znacomie — żadnych proszonych kolacji, żadnych premier i wernisaży. Z wybiciem północy zawiozę siebie i swoją nową skrzynię biegów pod gmach Fiska i poszperam sobie w aktach



Botubota. Przedtem jednak musiałem zadzwonić do Nancy.

Nakręciłem jej numer i słuchałem sygnału. Wciągnąłem dym, rozmyślając o jej zamglonych zielonych oczach i wargach w kolorze terakota, o dźwięcznym głosie i czarnych lokach. Poświęciłem jej drobnemu, podniecającemu ciału niemal tyle uwagi, ile pani Korneliusowa Vanderbilt przykłada do rozmieszczenia gości przy stole. Ale myślenie o niej w ten sposób nie było zabawne. Pozostawiło we mnie lekki niesmak, jak gdybym tańczył w wypożyczonym smokingu lub, co gorsza, spał w cudzej piżamie.

Telefon dzwonił w pustym pokoju. Nieco zawiedziony, delikatnie odłożyłem słuchawkę i otworzyłem szufladę biurka, gdzie trzymałem broń i kaburę. Ale nie tego szukałem. Szukałem czegoś, czym można by oświetlić ciemny pokój, a nie naszpikować go kulami. Wygrzebałem spod sterty rupieci latarkę kieszonkową, zapaliłem ją i patrzyłem, jak silny, cienki promień światła pada na lodówkę. Schowałem latarkę do kieszeni, zamknąłem na klucz szufladę biurka i zewnętrzne drzwi biura i wstąpiłem do Charliego na piwo i kanapkę z salami, po czym przeszedłem pół przecznicy do miejsca, gdzie Ernie zaparkował mojego pontiaka.

Kluczyki leżały w skrytce, a silnik zapalił za pierwszym razem. I byłbym ruszył w drogę, gdyby nie donośne łomotanie, którego nie było ostatnim razem, gdy prowadziłem swój wóz. Dobiegało z karoserii dokładnie nad moją głową. Zaciągnąłem hamulec ręczny, zdjąłem nogę z gazu i wystawiłem głowę za okno. Łomotanie powodowała pięść gliniarza o nazwisku Clooney.

Wywiadowca Clooney, podobny do wielkiego niedźwiedzia brunatnego, obszedł samochód od przodu, otworzył drzwiczki po prawej stronie i wsunął się na garbate siedzenie obok mnie.

— Objedź ten kwartał — odezwał się i splunął przez okno na ulicę. — Mam ci coś do powiedzenia.

Pomyślałem o tych wszystkich, którzy dyskutowali, o ich pękniętych nosach, złamanych szczękach i wybitych zębach. Zadowolony ze swojej twarzy w jej obecnym kształcie, wykonałem polecenie.

Jechaliśmy w milczeniu. Koło siedziby Amerykańskiego Stowarzyszenia Byłych Bokserów skręciłem z Broad Street w lewo, na wschód. Na najbliższym rogu znów skręciłem w lewo, w Morris, i na niskim biegu jechałem tą zamieszkaną przez czarnych ulicą. W mroku tarasów majaczyły ciemne postacie, a na frontowych schodach siedziały kobiety roztyłe od nieustannego rodzenia dzieci. W podkasanych nad kolana sukienkach, leniwie wachlowały powietrze przed nosem. Pod każdą latarnią wystawały grupki mężczyzn, którzy palili papierosy, raczyli się piwem z puszek i żartowali wśród aromatu gotowanych przypraw oraz nieprzerwanego, monotonnego dudnienia jazzu.

Dwie minuty po skręcie w Morris Street trafiliśmy na czerwone światło. Natychmiast wysoka panienka o czekoladowej skórze, przystrojona w zawodowy uśmiech mówiący „dolar za minutę” i ciuch we wszystkich kolorach tęczy, reklamujący większość z tego, co miała do sprzedania, ruszyła ku nam z chodnika. Kiedy zbliżyła się na tyle, by móc nas zaczepić, rozpoznała Clooneya i przeszła dalej. Mogła się nie obawiać — nie po to Clooney kazał mi tam jechać, żeby przyskrzynić jakąś dziwkę.

Ruszając na zielonym, zerknąłem w lusterko wsteczne i przekonałem się, że śledzi mnie jakiś samochód. Czerwony chevrolet, filadelfijski wóz patrolowy. W mundurowym za kierownicą rozpoznałem Corana - popychadło Clooneya. Mając chevroleta o długość samochodu za nami, jechaliśmy Morris Street aż do miejsca, gdzie jej część mieszkalna przechodzi w ongiś zamieszkaną. Przecznica za przecznica puste rudery, przedzielone wąskimi, wymarłymi alejkami, wyrastały z wyludnionych chodników.

Sto metrów przed skrzyżowaniem Morris i Ósmej Clooney przerwał milczenie.

— Skręć tam — wycedził i ruchem głowy wskazał mi wąski zaułek po lewej. — Jedź, póki się da, a potem zgaś silnik i siedź.

Zastosowałem się do wskazówek, patrząc jak reflektory czerwonego chevroleta omiatają tył mojego wozu, kiedy skręcałem w ślepą uliczkę. Oba samochody wpełzły w ciemną, wyboistą alejkę i zatrzymały się o krok od wysokiego ceglanego muru, piętnaście centymetrów od siebie. Coran natychmiast zgasił silnik, wyłączył reflektory i jego wóz wtopił się w mrok. Ja zrobiłem to samo, z tym że zostawiłem światła postojowe.

W słabym zielonym blasku padającym z tablicy rozdzielczej nabiegła krwią twarz Clooneya wyglądała jak podświetlona śliwka. Policjant miał potężny łeb o kwadratowej brodzie i twarz pobrużdżoną niczym gliniane popiersie wystawione na deszcz. Kędzierzawe piaskowe włosy przeredzały mu się szybko na skroniach i czubku głowy, pozostawiając małą samotną wysepkę sztywnej jak drut szczeciny nad czołem, które — podobnie jak jego nos — nakrapiane było wielkimi plamami o barwie herbaty. Clooney miał purpurową cerę, chropowatą jak grzebień starego indyka, i zaszklone, mętne oczy, którymi postrzegał świat spoza fałdów ciemnoszarej skóry. Nie przekroczył jeszcze pięćdziesiątki, ale rozbrat z butelką po życiu spędzonym na kacach przydał jego aparycji dziesięciu lat. Tyle że w swoim fachu Clooney nie potrzebował ani aparycji, ani tym bardziej rozumu. Jego metoda działania była prosta i skuteczna. Jeżeli ktoś nie odpowiadał mu na pytanie, to walił go w buzię i robił to tak długo, aż się dowiedział wszystkiego.

— Co jest grane, Clooney? — spytałem. — Co to za manewr z tą ciemną alejką? Nie lepiej było pogadać w barze? A może nie udało ci się znaleźć takiego, z którego cię jeszcze nie wywalili?

Clooney wyciągnął z kieszeni kurtki pudełko cygaretek. Jego kościste dłonie drżały, gdy wsuwał cygaretkę między suche, wąskie wargi, popękane jak kora brzozy i takiej też barwy.

— Sztachniesz się tym trzy razy i po herbacie — mruknął otwierając popielniczkę wbudowaną w podłokietnik. Przypalił koniuszek cygaretki i umyślnie rzucił zapalną na podłogę.

— Jesteś dziś drugim facetem, który uznał, że musi mi opowiedzieć o swoich nawykach palacza — stwierdziłem odwracając się ku niemu połową ciała. — Pierwszym był niejaki Louis Botubot, adwokat. Ale o tym chyba już wiesz.

Clooney strzepnął dwa centymetry popiołu na podłogę.

— Tak?

— Przyznaj się, siedzimy tu jak para dzieciaków w kinie dla zmotoryzowanych tylko z powodu Chucka Westerna, perkusisty, którego przymknęliście za zabójstwo Ike'a Vreema. Bo przecież nie po to, żeby rozprawiać o składaniu serwetek na tysiąc i jeden sposobów.

Policjant zaciągnął się głęboko. Rzeczywiście, wyglądało na to, że pociągnie trzy razy i będzie po krzyku.

— A co taki wielki, głupi glina jak ja może wiedzieć o składaniu serwetek? — zapytał przekręcając swe cielsko na siedzeniu, by spojrzeć mi prosto w oczy.

— Racja, Clooney, zapomniałem. Ty tylko wiesz, co w nie wypluwać.

Zesztywniał i zacisnął pięści. Zaciskał je, aż wielkie białe kostki zbieleły mu jak szczyty pokrytych wiecznym śniegiem gór. Po chwili odprężył się.

— Zaraz po twoim telefonie wpadłem na Bananiera — oznajmił. — Powiedział, że Western kazał jednej ze swoich pańienek wynająć cię, żebyś go zdjął z haka.

— I co z tego? To całkiem legalne. George Washington zagwarantował to na piśmie równo sto sześćdziesiąt dwa lata temu, w tym właśnie mieście. A może wielki głupek nie słyszał też o Konstytucji Stanów Zjednoczonych?

Clooney odwrócił głowę i wypluł cygaretkę za okno.

— Nie nadużywaj mojej cierpliwości, Dime. Człowiek się robi nerwowo, jak kogoś od czasu do czasu nie zapudłuje.

— Od czasu do czasu, to znaczy zawsze — odparłem ze śmiechem. — Za dziesięć centów zwinąłbyś pierwszego lepszego faceta i kazał mu, żeby sam się odstawił do mamra.

Strumyczek śliny, gęstej jak pasta do zębów, spłynął mu z dolnej wargi i zastygł w kąciuku ust.

— Jasne — warknął Clooney. — Był taki czas, kiedy niemi nie wychodziło. Ale to już przeszłość. Dzisiaj jak już pakuję pacjenta do pudła, to na dobre.

— A więc to tak. Western jest przeznaczony na odstrzał. Winny czy nie, dostanie czapę tylko dlatego, że chcesz udowodnić, żeś na dobre pożegnał się z butelką.

Kark Clooneya porastały sprężyste siwe włoski. Teraz błyszczały od potu.

— Gadaj zdrów, Dime; Vreema zabił Western. Na dowód mam nawet jego podpisane zeznanie.

— To jesteś jeszcze głupszy, niż myślałem. Podpisując zeznanie, którym się tak szczycisz. Western był niezrównoważony psychicznie... od prochów albo od czegoś innego o podobnym działaniu. Znając twoje metody przypuszczam, że nie obyło się bez nacisku, żeby mu pomóc wypełnić luki w pamięci. Mówiąc po ludzku, Botubot nie zostawi na zeznaniu Westerna suchej nitki, za to ciebie czekać będzie małe sam na sam z komisarzem na temat twojej dalszej kariery.

Clooney zapalił następną cygaretkę i dmuchnął mi słodkawym dymem prosto w twarz.

— Chuck Western jest nasz — oświadczył beznamiętnie. — Pal licho zeznanie.

Zaciągnął się głęboko. Rozżarzony koniuszek cygaretki rozświetlił na moment wnętrze wozu.

— On twierdzi, że ktoś mu uszył buty — rzekłem. — Możesz mi wyjaśnić, dlaczego miałby kłamać?

I znów dym uderzył mnie w twarz.

— Z tym szyciem butów to bujda na resorach — odparł Clooney i zaniósł się kaszlem. Brzmiało to, jak gdyby płukał gardło piaskiem. — Chyba że chodzi o gangsterów — dorzucił, gdy wreszcie odzyskał dech. — Ale oni wrabiają tylko kolesiów po fachu, a nie perkusistów. Żeby nie wpaść po skoku. Podłożą takiemu świnię, gliniarze szukają wiatru w polu, a oni mogą robić swoje i nie oglądać się za siebie. Albo jak chcą kogoś załatwić czy przejąć terytorium. To proste. Słyszałem raz nawet o bandziorze, któremu wpadła w oko panienka innego oprycha, więc wrobił go w morderstwo. I pozbył się go raz na zawsze... bo nie ma nic równie nieodwracalnego, jak kara śmierci.

W jego ustach ten pseudofilozoficzny bełkot brzmiał nawet przekonująco.

— Chcesz powiedzieć, że szycie butów to domena gangsterów i szewców? — spytałem.

— A ja myślałem, żeś ty bystry chłopak — parsknął i znów się zaciągnął cygaretką. — Poznałem raz kobitkę, która najpierw załatwiła swojego starego dla polisy ubezpieczeniowej, a potem wrobiła w to byłego kochasia. — Przerwał, wyrzucił drugi niedopałek przez okno i splunął w ślad za nim. — A może widziałem to tylko na filmie?

— Mimo wszystko bardziej mi odpowiada wersja Westerna — stwierdziłem. — Jest równie wiarygodna jak ta, że twoi chłopcy wrabiają go w morderstwo i napad rabunkowy.

Clooney roześmiał się bezbarwnie, niewesoło.

— Pozwolisz, Dime, że ci to wyklaruję. Vreem to zero. Western to zero. Zgoda, panienki na niego lecą i potrafi szpanować na tam-tamach. Ale to zero. A nikt nawet nie kiwnie palcem, żeby wrobić jedno zero w zabicie drugiego.

Uniosłem brew.

— Zero?

Skinął głową.

— Właśnie. — Podniósł nadgarstek do twarzy i spojrzał na zegarek. — Wsiadaj i stań z przodu wozu - polecił złowróźnie i dwukrotnie nacisnął pięścią klakson. Natychmiast rozbłysły reflektory chevroleta, przebijając ciemność grubymi, żółtymi promieniami.

Wysiadłem pierwszy, a za mną Clooney. Powoli, niezdarnie ruszyliśmy po gruzach zalegających tę wyboistą uliczkę. Gdy przecinaliśmy światła radiowozu, nasze cienie zatańczyły

chwajnie na ceglanym murze, tak jak w kinie, gdy widzowie przechodzą między projektorem a ekranem. Zaułek wydał mi się nagle bardzo zimny. Zimny i samotny. Słysząc było tylko chrzęst naszych kroków i daleki, metaliczny turkot tramwajów. Wokół rozchodził się koci smród i odór ludzkiego potu, Clooneya i mojego. Tyle że pociliśmy się z różnych powodów. Gdy spotkaliśmy się przed maską pontiaka, gliniarz trzymał w ręku rewolwer. Cofnąłem się o krok i zachwiałem, ale nie upadłem. Za plecami miałem mur.

— Co to ma być, jakiś kawał? — odezwałem się, głośno przełykając ślinę. Czułem łomotanie serca, lecz nie był to rytm do tańca. Chyba że tancerz miałby jedną nogę krótszą i jako parkietu używał nabitej gwoździami deski fakira.

Raczej nie był to kawał, bo Clooney się nie śmiał.

— Ostrzegam cię po raz pierwszy i ostatni. Dime — warknął unosząc rewolwer tak, bym mógł go sobie obejrzeć dokładnie. Nie musiał się fatygować. Wiedziałem, jak wyglądają rewolwery. Sam miałem podobny i orientowałem się, do czego taki przyrząd jest zdolny. Otóż robi pif-paf i pozbawia człowieka życia, zwłaszcza jeżeli trafi go gdziekolwiek poza łokciem lub dużym palcem u lewej nogi.

— Chwileczkę! — wyjąkałem, lecz Clooney wpadł mi w słowo.

— Trzymaj nochal z dala od mojej sprawy, tajniaku. Naprawdę z dala. — Podniósł rewolwer nad głowę, niczym pistolet startowy, po czym zamachnął się z całej siły i grzmotnął kolbą w reflektor mojego pontiaka. Rozległ się brzęk tłuczonego szkła, trzasnęła pękająca żarówka i na ziemię posypały się odłamki szkła.

Clooney rozpiął marynarkę i schował broń. Kant jego prawej dłoni, którą uderzył w lampę, znaczyły kropelki krwi i małe odłamki szkła, lecz on nie zwracał na to uwagi.

— W naszym stanie obowiązuje przepis, zmieniany w dziewięćset siódmym i dziewięćset dwudziestym pierwszym roku, który zabrania prowadzenia pojazdów mechanicznych po zapadnięciu zmroku bez przepisowych świateł.

Zbliżył się do mnie o krok.

— A poza tym obowiązuje jeszcze prawo Clooneya — ciągnął. — Zmieniane, kiedy mu się żywnie podoba. To prawo mówi, że wejdź Clooneyowi w paradę, a nie tylko twój stary gruchot pozna smak jego pięści.

Przeniósł wzrok nad moim ramieniem i pomachał Coranowi, który zapuścił silnik, tyłem wyjechał ze ślepej uliczki, zawrócił i czekał, nerwowo bębniąc palcami po kierownicy. Jego wóz blokował wylot zaułka.

Clooney spojrział mi prosto w oczy.

— Rusz głową choć raz w życiu, Dime — wyszeptał. — Zapomnij o Westernie. To zero, rozumiesz?

Podszedł jeszcze bliżej, a ja spałem się, czekając na nauczkę. Ale pięści gliniarza zwiślały swobodnie. Zszedłem mu więc z drogi, patrząc jak wielkie, obwisłe cielsko człapie szybko alejką i znika w otwartych drzwiczkach wozu, które przytrzymał Coran. Potem Coran wrzucił bieg, dodał gazu i czerwony Chevrolet gwałtownie zniknął z widoku, wydając dźwięki przywodzące na myśl zarzynaną kaczkę. Wypaliłem papierosa, odczekałem kilka minut, żeby się uspokoić, po czym wsiadłem do pontiaka i ruszyłem na północ.

## 6.

Prowadziłem ostrożnie, co chwila sprawdzając w lusterku wstecznym, czy nie śledzi mnie czerwony chevrolet. Ale po Clooneyu zostało jedynie echo jego groźby. I jak tu zejść

mu z drogi? Znał wielu ludzi, z którymi chciałem porozmawiać, niektórych nawet bardzo dobrze. Na przykład Stipella — gliniarza, który aresztował Westerna. Żle by się stało, gdybym musiał nadebrać Clooneyowi na odcisk. Rozbity reflektor czy rozbity nos wychodzi na to samo. Ale to tylko takie gadanie. Uprawnienia detektywa prywatnego uzyskałem dzięki uprzejmości ratusza. Jedno słówko Clooneya, że utrudniam pracę policji, a nie potrzebowałby pięści, żeby się mnie pozbyć na dobre. Następnego dnia straciłbym licencję, a po tygodniu z braku innych możliwości musiałbym sprzedawać encyklopedie. Nie, nie miało sensu udawać, że Clooney się nie liczy. Choć raz w życiu musiałem zastosować się do jego rady i ruszyć głową. Ale nie tak, jak sobie tego życzył.

Kiedy dotarłem do gmachu Fiska, było już po północy. Zaparkowałem pół przecznicy dalej, przed hotelem „Ralston”. Zawieszony nad wejściem transparent obwieszczał: „»Ralston« wita weteranów wojennych”. Ulica, podobnie jak hall hotelowy, była całkiem opustoszała, jeśli nie liczyć trójki rumianych jegomościów w jasnobrązowych garniturach, którzy pomagając sobie nawzajem, przypuścili szturm na hotel. Sforsowanie drzwi obrotowych szło im jednak o wiele gorzej niż zdobycie wyspy Iwo Jima.

Wysiadłem z samochodu, przeszedłem na drugą stronę ulicy i cofnąłem się pod gmach Fiska. Od strony Market do budynku wchodziło się przez zawieszone pod wielkim łukiem masywne, dwuskrzydłowe wrota z żelaznych prętów, połączonych delikatnym motywem bluszczu i winorośli z kutego żelaza. Przywarłem twarzą do bramy i spojrzałem przez pręty. W hallu, za zamkniętymi drzwiami z pancernego szkła, paliło się jaskrawe światło. Za ladą recepcji siedział uzbrojony tajniak w błękitnej koszuli, z naszywką firmy ochroniarskiej na ramieniu, i czytał gazetę. Za nim, wzdłuż całej ściany, ciągnęło się dziesięć ton dziewiętnastowiecznej płaskorzeźby przedstawiającej historię dokonań ludzkości w dziedzinie transportu na przestrzeni wieków od pradziejów. To ponure dzieło ukazywało głównie zaprzężone do wozów woły i cherubinów podnoszących modele parowców, lokomotyw i wodnopłatowców.

Oprócz ochroniarza znajdowała się tam jeszcze stara Murzynka o zmęczonych oczach. Monotonnie przecierała podłogę z włoskiego marmuru. Dwie trzecie hallu połyskiwało od mokrych plam, a pozostała część powinna być czysta za jakieś dziesięć minut. Cofnąłem się i spojrzałem na budynek. Niektóre okna biur na niższych piętrach tu i ówdzie błyszcząły, lecz na osiemnastym wszystkie były ciemne. Domyśliłem się, że ktoś przez roztargnienie zostawił światła w pustych pokojach i że kobieta sprzątająca hall wyjdzie ostatnia.

Odwróciłem się, ruszyłem w kierunku Trzynastej i skręciłem w prawo. Znajdowało się tam drugie, mniejsze wejście do gmachu Fiska, lecz także zamknięte. Zdziwiłbym się, gdyby było inaczej. Szybko poszedłem dalej, znów skręciłem w prawo i znalazłem się na tyłach budynku. Wąski podjazd dla samochodów dostawczych prowadził stamtąd na podziemny parking. Przeskoczyłem przez szlaban i zbiegłem po rampie. Stały tam tylko dwa samochody — jasny lincoln oraz ciemny, opływowy kabriolet. Panował chłód i cisza. Na ścianie paliło się kilka lamp. Dostrzegłem dwoje drzwi. Jasne, w głębi, miały oświetlony znak z napisem: „Market Street”; na drugich, tuż za samochodami, widniał czarny napis „Służbowe”.

Spojrzałem na zegarek. Droga od głównej bramy do wejścia dla personelu zajęła mi dwie minuty. Sprzątacze przebranie się i ogarnięcie po pracy zabierze prawdopodobnie z dziesięć minut, a może i więcej. Czyli że za jakieś osiem minut powinna wyjść przez drzwi służbowe — a ja powinienem wejść.

Mój plan był prosty. Wymagał tylko szczęścia... i ciemności.

Najpierw sprawdziłem lampy na ścianie. Gdyby skomplikowana konstrukcja utrudniała dostęp do żarówek, musiałbym zdobyć narzędzia. Oznaczałoby to konieczność powrotu do samochodu i stratę cennego czasu. Ale miałem szczęście. Szklane klosze były przymocowane zwykłymi nakrętkami motylkowymi. Szybko obszedłem wszystkie lampy, odkręcając nakrętki, zdejmując klosze i zabierając żarówki. Usunąwszy ostatnią z nich, wyjąłem miniaturową latarkę, skierowałem snop światła o rozmiarach srebrnego dolara na zasmarowaną olejem

betonową podłogę i ruszyłem za nim między zaparkowanymi samochodami niczym bileterka prowadząca widzów na miejsce.

Tak, jak myślałem, drzwi służbowe miały typową konstrukcję zmniejszającą ryzyko wyważenia — otwierały się na zewnątrz, a zamek i zawiasy były ukryte w środku. Mój plan zakładał wykorzystanie niespodziewanej ciemności dla odwrócenia uwagi. Kiedy sprzątaczką otworzy drzwi, chciałem wepchnąć coś twardego pomiędzy zawiasy i futrynę tak, by drzwi mogły się przymknąć, ale nie zatrzasnąć. A skoro otwierały się na zewnątrz, powinny mnie przez chwilę zasłonić, przynajmniej na tyle, bym zdążył przemknąć się za plecami starej i zablokować drzwi butem. Istniało wprawdzie ryzyko, że sprzątaczką nie usłyszy trzasku zamka, ale uznałem, że gdy znajdzie się zupełnie sama na ogromnym, ciemnym parkingu, nie zwróci uwagi na taki drobiazg.

Aby zastosować ten plan, musiałem się zorientować, z której strony są zawiasy. Zacząłem więc opukiwać drzwi pięścią. Stukot brzmiał jednak wszędzie tak samo, co oznaczało, że drzwi wykonano z litego materiału. Gdyby były ramowe, wówczas mógłbym zlokalizować zamek, a w konsekwencji także i zawiasy. Skierowałem światło latarki na podłogę. Po prawej ujrzałem wąskie, półkoliste wgłębienie w betonie, wyżłobione przez dolny bolec. A zatem zawiasy były po lewej.

Tu jednak zaczynały się problemy. Przede wszystkim, skąd wziąć coś dostatecznie mocnego i wąskiego, by mogło posłużyć za klin. Przeszukałem kieszenie: grzebień, scyzoryk, drobne, zapalniczka, paczka „Cameli”, zapałki, portfel, kluczyki do samochodu, wieczne pióro, ogryzek ołówka... nic, co mogłoby mi się przydać. Oświetliłem oba samochody. Gdyby któryś z nich był otwarty, miałbym do dyspozycji więcej narzędzi. Właśnie miałem to sprawdzić, gdy zza drzwi doleciał mnie odgłos kroków i niskie, zawodzące dźwięki. Sprzątaczką śpiewała. Stałem jak wryty, zastygłem w bezruchu, przyciskając plecy do ściany. Czekałem.

Łamiący się, starczy głos przeżuwiający słowa hymnu pochwalnego był coraz bliżej. Spiałem się i wstrzymałem oddech, gdy szczęknął zamek, skrzypnęły zawiasy i światło przebiło ciemności.

Po raz drugi dopisało mi szczęście: stara Murzynka nie wyszła na parking — krzyknęła tylko „olaboga!”, jak gdyby zrzuciła sobie belę bawełny na duży palec u nogi, i puściła drzwi. Z szybkością i zdecydowaniem domokrażcy wsadziłem stopę w zwięzającą się szparę. Nastawiłem uszu. Po drugiej stronie stara mruczała sama do siebie, że musi zawiadomić ochroniarza. Następnie rozległo się szuranie, tym razem coraz cichsze. Odczekałem, aż kroki ucichną na dobre, po czym wsunąłem pół twarzy w szparę.

Krótki, kiepsko oświetlony korytarz prowadził do podwójnych drzwi wahadłowych z małymi okrągłymi okienkami. Doleciał zza nich odgłos wybierania numeru telefonicznego, a potem słowa:

— Czy to pan, panie Lomas? To ja, panna Jackson z dołu. Na parkingu wysiadły wszystkie światła.

Podczas gdy sprzątaczką słuchała rozmówcy, szybko przejechałem ręką po futrynie i namacałem otwór, w który wchodził rygiel zamka. Mój nowy plan polegał na tym, żeby go zablokować, a tym samym uniemożliwić zatrzaśnięcie samoczynnie zamykanych drzwi. Bez trudu wsunąłem w komorę zamka trzy palce. Mniej więcej tej szerokości była moja zapalniczka. Wyciągnąłem ją z kieszeni i wsunąłem w otwór w futrynie, lecz zachwiała się i wypadła. A powinna pasować na wcisk, inaczej wszystko na nic. Musiałem coś szybko wymyślić — rozmowa telefoniczna dobiegała końca.

— Nie będę tu siedzieć całą noc, bo pan chce wpierw skończyć gazetę — groziła stara Murzynka. — Zaraz jadę na górę, wypuści mnie pan od frontu. — Zapadła krótka cisza. — A pewno, że sprawdzę, czy pozamykane. Czy ja kiedy nie sprawdziłam?

Rozległ się dźwięk odkładanej słuchawki. Mógłbym zaklinować zapalniczkę pięcioc-

ntówką, ale nie chciałem brzęczeć drobnymi, za duże ryzyko. Pozostawał więc guzik. Odebrałem jeden z czterech guzików z przodu marynarki i wcisnąłem go w komorę zamka pod zapalniczką. Następnie cofnąłem stopę i patrzyłem, jak żółte pasemko światła kurczy się i zapada ciemność. Wreszcie z całej siły napałem barkiem na drzwi.

Usłyszałem, jak stara człapie z powrotem korytarzem, i poczułem, jak naciska na drzwi. Nie ustąpiły ani o włos, bo też z drugiej strony blokowało je całe sto sześćdziesiąt osiem funtów mojej żywej wagi. Najwyraźniej usatysfakcjonowana, panna Jackson odeszła podśpiewując pod nosem.

Odczekałem z pięć minut na wypadek, gdyby stara po coś wróciła lub detektyw hotelowy postanowił sam zbadać sytuację. Ale nikt się nie zjawił. Czekając, wypaliłem papierosa i wyciągnąłem z komory zamka zapalniczkę i guzik. W końcu, cicho zamykając za sobą drzwi, wszedłem do gmachu Fiska.

Podwójne drzwi wahadłowe z okrągłymi okienkami prowadziły do szatni wyposażonej w zielone metalowe szafki i długi, przykryty ceratą stół, zastawiony brudnymi filiżankami po kawie. Dalej znajdowała się wnęka, w której sprzątaczkę trzymały szczotki i kubły, a dozorca narzędzia. Na wypadek, gdybym musiał poradzić sobie z zamkniętymi szufladami czy drzwiami, zabrałem stamtąd dziesięciocalowy śrubokręt i średnie obcęgi.

Nie mogłem skorzystać z windy, chyba że chciałbym przejechać przed samym nosem tajniaka. Pozostawała jeszcze winda służbowa i schody. Tyle że szum silnika elektrycznego i skrzypienie kabli z pewnością dałyby się słyszeć w recepcji. Moje kroki na wysokich marmurowych schodach też wprawdzie brzmiały jak salwy armatnie, o ile jednak nic nie mogłem poradzić na hałas windy, o tyle stukot skórzanych podeszew łatwo mogłem zlikwidować.

Usiadłem na drewnianej ławie koło stołu i zdjąłem półbuty. Żeby ich nie upuścić, a także by mieć wolne ręce, związałem je za sznurówki i zawiesiłem sobie na szyi. Następnie schowałem narzędzia dozorca do tylnej kieszeni spodni i zacząłem długą wspinaczkę na osiemnaste piętro.

Kiedy w znoszonych skarpetkach przemykałem wzdłuż wind do drzwi kancelarii „Botubota i Botubota”, doradców prawnych, towarzyszyło mi sporadyczne skrzypienie i jęki — te tajemnicze odgłosy, które wydają wszystkie budynki we śnie. Innych dźwięków nie było, za to było światło. Daleko za moimi plecami, na końcu korytarza, obramowany przez wysokie okno księżyc w pełni kładł na podłodze srebrzysty dywan.

Wyjąłem narzędzia, pochyliłem się i obejrzałem zamek w drzwiach kancelarii. Solidna robota. Wyglądało na to, że nie obejdzie się bez młotka. Owinałem drewniany trzonek śrubokręta chusteczką do nosa, by wytłumić hałas, wsadziłem go w dziurkę od klucza i stuknąłem weń mocno. Mogłem się nie fatygować. Drzwi były otwarte. Ale nie wszedłem do środka, nie tak od razu. Coś mi tu nie grało. Prawnicy są ostrożni i skryci. Nie urywają się do domu zostawiając otwarte kancelarie. Wprawdzie jeśli ktoś wynajmuje kosztowne pomieszczenia w gmachu Fiska, to nie zakłada, że jacyś obcy będą się tam kręcić po godzinach pracy. Ostatecznie płaci za to ochroniarzom, i to nielicho. Tyle że jeśli nawet komuś zdarzy się czasem zapomnieć zamknąć drzwi, to sprawdza je każdy tajniak na swojej zmianie. Nie, coś tu wyraźnie śmierdziało.

Nie ruszając się z miejsca, wypaliłem całego papierosa. Gdybym miał choć resztki zdrowego rozsądku, wróciłbym do domu i wsadził obolałe nogi do wody z musztardą, niestety w dniu, kiedy się urodziłem, rozsądkiem nie obdzielali. Krzepy i ciętego języka mieli pod dostatkim, ale cały zapas zdrowego rozsądku im wyszedł. Schowałem narzędzia do kieszeni, włożyłem buty i ostrożnie otworzyłem drzwi.

Wewnątrz było o wiele ciemniej i znów musiałem skorzystać z latarki, by trafić do recepcji. Dalej jednak nie była mi już potrzebna. Ktoś, kto zapomniiał zamknąć drzwi, zapomniiał też zgasić światło w korytarzu, w dodatku całkiem niedawno, bo patrząc z ulicy, nie dostrze-

głem na osiemnastym piętrze żadnych świateł.

Coś mi mówiło, że drzwi do gabinetu Louisa Botubota również zastanę otwarte — i rzeczywiście. Opuszczone żaluzje sprawiały, że w środku było całkiem ciemno, więc zastawiłem drzwi krzesłem i rozejrzałem się, korzystając ze światła w korytarzu.

Za biurkiem Botubota, na tle dębowej boazerii, stała dwupiętrowa szafka na akta. Wymarzone miejsce na rozpoczęcie poszukiwań. Gdybym to ja był adwokatem i miał plik ważnych i tajnych dokumentów, to trzymałbym je właśnie tam, pod ręką, a nie w pokoju sekretarki, razem z resztą papierzyk.

Po raz drugi tego dnia przemierzyłem gabinet. Mijając biurko, przypadkiem musnąłem mosiężny klosz stojącej tam lampy. Oparzył mnie. Ten, kto otworzył drzwi kancelarii i pozapalał światła, zgasił lampę na biurku dosłownie przed chwilą. Na mój gust jeszcze ze trzy, cztery minuty temu ktoś przebywał w gabinecie, a przypuszczalnie nadal się tu znajdował. Nos mi podpowiedział, że nam obu chodzi o to samo. Nie musiał mi jednak mówić, że nie ma sensu szukać akt Westerna. Obie szuflady szafki były otwarte, a na dywanie walały się zapisane na maszynie kartki. Mimo to na wszelki wypadek przykucnąłem i przerzuciłem papiery. Właśnie odkładałem akta sprawy Walters kontra Walters, gdy usłyszałem za sobą szelest materiału. Nim się odwróciłem, ostra krawędź jakiegoś ciężkiego przedmiotu ześlizgnęła mi się po czaszce i trafiła z boku w kark.

Na chwilę cały świat zamarł i przygasł niczym żarówka podczas wyładowania elektrycznego. A potem stałem na wprost mojego sobowtóra. Mike Dime numer dwa był identyczny jak ja, miał nawet takie same znoszone bawełniane skarpetki i urwany guzik od marynarki.

— Idę się przewietrzyć — oświadczył i zniknął za metalowymi drzwiami.

— Wracaj szybko! — zawołałem za nim. — Wkrótce będziesz mi potrzebny.

Odpowiedzi już nie usłyszałem. Rozżarzony do białości ból przemknął mi po kręgosłupie niczym urwany wagonik kolejki linowej i eksplodował w krzyżu. Upadłem nieprzytomny na podłogę.

## 7.

Dużo później wydostałem się chwiejnie z gmachu Fiska tą samą drogą, którą wszedłem, dowlokłem zakrwawioną łepetynę do samochodu i odjechałem w takim tempie, że mógłby mnie wyprzedzić karawan, któremu zabrakło benzyny.

Nie miałem zamiaru odwiedzać Nancy Canady; to wyszło jakoś tak samo przez się.

— Jest w pół do trzeciej w nocy — powitała mnie ochryplym od snu głosem. — Co pana tu sprowadza o tej porze, na miłość boską?

Po niedawnym uderzeniu w kark miałem spuchniętą i obolałą szyję. Trudno było mi mówić, lecz wykrztusiłem kilka słów na dobry początek.

— Kawa — odparłem wskazując drżącym palcem na usta. — Mocna, gorąca kawa.

Dziewczyna zamknęła drzwi mieszkania i poprowadziła mnie przez wygodny salon do pięknego, starego tapczanu, zarzuconego poduszkami z perkalu. Zrobiłem sobie trochę wolnego miejsca i nader ostrożnie usiadłem, przyciskając zakrwawioną chusteczkę do karku.

Nancy Canady stanęła przede mną, grzbietem dłoni przecierając powieki. Jej drobne ciało ginęło w czarnym szlafroku z mięsistego aksamitu, za dużym o jakieś sześć rozmiarów. Mankiety sięgały jej za kolana, a spód ciągnął się za nią niczym tren sukni balowej. Wyglądała jak mała dziewczynka przymierzająca ubrania matki.

— To Chucka — wyjaśniła, przechwytyjąc moje spojrzenie i mocniej ściągając pasek



pod wielkim monogramem wyhaftowanym żółtą jedwabną nitką na górnej kieszeni. — Na nim wygląda wspaniale.

— To już o niczym nie można sobie pomyśleć, żeby nie było tego widać? — spytałem.

Ściągnęła pasek jeszcze ze dwa centymetry i ziewnęła.

— Zaparzę kawę, panie Dime. Niestety, nie mogę panu zaproponować nic mocniejszego.

Przytrzymując szlafrok jedną ręką, zdecydowanie ruszyła do malutkiej kuchni. W progu zatrzymała się i odwróciła.

— Proszę się czuć jak u siebie w domu. Jeśli pan chce, niech pan nastawi jakąś płytę. Gdzieś tam leży ta, którą Chuck nagrał z tym wymoczkowatym murzyńskim wokalistą... jego nazwisko ciągle wylatuje mi z pamięci. Ale głos ma ładny. Gramofon to tylko stary grat na korbkę, ale działa znakomicie. Stoi tam, przy oknie.

Nancy Canady pomachała rękawem w stronę wielkiej skrzyni o barwie węgla, która spełniała także rolę stolika. Stał na niej emaliowany dzbanek pełen róż herbacianych, których upajający zapach dominował nad wszystkim w promieniu mili.

— Kawa będzie za moment — dodała i po chwili z kuchni doleciał brzęk zastawy.

Rana na moim karku wciąż pulsowała boleśnie, ale nie mogło mnie to powstrzymać od myszkowania. Mieszkanie znajdowało się w zachodniej części Filadelfii, za szpitalem Miłosierdzia. Wystrój był standardowy, a meble, wśród nich wdzięczny bostoński bujak z ozdobną poręczą, na pierwszy rzut oka wyszły z mody w latach urzędowania Jamesa Knoxa Polka. Stanowiły jednak miłą odmianę w porównaniu ze sztuczną skórą i plastikowymi pokrowcami.

— Bycze mieszkanko — zawołałem. — Od dawna je pani zajmuje?

— Odkąd aresztowali Chucka. Przedtem mieliśmy pokój we „Franklinie”. Ale nie lubię sama mieszkać w hotelu, więc przeniosłam się tutaj.

Nad kominkiem wisiała oprawiona reprodukcja przedstawiająca Waszyngtona przekraczającego Delaware, lecz większą jej część przesłaniała kolekcja fotografii, zatkniętych za ramkę. Na zdjęciach był Chuck przy perkusji, Chuck uśmiechnięty, Chuck wymieniający uścisk rąk z Nat King Cole'em, Chuck i Nancy w filadelfijskim zoo, Chuck i Nancy w kostiumach kąpielowych, Chuck i Nancy na wystawie... Tylko jedno zdjęcie przedstawiało samą Nancy. Ubrana była w podkoszulek z nadrukiem szkoły, szorty i trampki i miłośnie tuliła złotego cocker spaniela. Ciemne włosy miała dużo dłuższe niż teraz, przewiązane wstążką, lecz jej twarz niewiele się zmieniła przez te dwa, trzy lata, odkąd zrobiono fotografię.

Wpatrzony w zdjęcie, zupełnie zapomniałem, że wciąż przyciskam chusteczkę do karku. Nagle gwałtownie opuściłem rękę i poczułem, że rana otworzyła mi się na nowo. Byłem niezłe poturbowany. Zdjąłem krawat, związałem go bezpośrednio na szyi pod kołnierzykiem i splotłem wolne końce w muszkę. Nie sądziłem, żeby zbyt wiele dziewczyn dało się złapać na taki styl, ale jako opaska, krawat spełniał zadanie.

— Nic się panu nie stało? — zawołała Nancy z kuchni. — Co pan tak nagle zamilkł?

Doleciał mnie wspaniały zapach świeżo parzonej kawy, więc poklepałem kieszenie w poszukiwaniu przyjaznego szelestu celofanu. Bez skutku. Moje kieszenie były nieme jak filmy z Florence Lawrence.

— Skończyły mi się papierosy — odkrzyknąłem poprzez brzęk zastawy.

— Niech pan zajrzy do mojej torebki. Znajdzie pan paczkę, którą próbowałam wypalić wczoraj w pańskim biurze. Torba leży z boku kanapy, na której pan siedzi.

Przechyliłem się przez poręcz i podniosłem torbę. Przerzuciwszy szesnaście ton kosmetyków, znalazłem w końcu papierosy, upchnięte pod pudełkiem nowych butów owiniętych w żółtą bibułę. Na wieku widniała cena. Wynikało z niej, że buty zeżarły moją dniówkę plus wydatki!. Odłożyłem torbę na podłogę i poczęstowałem się papierosem.

— Ta moja torba czasami jest okropnie ciężka. — Nancy Canady płynęła ku mnie z tacą. Postawiła ją na rzeźbionym hebanowym taborecie między kanapą a bujakiem, gdy zapa-

lałem papierosa, nalała mi filiżankę kawy. Wypiłem małymi, szybkimi łyżkami.

— Chyba jest trochę za jasno — powiedziała. — Zostawię tylko kinkiet na ścianie. Co pan na to?

Odpowiedziałem niezobowiązująco i zapadłem między głębokie poduszki. Jeśli o mnie chodzi, mogło być równie jasno, jak na stadionie Yankee przy pełnym oświetleniu.

Podczas gdy ona zajmowała się światłami, w wyniku czego półmrok rozpraszały tylko dwie sztuczne świece na ścianie, ja opróżniłem tygielek kawy do końca.

— Tytoń i kawa — stwierdziłem z zadowoleniem, gdy Nancy usadowiła się wygodnie w bujaku, z kolanami podciągniętymi pod brodę. — To lepsze niż cynaderki u Ritza.

Przez pewien czas siedzieliśmy w milczeniu. Gdy byłem w połowie drugiego papierosa, odezwała się nagle:

— Mogę panu coś powiedzieć, panie Dime? — Mówiła cichym, wciąż zaspanym głosem. — Poturbowany prezentuje się pan dużo lepiej.

Wydmuchałem dym i upiłem łyżek kawy. Potem posłałem jej szeroki, głupkowaty uśmiech, właściwy wszystkim mężczyznom, którzy sądzą, że usłyszeli komplement, i zacząłem wstawać z miejsca.

— Spokojnie, Romeo — powstrzymała mnie Nancy, kołysząc się łagodnie. — Powiedziałam tylko, że prezentujesz się lepiej. Nic więcej. Nasza znajomość nie wykracza poza sprawy zawodowe. Żadnych sztuczek, pamiętasz?

Odstawiłem filiżankę na tacę, obok cukiernicy, i zgasilem papierosa w spodku.

— Skoro już mowa o sprawach zawodowych, to czy nie jest pani ciekawa, co porabiałem przez cały dzień i połowę nocy? Dlaczego wyglądam jak panienka spod latarni po przejściu kompanii rekruta?

Nancy uśmiechnęła się.

— Bardziej mnie ciekawią przyczyny, dla których taki wielki kłęb mięśni, jak pan, uznał, że ma dość oleju w głowie, by zostać prywatnym detektywem.

— Świetnie się składa — warknąłem. — Pozwoli pani sobie wyjaśnić, panno Canady, że próbując uwolnić z kicia pani kochanka, co staje się coraz bardziej wątpliwe, omal nie zginąłem parę godzin temu, gdy ktoś walnął mnie mosiężnym gryfonem w kancelarii Louisa Botubota.

— Nie przypuszczałam, że wygląda pan tak dlatego, że pograł pan sobie na automatach. — Jej nosek drgnął jak u królika. — Niech mi pan powie, gdzie pan się uczył opatrywać rany? W wojsku?

Wsadziłem kciuk pod krawat.

— Chodzi pani o to? Nie, psze pani. Nauczył mnie tego kłown z cyrku. Poza tym dał mi lekcję spadania z drabiny i łapania ciastek z kremem.

— Ten sam, który nauczył pana, jak zostać prywatnym detektywem?

Nie byłem w swojej zwykłej formie. Wytrząsałem z paczki następnego papierosa, przetoczyłem go między palcami i w milczeniu odmierzałem upływający czas.

Nancy Canady bujała się w fotelu, obserwując mnie bladozielonymi oczyma, które w tym mizernym świetle wydawały się niemal przezroczyste. Była dziwnie zamyślona.

— Niech mi pan opowie o sobie — odezwała się w końcu. — Mam wrażenie, że był pan żołnierzem. Może nawet bohaterem wojennym. Kto wie? Niech mi pan opowie o sobie, panie Dime. Uwielbiam bajki na dobranoc.

Włożyłem papierosa do ust i przypaliłem go, starając się, by każdy drobny, przeciwiczny ruch trwał dłużej niż zwykle. Miałem nadzieję, że jeszcze coś powie. Ale nadeszła kolej na mnie, więc odezwałem się gardłowo:

— Kiedyś nie byłem do wynajęcia. W górnej kieszeni miałem odznakę, a w głowie dość ideałów, by wywołać uśmiech na twarzy świętego. Odznaka miała kształt tarczy z brązu, na której wryto trzy słowa: honor, uczciwość i służba. Ale ani ludzie, ani prasa nie używali tych

słów. Nie ma takiej łatki, której by nam nie przypięli, skądinąd zresztą słusznie. W ratuszu łapówki przechodziły z rączki do rączki niczym świecidełka, którymi podróżnicy obdarowywali niegdyś krajowców. Przekupstwo było tam stylem bycia, tyle że ja się do tego nie nadawałem. Zmieniłem więc niebieską koszulę na khaki, dostałem parę gwiazdek i oddział specjalny, który miałem wyszkolić, a kiedy Roosevelt dał znak do ataku, byłem już zwarty i gotowy.

Wstałem, podszedłem sztywno do okna i spojrzałem na gwiazdy.

— Na plażach Normandii zabiłem tylu Niemców, ilu mi wpadło w ręce. Było wśród nich pewnie kilku hitlerowców, ale niewielu. Przeważnie barmani, kwiaciarze, może i paru byłych gliniarzy jak ja. Wuj Sam był zachwycony. Nie bawiło go zwalczanie przestępczości i zamykanie przekupnych policjantów, ale za obracanie świata w kupę gruzu każdego czekały medale. Po powrocie i mnie coś wpięli w klapę i kazali ustawić się w kolejce, wraz z trzema milionami innych facetów, po robotę, której nie było. W czasach pokoju na fach, którego mnie uczyli przez trzy lata, nie mieli zapotrzebowania. W ogłoszeniach nie znalazłem rubryki „Okaleczanie ciała”, a wierz mi, szukałem, gdzie się dało. Wobec tego sprzedałem kolekcję znaczków, wynająłem dwie klitki na Tasker Street i wystawiłem się wraz z moim rewolwerem na sprzedaż.

Schowałem ręce do kieszeni. Papieros dopalał mi się w kąciku ust.

— I jeszcze coś pani powiem, panno Canady. Przychodzą do mnie dwa gatunki ludzi. Ci z wyższych sfer, którzy traktują mnie jak zapowietrzonego, a potem każą mi czekać sześć lat na zapłatę. A także ci bez forsy, którzy za kilka groszy spodziewają się cudów, a w końcu i tak nic nie płacą. Ale przez te wszystkie lata, przez które noszę odznakę detektywa prywatnego i zarabiam akurat tyle, żeby co roku podzelać sobie buty na świętego Michała, nie trafił mi się jeszcze ani jeden klient, którego miałbym ochotę jeszcze kiedyś spotkać. Właściwie to żadnego z nich nie chcę znowu oglądać.

Nie odwracając się czekałem na jej reakcję. Ale milczała.

— To nie przypadek, że tu przyszedłem — podjąłem więc, choć słowa przychodziły mi z trudem. — Próbowałem sobie wmawiać, że to jakoś tak samo wyszło. Ale ani ja, ani pani w to nie wierzymy. Chodzi mi o to, że nikomu nie mówiłem tego, co pani przed chwilą, i pewnie nikomu już nie powiem. Ale skoro tak łatwo czyta pani w moich myślach, to chyba nic więcej nie muszę mówić.

Wyglądając przez okno, dopaliłem papierosa. Jak zwykle w sierpniu przed świtem powietrze było chłodne, rześkie. Nagle odwróciłem się i spojrzałem na bujak... pusty. Cicho przeszedłem przez pokój i spojrzałem przez poręcz na kanapę. Nancy Canady, zwinięta w kłębek, spała na środku sterty poduszek. Za nią widniała na ścianie jej fotografia ze spanielem. Znow przyciągnęła moją uwagę.

Był to nie tyle wizerunek Nancy, co portret zamierającej niewinności, utrwalony obraz długich wakacyjnych dni poprzedzających pierwsze zrywy kobiecości. Wątpię jednak, czy ktokolwiek tak by to odebrał. Większość ludzi, także i sama Nancy, widziała w tym tylko zdjęcie dziewczyny z psiakiem. Może i słusznie.

Przeszedłem na drugą stronę kanapy i stanąłem, wsłuchując się w powolny oddech Nancy. Mój kapelusz leżał pod stertą poduszek. Prawie go wysunąłem, gdy Nancy powoli uniosła głowę i otworzyła oczy.

— Ja strasznie przepraszam — mruknęła przez sen i wyciągnęła się na wznak. — Czego nie usłyszałam?

— Nieważne - odparłem. — Historia mojego życia każdego wyleczyłaby z bezsenności. Jej oczy zwiłgotniały.

— Nie gniewaj się — szepnęła i podniosła rękę. Szeroki rękaw szlafroka zsunął się, odsłaniając szczupłe, nagie ramię. Ująłem ją za rękę i nachyliłem się. Zamknęła oczy, nadstawiła usta i czubkiem języka musnęła moje wargi. Przełknąłem ślinę. Wiatr zagwizdał mi w

uszach, krew napłynęła do żył, o których już dawno zapomniała, puls w poranionym karku zaczął mi walić jak Rocky Marciano. Jednym wdzięcznym ruchem Nancy ujęła mnie z tyłu za głowę i przyciągnęła do siebie. Przyklęknąłem. Pocałowaliśmy się szybko, ze smutkiem, nie tyle z pożądania, co z ciekawości. Oparłem rękę na jej klatce piersiowej, tak wąskiej, że bez trudu mieściła się w mojej wielkiej, rozpostartej dłoni. Czułem szybkie bicie jej serca pod miękkim bawełnianym szlafrokiem, czułem ciepło jej ciała. Znow się pocałowaliśmy, tym razem śmieiej. Zaczęła oddychać szybciej, gdy zapuściłem rękę w zakamarki szlafroka, lecz zaledwie czubkami palców musnąłem skórę jej brzucha, krzyknęła i odepchnęła mnie.

— Hej, spokojnie — powiedziałem, dla otuchy chwytając ją za nadgarstek. Ona jednak odebrała to inaczej.

— Puszczaj! — Wyszarpnęła rękę, odwróciła się do mnie plecami i wtuliła w stertę perkalu.

Patrzyłem na nią bezradnie. Normalnie w takiej sytuacji poprawiłbym tylko krawat. Tyle że teraz i ja, i krawat, byliśmy w sytuacji nienormalnej.

— Lepiej już idź — wysapała Nancy w poduszki. — Przepraszam cię, naprawdę. Możesz mieć do mnie pretensje, bo to moja wina. A jeśli ci to pomoże, wiedz, że nie grałam. Naprawdę miałam na to ochotę. A przynajmniej tak mi się zdawało.

Wstałem roztrzęsiony, szukając odpowiednich słów. Nie przyszło mi jednak do głowy nic stosownego, więc włożyłem kapelusz, odwróciłem się i ruszyłem do drzwi. Dzieliło je od kanapy najwyżej dziesięć stóp, a jednak mając za plecami szlochającą gorzko Nancy Canady czułem się tak, jakbym szedł pieszo do Bombaju.

## 8.

Nad ranem, kiedy długie ulice na przedmieściach Filadelfii są niemal puste, przejazd od Szpitala Miłosierdzia do Tasker Street zajmuje około trzydziestu minut. Karetce pogotowia na sygnale potrzeba na to nie więcej niż dwadzieścia, zakładając, że jej personel nie wstąpi po drodze na piwo. Ale nieszczęśnik z rozwaloną głową, którą coraz bardziej opanowuje chandra spotęgowana tym, że właśnie dostał kosza, może przebyć ten dystans znacznie szybciej. Wystarczy, że wciśnie gaz do dechy i przejedzie więcej czerwonych świateł, niż jarzy się na świątecznej wystawie u Schwartza, a zaliczy tę trasę w dziesięć minut. Tak właśnie zrobiłem. Ale obłąkańcza jazda ani trochę nie poprawiła mi samopoczucia. Kiedy zdjąłem nogę z gazu, nadal byłem nieco zamroczony od ciosu w głowę. Samo zaś wspomnienie moich niezdarnych umizgów do Nancy wzbudzało we mnie niesmak, jaki najpewniej czuje dentysta w zetknięciu z cuchnącym oddechem pacjenta. Liczyłem jednak, że parę łyków mocnego trunku szybko przyniesie mi ulgę.

Zaparkowałem samochód wzdłuż ulicy dwoma kołami na chodniku, a następnie z trudem pokonałem cztery kondygnacje schodów prowadzących do mojego mieszkania. Wtoczyłem się do środka i przez pewien czas sztywno, niemal bezwiednie powłócząc kończynami, krążyłem otepiały po domu w poszukiwaniu butelki napełnionej czymś, co nie byłoby mlekiem, ketchupem ani balsamem do pielęgnacji włosów. Natknąłem się na nią w łazience na szklanej półce nad umywalką. Wziąłem kubek do mycia zębów, przepłukałem pod kranem i na cztery palce napełniłem go czystym bourbonem z Kentucky. Potem ściągnąłem z siebie wymiętoszone ubranie, rzuciłem je na dywan w pokoju gościnnym i z kubkiem w garści dowlokłem się do sypialni.

Za oknem powoli się rozwidniało.

Podszedłem do szpary w zasłonach i przytępieniem wzrokiem wodziłem po świetlistej złotej smudze, rysującej się ponad dachami na skraju ciemnego jeszcze nieba. Leniwie przepłukując usta trunkiem, przyglądałem się, jak brzeg ogromnej pomarańczowej kuli toruje sobie drogę ku zaznaczającym się na tle nieba konturom zabudowań wschodniej Filadelfii. Z dostojnością starego króla wstępującego na tron, słońce wydostało się ponad horyzont i smugami delikatnego różu i krwistej czerwieni pokryło wysokie poranne chmury. Wysączyłem resztkę bourbona i szczelnie zasłoniłem okno.

Podszedłem do łóżka, walnąłem się na posłanie i w tej samej chwili poczułem lekki przyływ mdłości. Od śniadania nie miałem w ustach nic konkretnego, toteż mój żołądek z trudem dawał sobie radę z niespodziewaną porcją whisky. Usiadłem więc, zwiesiłem głowę między kolana i zaczerpnąłem kilka głębokich oddechów. Potem zapaliłem papierosa i po kilku minutach mdłości ustąpiły, tak że znowu mogłem się położyć.

Przez jakiś czas miałem w głowie całkowitą pustkę. Leżałem spokojnie, wydychając w sufit gęste obłoki jasnoszarego dymu i czekałem, aż z przemyśleń tego długiego dnia wyłoni się jakiś obraz. W końcu wyłonił się Chuck Western i ów wieczór, kiedy go przymknęli.

Tamten wieczór, jak mi powiedział, zaczął się podobnie do innych. Chuck zjawił się w pracy, przećwiczył z orkiestrą parę kawałków, połknął wczesną kolację, wlał w siebie kilka piw i zagrał trochę bebopa. Pamięta także i to, że pochował bębny do futerałów i włączył się w jakieś przyjęcie urodzinowe. To, co działo się później, jest dla niego już tylko mroczną plamą. Takie plamy nie pojawiają się jednak bez przyczyny. Rozważyłem kolejno różne możliwości.

Na wstępie odrzuciłem pomysł, że ktoś dosypał Westernowi do szklanki „Głupiego Jasia”. Choć, jeśli jakiegoś osobnika ni stąd, ni zowąd ścina z nóg po wypiciu czegoś, czego sam wcześniej nie zamawiał, to można na ogół podejrzewać działanie środków usypiających. Dają one jednak skutek natychmiastowy — nie przechodzi się przez etap sennaści. Tymczasem Western wstał od stołu i dotarł do szatni o własnych siłach.

Wszystkie materiały dowodowe wskazują, że Western popalał trawkę, choć on sam stanowczo temu zaprzecza. Faktem jest, że podczas aresztowania znaleziono przy nim skręty, ale on upiera się, że to spreparowane oskarżenie, że ktoś chce go zrobić. Co więcej, stan jego umysłu świadczył o tym, że był wówczas pod wpływem narkotyków. Ale jeśli nawet Western się naćpał, nadal było niejasne, dlaczego tak nagle padł. Zastanawiałem się nad tym przez chwilę. W końcu doszedłem do wniosku, że pewnie wlał w siebie znacznie więcej gorzały, niż mu się wydawało. Nie byłem jednak zachwycony tym rozwiązaniem.

Tak czy owak, zalany czy naćpany, Western dowłókł się jakoś do szatni, gdzie zwałił się z nóg, i nie pamięta nic więcej aż do chwili, gdy huk wystrzałów przerwał mu nagle sen.

Półprzytomny dobiegł do przyległego biura, gdzie na podłodze znalazł martwego Ike'a Vreema i leżący obok zabitego pistolet. Chuck rozpoznał broń, podniósł ją, i w tej samej chwili wpadł policjant Angelo Stipello, wymachując kajdankami.

Ta sytuacja także była niejasna.

Od Bananiera dowiedziałem się, że w raporcie policyjnym mowa jest o tym, iż kule wystrzelono zaledwie na kilka minut przed aresztowaniem Westerna. Przyjmując, że to nie Western zabił Vreema, musiał zrobić to ktoś, kto znajdował się w pobliżu „Dżungli” wówczas, gdy zjawił się Stipello... możliwe nawet, że zabójca nadal przebywał w środku. Niewątpliwie klub ma więcej niż jedno wyjście, ale gdyby morderca opuszczał go frontowymi drzwiami, z całą pewnością nadziałyby się prosto na gliniarza.

A skąd się wziął ten gliniarz tuż koło „Dżungli” i to akurat wtedy, gdy Vreem i Western stawali się głównymi bohaterami rubryki kryminalnej miejscowej gazety? Czy to czasem nie nazbyt zgrabne? To mnie właśnie uderzyło. Uderzyło mnie, że w całej tej historii wszystko tak jakoś cholernie zgrabnie do siebie pasuje. W szczególności zaś argument Botubota, że w interesie jego klienta leży, by ani słowem nie wspominać o narkotykach. Była to oczywista

bdzura i adwokat doskonale o tym wiedział. Gdyby Western otwarcie przyznał się do brania narkotyków, policja musiałaby oskarżyć go o ich nadużywanie. Podobne zarzuty, jeśli zdoła się je udowodnić, pociągają za sobą surowe wyroki. Mimo wszystko jednak, gdyby udało się wykazać, że Western był naćpany w chwili, gdy popełniono zabójstwo, wtedy szanse prokuratora wnoszącego o skazanie Westerna za morderstwo pierwszego stopnia, byłyby znacznie mniejsze. I o to właśnie powinien zabiegać Botubot.

Po wschodzie słońca, gdy wypaliłem ostatniego papierosa i zaczynałem pogrążyć się w mrocznym transie, z którego wybawić może tylko sen, nagle zadzwonił telefon.

Przewróciłem się na bok, twarzą w stronę nocnego stolika, i po omacku starałem się odnaleźć słuchawkę.

— Witaj, detektywie. Mam nadzieję, że pana nie obudziłam. — Rozpoznanie osoby po głosie nie nastęrczało mi większych trudności.

— Skądże znowu. Co też pani przyszło do głowy? — Spojrzałem na zegarek. — Zawsze wstaję o piątej trzydzieści. Żeby mieć dużo czasu na mycie zębów i wylewanie sobie kawy na koszulę.

— Pan jest na mnie zły.

— Nie na panią, panno Canady. Jestem zły na siebie.

— Przepraszam — zaszczębiotała słodko. — Chciałam się tylko upewnić, że pan zrozumiał... no, wie pan... to, że kocham Chucka.

Odpowiedziałem, że co prawda udało mi się zgłębić zasady dynamiki Newtona, ale z pewnością nie psychikę kobiet.

Roześmiała się.

— Jeśli kiedyś zaprosi mnie pan na drinka, wyjaśnię panu, o co im chodzi.

Powiedziałem, że wprost nie mogę się doczekać tej chwili, po czym odłożyliśmy słuchawki. Odwróciłem się na plecy i zamknąłem oczy. Przeszło mi przez myśl, że byłoby dość zabawnie spróbować ustalić, co to za osobnik przyłożył mi w łeb. Jednak póki co, miałem już dość wrażeń jak na jeden dzień. Zwinąłem się w kłębek i przespałem okrągłą dobę.

W jednej chwili otworzyłem oczy i zerwałem się z łóżka. Byłem rześki i gotowy do działania. Wziąłem prysznic, opatrzyłem ranę plastrem i zbiegłem na wczesne śniadanie. Po goleniu u Tardelliego ruszyłem do oddalonej o parę przecznic chińskiej pralni, gdzie odprasowano mi garnitur i przyszyto guzik. Odebrałem paczkę czystych koszul i przebrałem się w jedną z nich zaraz po powrocie do mieszkania, a następnie udałem się na drugą stronę ulicy, do mojego biura. Tam, za biurkiem, ze słuchawką telefoniczną w garści, spędziłem pracowicie cały ranek. Około południa odprowadziłem pontiaka do Erniego Kafki, żeby wymienił mi reflektory.

Zaczekałem dwadzieścia minut, bo tyle mu to zajęło, a później, już przy piwie, próbowałem coś wyciągnąć od mechanika na temat aerodynamicznej limuzyny, którą zauważyłem obok lincolna na parkingu w podziemiach gmachu Fiska.

Ernie powiedział, że samochód z długim, rozbudowanym tyłem i reflektorami tam, gdzie powinna znajdować się atrapa, to bez wątpienia tucker. Dowiedziałem się też, że wyspecjalizowane zakłady Prestona Tuckera, z centralą w Chicago, wypuściły na rynek tylko pięćdziesiąt jeden sztuk modelu coupe. No a jeśli byłeś jednym z tych pięćdziesięciu jeden waśniaków, i przypadkiem ktoś zajechałby ci drogę, to w te pędy poleciałbyś do firmy ubezpieczeniowej, żeby ci wypłaciła dwa tysiące czterysta osiemdziesiąt pięć dolarów odszkodowania.

Podziękowałem Erniemu, zapłaciłem należność i ruszyłem na poszukiwanie taniego baru, w którym mógłbym zjeść lunch. Przy kawie i hamburgerze długo medytowałem nad tym, co też Lucky Moons mógł wiedzieć o swoim perkusie i ile z tego byłby skłonny powiedzieć prywatnemu gliniarzowi.

## 9.

Nie miałem pojęcia, ile czasu Coran już mnie śledził, choć przypuszczałem, że pewnie zajęło mu to większość przedpołudnia. Ale dopiero wówczas, gdy ruszyłem sprzed niezbyt zatłoczonej knajpki na Passynuk i zmierzałem w kierunku „Dzungli”, spostrzegłem czerwonego chevroleta. Nagle pojawił mi się w lusterku i już tam pozostał, co jednak specjalnie mi nie przeszkadzało. Nie robiłem na razie nic takiego, do czego pryncypał Corana, Clooney, mógłby się przyczepić. Prowadziłem bardzo ostrożnie, stwarzając gliniarzowi jedynie okazję do miłej przejażdżki.

Na Ranstead było dużo miejsca do zaparkowania. Wślizgnąłem się kołami w wolną lukę na wprost „Dzungli” i odczekałem, aż Coran ustawi swój wóz dokładnie po przeciwnej stronie ulicy.

— Ładny dzień dzisiaj! — krzyknąłem w jego stronę. — Spece od prognoz mówią, że pogoda utrzyma się do końca tygodnia!

Coran wystawił przez okno nagie przedramię i zwiesił je niedbale na drzwiach samochodu.

— Ale ty, Dime, chyba się tak długo nie utrzymasz! — Zdjął służbową czapkę i rzucił ją na tylne siedzenie

Coran był niskim, tłustym gliniarzem z czarnymi wąsiskami i łysiną w kolorze wosku. Płaszcz ciemnych, szczeciniastych kłaków okrywał mu ręce od ramion, poprzez grzbiety dłoni, aż po czubki serdelkowatych paluchów. Coran był piekielnie groźny, jeśli miał czyjeś poparcie, ale gdy był zdany tylko na siebie, dosłownie pocił się ze strachu.

Wygramoliłem się z samochodu i przeszedłem przez chodnik.

Tuż nad wejściem do klubu umieszczone pionowo litery tworzyły jego nazwę, a obok, pod kątem prostym do fasady budynku sterczało godło w kształcie goryla. Pod wypłowiałą markizą, w betonowych donicach schły dwie nieduże kokosowe palmy. Dwuskrzydłowe szklane drzwi oklejone były od góry do dołu nazwiskami występujących w klubie artystów. Na lewo od wejścia znajdowała się potężnych rozmiarów plansza, na której odręcznie namalowany napis zapraszał krzykliwymi barwami: „Bop! Wpadnijcie i posłuchajcie rewelacyjnego brzmienia orkiestry Lucky Moonsa, z udziałem Księżniczki Jazzu — Sunshine Lavallo!” Nieco niżej, nazwiska wpisane w błyszczącą złotą gwiazdę tworzyły połyskliwą kompozycję, wprost nie do opisania. Obok planszy widniała naturalnych rozmiarów sylwetka kościstej Murzynki, odzianej w wieczorową suknię obnażającą niemal wszystko, z wyjątkiem może migdałków. Mając w tle dekorację, którą stanowiły kontury Manhattanu nocą, egzotyczna postać wyginała się w dramatycznej pozie, z głową odrzuconą do tyłu i ustami otwartymi dostatecznie szeroko, by z powodzeniem służyć za dołek graczom w golfa.

Mafia opanowała „Dzunglę”, a także niezliczoną ilość podobnych klubów, nie po to, żeby popularyzować jazz — bo nie urodził się jeszcze taki bandzior, który potrafiłby odróżnić Bunka Johnsona od Ala Jolsona — ale dlatego, że nocny lokal jest wprost idealnym miejscem, gdzie można obłowić się na narkotykach i prostytutce. Klub jazzowy był zarazem biurom, magazynem i ladą wystawową pod jednym dachem. I dopóki taka działalność ograniczała się do pory, gdy większość prawomyślnych Amerykanów śpi już głębokim snem, pozwalano mafii operować tak swobodnie, jakby chodziło o prowadzenie kiosku z gazetami na rogu ulicy. Od czasu do czasu, kiedy rywalizujące gangi zaczynały do siebie strzelać, podnosiło się kilka głosów obywateli zatroskanych dobrem publicznym, co nie przeszkadzało, że ten i ów musiał się obywać bez lękotek. Ale tak naprawdę wszyscy mieli to gdzieś, a zwłaszcza gliniarze.

Podziemie mogło odczuwać autentyczne zagrożenie ze strony władz jedynie w okresie

kampanii przedwyborczej, kiedy to prasa ni z tego, ni z owego zaczynała poświęcać wiele uwagi zagadnieniom prawa i porządku. Ale nagłówki gazet nie były niczym innym, jak tylko sygnałem dla burmistrza, że nadszedł stosowny moment, aby palnąć tradycyjną mówkę o tym, jak to miejscowi stróże prawa z ogromnym poświęceniem stawiają czoło nieustającemu zagrożeniu ze strony zorganizowanego świata przestępczego. Nie dodawał jednak, że owo ogromne poświęcenie stróżów prawa jest w znacznej mierze zasilane zastrzykami pieniężnymi, pochodzącymi od mafii, tak samo zresztą, jak jego osobiste wydatki na kampanię wyborczą.

W następstwie tej częściej gadaniny policja, chcąc się wykazać, przeprowadzała pozorowane naloty na kilka spośród kontrolowanych przez mafię spelunek. Grube ryby, rzecz jasna, były o tym zawczasu uprzedzone i jedynie paru podstawionym gościom fundowano gdzieś krótkie wakacje na koszt państwa. Wszystko to załatwiano po przyjacielsku, a więc gdy tylko zdjęto flagi z fasady ratusza, burmistrz na najbliższe cztery lata zapominał o narkotykach, wymuszaniu forsy i hazardzie. Co prawda, zdarzało się, że jakiś mafioso przez pewien czas trzymał się z dala od interesów, a jego klub zmieniał nawet nazwę, ale jakoś nikt nie dawał się na to nabrać. Jeśli ktokolwiek cierpiał w tym układzie, to muzycy, którzy narzekali, że muszą bulić za narkotyki tyle samo, co klienci. Ale muzycy, jak to muzycy, jeśli już narzekali, to tylko między sobą.

Przedarłem się przez palmy i pchnąłem drzwi klubu „Dżungla”. Ukazało się długie, ciemne, wyściełane dywanem foyer. Jego ściany zdobiło malowidło przedstawiające gromadkę zwariowanych dzikich zwierzątek — zebr, łosi i tygrysów — które, wystrojone w balowe czapeczki, grały na saksofonach. Trzema susami przemknąłem obok szatni, a trzy następne zawiodły mnie, po kilku stopniach w dół, przed ciężką, pluszową kotarę w kolorze bordo, która tłumiła odgłosy strojonych przez muzyków instrumentów. Odgarnąłem ją i wszedłem do olbrzymiej, doskonale przewietrzanej sali.

Na Ranstead mieściły się również inne kluby, na ogół jednak obskurne, duszne i ciasne niczym dzwon nurkowy. Natomiast „Dżungla” oferowała rozległy parkiet i mnóstwo stoliaków. Wzdłuż ściany na wprost orkiestry ciągnął się wygięty w kształcie nerki, dobrze zaopatrzone bar, a nad parkietem znajdował się otwarty świetlik w suficie.

Idąc skrajem parkietu, po którym starowina przypominający wuja Toma, z zawiązaną wokół szyi nakrapianą chustką i włosami niczym bawełniany puszek, leniwie jeździł elektryczną froterką, dotarłem do podium dla orkiestry i zatrzymałem się przy stole, na którym piętrzył się stos giętych, pomalowanych na złoty kolor drewnianych krzesel. Ściągnąłem jedno i usiadłem.

Po estradzie krążyła z instrumentami grupka czarnych muzyków, którzy przekładali kartki z nutami, oparte o pulpity w kształcie podkowy, z nabazgranymi w poprzek srebrną farbą napisami „Lucky”.

Moonsa rozpoznałem na podstawie zdjęcia przy wejściu, a także z fotosów zamieszczanych w setkach wydawnictw o tematyce jazzowej, w których na przestrzeni minionego półwiecza zmieniających się stylów zawsze przedstawiano go jako kogoś, kto karierę ma wciąż jeszcze przed sobą.

Przysunąłem się z krzesłem bliżej fortepianu, przy którym Moons jedną ręką wprawnie coś zapisywał, podczas gdy drugą hałaśliwie błędził po klawiaturze w poszukiwaniu właściwego akordu. Miał na sobie brunatne spodnie z wąskimi mankietami, czarną jedwabną sportową koszulkę i śnieżnobiały krawat. W porównaniu z podobizną umieszczoną przed wejściem do klubu wyglądał znacznie starszej; o jakieś pięćdziesiąt lat starszej.

Nikt nie zwrócił na mnie uwagi, zapaliłem więc papierosa, gdy tymczasem Moons w dalszym ciągu pastwił się nad klawiszami. Po jakimś czasie dźwięki, które wydobywał z instrumentu, stały się jakby mniej toporne i zaczęły tworzyć spójne frazy. Cisnął wtedy ołówek na fortepian i zaczął grać obiema rękami, które zwinnie śmigały po kremowej klawiaturze niczym para czarnych krabów pływających w rytmie jitterbugu.



— Niezłe — powiedziałem, kiedy przerwał. — Przypomina taniec motyli w blasku słońca. Nazywa się to jakoś?

Odwrocił jajowatą twarz i zmierzył mnie wrogim spojrzeniem.

— „Taniec motyli w blasku słońca” — wymamrotał z kamienną twarzą. — Coś ty za jeden?

Wstałem z krzesła i wdrapałem się na estradę, by porozmawiać bez obawy, że dotrze to do uszu wszystkich znajdujących się w klubie osób. Podałem Moonsowi moją licencję, a kiedy się w nią wczytywał, ja przyglądałem mu się uważnie. Dostrzegłem gładko wygoloną, obwisłą szczękę i masywne pierścienie z prawdziwymi rubinami na długich palcach. Dostrzegłem również żółtawe plamki na białkach oczu, a także buty z krokodylej skóry za sto dolarów. Dostrzegłem też zaczesane gładko do tyłu sztywne włosy peruki, która tkwiła na jego głowie niczym rozgnieciony kruk, purpurowooliwkowy odcień jego zapadniętych policzków, równo przystrzyżony wąsik i szczupłe, powleczone brązową skórą ramiona. Dostrzegłem wypielęgnowanego starucha, który wprost wyłaził ze skóry, aby przekonać świat, że jako muzyk nie skończył się wraz z epoką pięciostrunowego banjo, ale właśnie jest o krok od sukcesu.

Moons zrolował między palcami moją licencję i oddał mi ją.

— Przykro mi, bracie — burknął. — Dziś nie prowadzimy przesłuchań prywatnych gliniarzy. — Ochryple dudnienie jego głosu przypominało pomruk lwa cierpiącego na przewlekłe zapalenie krtani. — Dziś przesłuchujemy tylko stepujących tancerzy. I to wyłącznie czarnych. Kapujesz? - wycodził ukazując w ledwie dostrzegalnym uśmiechu błyszczący kawałek porcelanowego zęba.

Przytknąłem niedopałkiem w stronę sali i klepnąłem się dłonią w udo.

— O, do diabła — powiedziałem zgrywając się na czarnego aktorkę prosto z Hollywoodu. — Że też nie zabrałem z domu czernidła i podkutych lakierków!

Lucky Moons wziął do ręki ołówki i zmniejszył parę kwint na papierze nutowym, który wyglądał tak, jakby armia czarnych mrówek rozbiła swe obozowisko na pięcioliniach.

— Prywatny gliniarz, a jaki dowcipas — mamrotał do siebie w zamyśleniu. — Taki to daleko zajdzie, nie ma co.

— A może obejrzałbyś dalszy ciąg mojego występu? — spytałem agresywniejszym tonem.

— Jeśli sprawi ci to frajdę — westchnął Moons. — Masz całe pięć minut i niech to będzie ciekawe.

Zapaliłem następnego papierosa.

— Chuck Western — powiedziałem po wydmuchnięciu z ust resztek dymu. — Pamiętasz go? To ten facet, co robił u ciebie za perkusistę. Gliny mówią, że to ćpun. Mówią też, że kręcił się po okolicy i mordował ludzi. A mnie z kolei ktoś inny płaci za to, bym udowodnił, że gliny są w błędzie. Ciekawi cię to?

— Jeszcze jak. — Sądząc po brzmieniu jego głosu, tak go to interesowało, jakbym mu właśnie odczytał instrukcję prasowania niegniotącej się koszuli umieszczoną na metce. — Co się mnie czepiasz, bracie? Kiedy wsadzili Westerna, nie było mnie w promieniu pięciu mil stąd.

— No widzisz, a ja wykombinowałem sobie, że skoro już byłeś jego szefem, to o tej sprawie powinieneś cokolwiek wiedzieć.

Kierownik orkiestry pozbierał zapisane odręcznym pismem arkusze rozrzucone na fortepianie.

— O Chucku Westernie wiem tylko tyle — powiedział, starannie układając kartki z zapisaną muzyką na odrębne kupki — że wybijał cztery uderzenia w taktie, że wybijał je rytmicznie i że wybijał je tak, jak trzeba. To wszystko, co wiem, i co chcę wiedzieć. A gliny mogą sobie gadać, co im się podoba. Ich interes.

Była to dokładnie taka sama drętwa gadka, jakiej schwytyli się wszyscy bez wyjątku:

młodzi i starzy, wielcy i malutcy, czarni i biali. A chwyтали jej się zwłaszcza wtedy, gdy mieli coś do ukrycia. Albo też kiedy im się tylko tak zdawało.

— W porządku. A skoro już mówisz o interesach, kto teraz płaci czynsz za tę budę? — spytałem.

Moons wykaligrafował wyraźnymi, drukowanymi literami słowo „trąbka” w prawym górnym rogu kartki leżącej na wierzchu pierwszej z brzegu kupki nut. Następnie posuwał się wzdłuż całego ich rzędu, dopisując kolejno „puzon”, „saks tenor” i „bas”, i podkreślając nazwę każdego z instrumentów trzema grubymi krechami

— Ja — odburknął nie podnosząc na mnie wzroku. — A co ci do tego?

— Nie ma się o co pieklić. Chodzi mi tylko o to, że jedyny motyw zabójstwa, jaki gliny przypisują Westernowi, to usiłowanie rabunku. A uczepliły się tego wyłącznie dlatego, że twoja Księżniczka Pieśni uraczyła ich historyjką o tym, jak to Western próbował naciągnąć Vreema na pożyczkę.

— Tak się dokładnie rzeczy miały, bracie.

— Zgoda. Tylko obaj dobrze wiemy, że zeznanie panny Lavallo jest cokolwiek niedokładne.

Spod peruki Moonsa wytoczyła się kropla potu i spłynęła mu po czole.

— Co masz na myśli, mianowicie? — zapytał przeszywając mnie ostrym spojrzeniem. Jego ropusze powieki opadły przysłaniając ogromne ślepia i pozostawiając w tej jakby przyłbicy zaledwie wąską szparkę.

— Mianowicie mam na myśli to, że jeśli szefowie orkiestr i ich wokalistki decydują się już wyznać, że używają tej samej pasty do zębów, mają zwyczaj informować o tym na dwóch szpaltach „Variety”. W jednym z numerów tego pisemka wyczytałem, że ty i pani Moons wzięliście cichy ślub w Hackensach, w stanie New Jersey, jakieś osiem tygodni temu. — Moons otworzył usta, żeby coś powiedzieć, lecz nie zważając na niego, ciągnąłem: — Miałeś dostatecznie dobry powód, żeby sprzątnąć kogoś takiego jak Vreem. Kilka stów nie jest jeszcze wystarczającym powodem, ale klub Vreema już tak. I to zupełnie wystarczającym, jako że masz już swoje lata i pewnie masz dość tych nie kończących się angaży na jeden wieczór, tych nie kończących się tras i tych dni bez końca, które upływają ci w drodze. A klub w takim przytulnym miejscu jak Filadelfia to niezły zysk, zwłaszcza jeśli musisz ciągle obijać się po podrzędnych hotelikach i knajpach, gdzie aż się roi od typów, co to domagają się, żebyś zagrał im coś z repertuaru Carusa. Jeśli masz młodą żonę, a jesteś już starym, sfatygowanym ramolem, który chciałby zakosztować lepszego życia, zanim odstawią go do parku sztywnych, klub „Dżungla” jest po prostu wymarzone miejsce.

Skóra na twarzy Moonsa przybrała siny odcień, jednak jego głos znów zadudnił miarowo niczym stary silnik holownika ze sparcałymi uszczelkami.

— Chcesz mi wmówić, że panna Lavallo kłamała, by pomóc mi zrobić Westerna i że to niby ja zabiłem Ike'a Vreema, żeby zagarnąć jego klub? — Wysunął czubek różowego języka i oblizał dolną wargę. — Jeśli właśnie to dajesz mi do zrozumienia, bracie, lepiej spływaj stąd w podskokach i znajdź sobie adwokata, któremu dużo lepiej idzie prowadzenie spraw o zniesławienie niż tobie szpiclowanie.

Wypowiedziawszy ostatnie słowo przestrogi, Moons wstał i odwrócił się do swoich muzyków.

— Hej, Dex! — zawołał do wysokiego, potężnie zbudowanego młodego Murzyna w obcisłej zielonkawej podkoszulce i szaroniebieskich portkach, który trzymając nogę na siedzeniu krzesła co sił w płucach wydmuchiwiał plwocinę z trąbki.

Młodzieniec, nazwany Dexem, odłożył swój sprzęt i zaczął przedzierać się w naszą stronę, gibkimi ruchami włamywacza pokonując labirynt pulpików, krzesel i instrumentów.

— Tak, szefie? — mruknął ponuro. — O co chodzi?

Jego błyszcząca skóra przypominała mokłą gumową rękawicę ciasno wciągniętą na

zaciśniętą pięść. Dex skrzyżował ręce na piersiach i spojrzał pytająco na Moonsa.

— Ten tutaj to Mike Dime — wyjaśnił kierownik orkiestry wskazując na mnie ruchem głowy. — Jego branża to prywatne szpiclowanie. Powiedział mi, że stara się pomóc Chuckowi Westernowi, by ten z powrotem dostał swoją robotę.

Z przysłoniętej stosem zapisanych kartek popielniczki Moons wydobyl fajkę z korzenia wrzосу i zapalił ją złotą zapalniczką.

— Równy gość z tego Dexa — ciągnął Moons w przerwach między krótkimi pyknięciami i ze spojrzeniem wbitym w żarzący się tytoń. — Nadzwyczaj silne chłopisko. A bicepsy, które widzisz, nie są tylko na pokaz. Kiedy odkryłem młodego Dexa, harował od świtu do nocy w rzeźni w Pittsburgu. No nie, Dex?

Dex nie odezwał się ani słowem. Gapił się tylko na mnie swoimi małymi, złowrogimi ślepkami.

— Chłopczy, którzy ścignęli Dexa do orkiestry, opowiadali mi, jak to kiedyś gołymi rękami skręcił bykowi kark. Dosłownie rozłupał go na pół.

— Nie do wiary — powiedziałem. — Zapewne dokonał tego stojąc na głowie i przygrywając sobie na trąbce palcami u nóg. — Sięgnąłem po kapelusz, brzegiem dłoni strzepnąłem kurz z ronda i wcisnąłem go na głowę. — Odeślij swojego pupilka, Moons — dodałem. — Na bijatykę jest stanowczo za gorąco, a poza tym jak na razie mam dość straszenia. Wczoraj próbował tego pewien gliniarz o nazwisku Clooney, teraz ty. Widzę, że staje się to jakimś nowym zwyczajem, a ze zwyczajami bywa tak, że w końcu człowiek się z nimi oswaja.

Stałem w bezruchu i czekałem. Nikt nawet nie drgnął.

Z fajki Moonsa uniósł się słodko pachnący obłoczek. Stary pozbierał nuty rozłożone na fortepianie i podał je Dexowi.

— Rozdaj to chłopakom — powiedział nie zwracając na mnie najmniejszej uwagi.

Dex chwycił kartki w wielką jak patelnia łapę i ostro parsknął przez rozszerzone nozdrza.

— Jest pan pewien, że to wszystko, szefie?

— Kiedy będziesz przechodził koło telefonu, zadzwoń jeszcze do panny Lavallo i sprawdź, czy już wyszła — polecił Moons zasiadając na stołku przy fortepianie. — Jeśli nie, powiedz jej, żeby przywlokła tu ten swój tyłek w jedwabnych galotach. Tylko grzecznie. I na wypadek gdyby zapomniała, możesz jej przypomnieć, że mamy próbę.

Dex stał jeszcze przez chwilę prężąc muskuły.

— Jest pan pewien, że to już na pewno wszystko?

— Na miłość boską, Dex! — wrzasnął Moons. — Kiedy chcę, żebyś dał facetowi wycisk, zawsze jasno ci to mówię. A teraz idź i rozdaj im te nuty. I tak zmarnowaliśmy już dużo czasu.

Dex odszedł niemrawo, a ja ruszyłem w stronę prowadzących na parkiet kilku niskich stopni, obstawionych z obu stron rzadkiem zakurzonych roślin doniczkowych.

— Nie mam nic do ukrycia, bracie — powiedział cicho Moons, kiedy go mijałem. — Nic a nic. Chcesz wyciągnąć Westerna z mamra, nie mam nic przeciwko. Próbuj. Chcesz dyskretnie podpytać paru ludzi kręcących się koło klubu, no to sobie podpytuj. Ale spróbuj tylko oczernić mnie albo panią Moons, a ręczę ci, że pożałujesz, żeś sobie nie znalazł innego sposobu zarabiania na życie.

Lucky zakończył swoje uwagi szczerząc zęby w uśmiešku przypominającym do złudzenia grymas małpy w zoo, która chce dać do zrozumienia swojej sąsiadce w klatce obok, żeby poszła do diabła. Tymczasem małpa z sąsiedniej klatki wykrzywia gębę w identycznym grymasie, a przy tym tak się boi, że aż podwija paluchy u nóg. A jaką małpą mógł być Moons? Groźnym gorylem czy wystraszoną pawianem? Odpowiedź mogła poczekać. Miałem jeszcze przed sobą prawie cały dzień i znacznie ważniejsze sprawy na głowie niż roztrząsanie problemów zoologicznych. Choćby tylko dlatego, że postanowiłem spotkać się z

gliniarzem o nazwisku Stipello.

## 10.

Orkiestra Lucky Moonsa zaczęła grać, gdy byłem w połowie parkietu; słyszałem ich nadal będąc już na ulicy. Kawalek, który wykonywali w zawrotnym tempie, miał w sobie tyle melodii co oblażąca z płotu farba.

Coran nadal warował w pobliżu, jednakże teraz jego wóz trochę zasłaniała mi żółta taksówka, która zatrzymała się na samym środku wąskiej uliczki, blokując przejazd sznurowi jazgoczących klaksonami samochodów. Z taksówki wygramoliła się właśnie ciemnoskóra para. Jednym z członków owego duetu okazała się Sunshine Lavallo, która będąc na porządnym gazie, z trudem utrzymywała równowagę na sześciocalowych obcasach. Jej długie, szczupłe nogi oblekały obcisłe atłasowe spodnie o barwie koncentratu pomidorowego.

Sunshine Lavallo żałośnie przetrząsała zawartość miniaturowej, mieniającej się cekinami, czarnej, wieczorowej torebki w poszukiwaniu drobnych, których ani rusz nie mogła znaleźć.

Towarzyszący jej mężczyzna, z klatką piersiową o rozmiarach beczki, jedną ręką ścisnął kurczowo saksofon owinięty w egzemplarz „New York Timesa”, drugą zaś bezskutecznie próbował uchwycić się skrzynki pocztowej. Ubrany był w nieprawdopodobnie wyplamiony, kremowy, płócienny garnitur, składający się z wymiętej na wszystkie sposoby marynarki i workowatych spodni. Koszulę miał rozpiętą aż do pępka, a jego krawat wyglądał tak, jakby obrzygał go nie dawniej niż przed godziną. Przy tym brakowało mu butów i skarpetek. O ile strój Murzyna prezentował się tak, jakby należał do zapijaczonego ulicznego włóczęgi, o tyle jego wielka, smutna i dziecinnie niewinna twarz miała prawdziwie anielski wyraz.

— Hej, Yardy! — wrzasnęła Sunshine Lavallo do saksofonisty. — Zabrakło nam dolara, skarbie. Nie masz tam czasem jednego?

Mężczyzna puścił skrzynkę pocztową i zaczął grzebać w kieszeni marynarki. Może i miał dolara, a nawet całą ich setkę, nim jednak zdołał się o tym przekonać, runął jak długi na chodnik upuszczając saksofon, który z głośnym brzdęk-brzdęk-brzdęk potoczył się do kanału ściekowego.

— A żeby cię, Yardy! — wydarła się Sunshine Lavallo. — To nie pora, żebyś mi odstawił takie numery! Jak mam teraz spławić tego taksjarza?

Nie zwlekając podbiegłem do kierowcy taksówki, młodego typka o szczupłej twarzy z posiniaczoną brodą i parą blisko osadzonych, fałszywych oczu, i wyciągnąłem jakieś drobne.

— Zajmę się tym — zaproponowałem. — Ile masz na liczniku?

— Dwa dwadzieścia pięć — warknął międląc pracowicie kawałek gumy do żucia. — I cały czas nabija. — Wskazał głową Sunshine Lavallo, która brutalnie szarpała swego przyjaciela za rękaw marynarki. — Każ jej zrobić ze mną to, co wyprawiała ze swoim kochasiem na tylnym siedzeniu, a skasuję licznik do czysta. — Lubieżnie wyszczerzył zęby i mrugnął do mnie porozumiewawczo.

Wycie klaksonów dobiegające z taksówki stało się niemal tak głośne jak orkiestra Moonsa, a kierowcy z końca ogonka zaczęli już wylazić ze swych wozów i wyciągali szyje, żeby zobaczyć, co powoduje zator. Tymczasem po drugiej stronie ulicy Coran otworzył drzwi samochodu, a jego twarz przybrała taki wyraz, jakby zamierzał zabrać się do rozładowania ulicznego korka.

— Słuchaj no — powiedziałem pospiesznie do taksówkarza. — Masz tu piątkę. Jedź do stacji metra Walnut-Locust i czekaj tam z zapalonym silnikiem, a znajdzie się i drugi piątek,

do pary.

Szybko wyrwał mi banknot, a jego oczy spojrzały na mnie pytająco. Były osadzone tak blisko siebie, że bez większego trudu mógłby dwoma jednocześnie podglądać przez dziurkę od klucza.

— Chcesz zarobić, czy nie? — wycodziłem przez zęby. Nim jednak skończyłem mówić, facet był już daleko, a w ślad za nim ruszyła lawina samochodów.

Jeden z moich wcześniejszych telefonów był do Szóstego Komisariatu policji na Race Street. Przedtem dowiedziałem się w informacji, że Stipello ma zastrzeżony numer telefonu. Ponieważ był gliniarzem, nie było w tym jednak nic nadzwyczajnego. Sierżant dyżurny okazał się policjantem starej daty, takim gliniarzem, co to nie żałuje swego czasu, bo ma już zapewnioną emeryturę i złoty zegarek za wzorową służbę. Podał mi adres na Cameron Street przy Francisville, dodając, że na niego, Pata McCuddena, mogę liczyć o każdej porze. Powiedział, że Stipello patroluje właśnie rejon, ale że zaraz po służbie wraca do domu, ponieważ zabiera swojego dzieciaka na mecz piłkarski. Odniosłem wrażenie, że sierżant McCudden chętnie opowiedziałby mi nawet historię życia Stipella, gdybym tylko go o to poprosił. Ale nie poprosiłem. Było to bowiem coś, czego chciałem się dowiedzieć na własną rękę.

Przed spotkaniem ze Stipellem musiałem jednak najpierw pozbyć się jakoś Corana. Gliniarz zapewne nabrał już podejrzeń, że moje odwiedziny w „Dżungli” mogą mieć coś wspólnego z wtykaniem nosa w sprawy Clooneya. Nie rozmawiając ze mną lub z Moonsem nie mógł jednak tego udowodnić. Wiedział, że ze mnie nic nie wyciągnie, a nie był w stanie jednocześnie wypytywać Moonsa i śledzić mnie. Jeśli chodzi o spotkanie ze Stipellem, to całkiem inna sprawa. Stipello był gliniarzem i nie zanosilo się na to, żeby rozmowa z nim mogła stwarzać jakiś problem. Ale tak jak można być pewnym wygranej stawiając na opasa duszącego kurczaki, a nie na przycupniętą na drzewie wiewiórkę, tak mogłem iść o zakład, że wieści o mojej rozmowie ze Stipellem szybciej dotrą do Clooneya, niż kelnerka w restauracji dla zmotoryzowanych podrapie ci zderzak nowego samochodu.

Wyrwanie się spod opieki Corana nie wydawało się jednak łatwym zadaniem. Coran był tak natrętnym gliniarzem, że jeśli mu tylko kazali, nie spuszczał człowieka z oka dzień i noc. W tej sytuacji znacznie łatwiej więc było pozbyć się jego samochodu. Aby zrealizować ów zamiar, potrzebowałem jedynie zwykłego sklepu spożywczego, na który zresztą natknąłem się na rogu Jedenastej i Moravian. Znaczną część jego witryny pokrywały hebrajskie napisy, a wejście blokowały otwarte beczki, z których wydobywał się odór nieświeżej ryby. Wewnątrz sklepu stary Żyd, ukryty pod stuletnią brodą, urzędował za ladą, na której piętrzyły się stosy koszernych przekąsek.

Idąc po kamiennej posadzce, torowałem sobie drogę wśród zwisających z sufitu wągowych szalek, starając się nie potraćić ustawionych w rzędzie strzępiastych mioteł, opartych o stos worków ze zbożem.

— Paczkę cukru — powiedziałem.

Sklepiarz oczyścił małą powierzchnię na ladzie i umocował na nosie okulary w drucianej oprawce.

— A jaki pan szanowny życzy sobie rodzaj? — Jego głos przypominał niski, gardłowy bulgot.

— Jakikolwiek. Nie jestem specjalnie wybredny.

— A ja się pana pytam, czy pan chce cukier w małej paczce czy w dużej paczce?

— W jakiej pan ma.

— Mamy tu oba rodzaje.

— Wszystko mi jedno. Niech mi pan da po prostu paczkę cukru.

— Ja nie chcę, żeby pan odszedł z czymś, co panu nie odpowiada. Tak nie jest dobrze dla interesów.

— Troszkę mi się śpieszy, staruszk — powiedziałem oglądając się za siebie. Coran zauważył, jak wchodziłem do sklepu, a teraz zapisywał to w służbowym notatniku. — Niech mi pan da po prostu małą torebkę cukru, żebym mógł ją bez trudu zmieścić w kieszeni.

Stary Żyd oddalił się od lady, wlokąc za sobą ogromne stopy.

— To dlaczego pan tak nie mówił od razu? — zdziwił się sięgając po cukier na półkę ponad półmiskiem z wędzonym łososiem, ustawionym na skrzynce herbaty. Gdy prznosił opakowanie nad ladą i z mozołem wsadzał je do papierowej torby, jego wątle kończyny skrzybiały niczym zardzewiała zbroja.

— A może pan sobie jeszcze czegoś życzy? — spytał. — Mamy tu w sprzedaży korniszony.

Zniecierpliwiony potrząsałem głową.

— Tylko cukier, staruszk. Ile się należy?

— Za piętnaście centów dam panu aż dwie paczki — zaproponował zdejmując okulary i przecierając ich grube soczewki rąbkiem brudnego fartucha. — A co? Nie lubi pan korniszonów?

— Ma pan tutaj — powiedziałem rzucając na ladę dolara. — Niech pan z tego odliczy za jedną torebkę cukru, a resztę weźmie na poczet korniszonów. Wpadnę tu później, żeby je zabrać. Oczywiście, jeśli będzie już po północy, proszę sobie nie zawracać głowy czekaniem. Widzi pan tego gliniarza po drugiej stronie ulicy? Ma wyjątkowo paskudnego kumpla, którego aż ręka świerzb, żeby rozwalić mi łeb.

Stary Żyd wcisnął na nos okulary i skrzywił się z dezaprobatą. Schował dolara do szuflady sklepowej kasy ozdobionej srebrnym ornamentem, a następnie schylił się i wyciągnął spod lady nieduże kartonowe pudełko z czerwonym krzyżem na wieczku.

— Bandaże — oznajmił. — Najlepszej jakości. Tylko ćwierć dolara za sześć rolek.

Chwyciłem cukier i pędem ruszyłem w kierunku drzwi, zanim zdołał mi sprzedać grobowiec Tadz Mahal. Po drodze wdepnąłem w worek prosa, przewróciłem tacę duńskiego sera kremowego i boleśnie uderzyłem się w piszczel o wystający, brzuchaty piecyk.

Po wydostaniu się na ulicę szedłem tak wolno, że wlokący się za mną Coran cały czas musiał myśleć o tym, czy silnik w jego samochodzie przypadkiem nie zgaśnie, a że szedłem po przeciwnej stronie ulicy, miał znacznie utrudnioną obserwację ze względu na ruch na jezdni i zaparkowane w dzielącej nas przestrzeni pojazdy. Stacja Walnut-Locust oddalona była nie więcej niż pół mili od sklepu spożywczego, aby więc jeszcze bardziej uprzykrzyć Coranowi życie, wybrałem najbardziej skomplikowaną trasę, jaką tylko udało mi się znaleźć, z dużą ilością zaułków z zakazem wjazdu i do tego biegnących w niepożądanym dla niego kierunkach. Mój plan nie polegał jednak na tym, aby go całkowicie zgubić, a przynajmniej jeszcze nie teraz. Chodziło mi głównie o to, aby unieruchomić jego samochód.

Po piętnastu minutach kluczenia po ulicach Filadelfii ruchem cofającego się konika szachowego, od złotej taksówki, którą dostrzegłem zaparkowaną w pobliżu wejścia do metra, dzieliło mnie już tylko pół przecznicy.

Coranowi całkiem sprawnie szło śledzenie nawet wówczas, gdy dreptałem niczym zmęczony piechur na pustyni. Taktyka, jaką obrał, by nie dopuścić do zgaśnięcia silnika, była całkiem prosta: przystawał na chwilę, odczekiwał, dopóki nie przeszedłem jakichś stu jardów, a wtedy mnie doganiał.

Moją ucieczkę zaplanowałem tak, aby przypadła na jeden z jego okresowych postojów.

Około pięćdziesięciu jardów przed wejściem do metra, które znajdowało się na Board Street, zapiąłem marynarkę, żeby nie łopotą na wietrze, mocno przytrzymałem kapelusz i puściłem się biegiem. Przedzierając się przez śpieszące do domu tłumy, pędziłem po Walnut zygzakiem, słysząc za plecami wycie syreny Corana, które ścigało mnie niczym stado rozjuszonych szerszeni. Skręciłem gwałtownie w główną ulicę Filadelfii i zbiegłem po schodach prowadzących do stacji metra. Ale nie do samego ich końca. Gdy tylko nabrałem pewności,

że mojej głowy nie widać z chodnika, schwyciłem się poręczy i zastygłem w bezruchu. Usłyszałem jak samochód Corana hamuje z piskiem opon, a po chwili dobiegł mnie odgłos zatrząskiwanych drzwi.

W myślach starałem się prześledzić kolejne ruchy Corana, i w momencie, kiedy wyobraziłem sobie, że powinien już znajdować się gdzieś w połowie schodów, ponownie wspiąłem się do wejścia i wyrząłem zza ściany. Tak jak się spodziewałem, Coran zaparkował swojego chevroleta blokując nim całkowicie przeciwległe wejście. Po chwili z długiego, pochylego tunelu prowadzącego do kas biletowych doleciał mnie dźwięk jego gwizdka. Oцениłem, że nie pozostało mi więcej niż trzy minuty do chwili, gdy Coran połapie się, że wcale nie zamierzam jechać pociągiem.

Starając się nie wyglądać podejrzanie, szybko przemknąłem na czerwonym świetle przez Board Street, otwierając po drodze torebkę z cukrem.

Zbiornik paliwa w chevroletcie Corana znajdował się z tyłu samochodu, po stronie miejsca kierowcy. Odkręciłem korek i, używając własnej ręki zamiast lejka, wysypałem do wewnątrz całe opakowanie białych kryształków. Następnie zgarnąłem pustą torebką resztki rozsypanego cukru i, gdy tylko z zadowoleniem uznałem, że po moim majsterkowaniu przy baku nie pozostało nawet śladu, zgmiotłem papier w kulkę i aby nie leżała na widoku, cisnąłem nią pod samochód Corana. Umocowałem zakrętkę i pospiesznie ruszyłem w kierunku żółtej taksówki.

Chłystkowaty kierowca siedział z nogami zarzuconymi na tablicę rozdzielczą i z dziewięćdziesięcioma czterema stronami szmirowatego czytadła opartego na sterczących kolanach. Przez otwarte okno postukałem go w ramię.

— Pora, żebyś zarobił swoją dychę — powiedziałem, gdy spojrzał na mnie nonszalancko znad „Historii udręczonej blondynki”. — Posłuchaj mnie uważnie. Teraz cofnę się do wejścia na stację. Temu gliniarzowi od czerwonego chevroleta zapewne się wydaje, że odjechałem pociągiem. Za jakieś trzydzieści sekund wyjdzie z metra i zobaczy, jak łapię taksówkę. Nie za bardzo będzie kapował, o co tu chodzi, ale mniejsza z tym. Podjedź, kiedy cię przywołam. Załapałeś, o co chodzi?

Chłystek zatknął książkę za lusterko wsteczne, z którego zwisała już plakietka z jego nazwiskiem, a oprócz tego para miniaturowych rękawic bokserskich i niewielka zapalniczka imitująca pistolet. Szczęśliwie pozostawał mu jeszcze kawałek wolnej szyby, przez którą mógł patrzeć.

— Załapałem swobodnie — odburknął, intensywnie żując gumę.

— Ten gliniarz będzie próbował nas śledzić, ale nie staraj się go zgubić. Jedź, gdzie ci się podoba, aż ten chevrolet stanie, co może zdarzyć się w każdym miejscu i w każdej chwili w ciągu najbliższych dziesięciu czy dwudziestu minut. Kiedy będzie po wszystkim, zawieziesz mnie z powrotem pod „Dżunglę”, a potem zapomnisz, że mnie kiedykolwiek widziałeś.

Chłystek skinął potakująco głową.

— Jesteś gliną?

— FBI.

— Federalny. — Obrzucił mnie beczelnym spojrzeniem, które miało świadczyć, że nic się przed nim nie ukryje. — Zawsze takiego rozpoznam.

I stało się tak, że 24 sierpnia 1949 roku, o godzinie 15.38 czerwony chevrolet prowadzony przez funkcjonariusza Corana z Filadelfijskiej Federacji Sił Policyjnych nagle i bezgłośnie zakończył swoją jazdę przed palladiańskim gmachem ratusza na Pine Street. Mieszanka benzyny i rozpuszczonego cukru dosięgła w końcu wrażliwego mechanizmu gaźnika, blokując go całkowicie, podobnie zresztą jak wszystkie przewody doprowadzające i odprowadzające, i to z takim samym skutkiem, jakby Coran na pełnił bak swego samochodu płynną smołą. I choć nic wiadomo, co jeszcze Coran robił tego popołudnia, w każdym razie na pewno przestał mnie śledzić.

## 11.

Cameron Street była krótką uliczką z szeregiem dwu- i trzypiętrowych domków, wysadzana wysokimi platanami o bujnych koronach. Bładoszara mgielka przyćmiewała ostry blask południowego słońca, rozmazując ciemnoszkarłatne cienie na chodniku. Powietrze stało się tak ciężkie i wilgotne, że grzęzło w płucach i każdy oddech przychodził z wielkim trudem.

Przed domem Stipella znajdował się słup telegraficzny, dwa przepełnione metalowe pojemniki na śmieci i kabriolet oldsmobile bez kół, ustawiony na słupkach z cegieł. Zaparkowałem samochód po przeciwnej stronie ulicy, na wysokości oldsa, wszedłem po trzech stopniach prowadzących do drzwi wejściowych domu Stipella i dwukrotnie zastukałem kołatką. Dla pewności nacisnąłem jeszcze guzik dzwonka z kurantem. Czekałem dostatecznie długo, by zapalić papierosa, gdy nagle drzwi otworzyły się i stanęła w nich kobieta wycierająca mokre ręce o brzeg kwiecistego fartucha.

Odrzuciłem papierosa nie zaciągnąwszy się ani razu i machnąłem jej przed oczami swoją licencją.

— Pani Stipello? — spytałem. — To właśnie ja dzwoniłem wcześniej w sprawie pani męża.

— *Si, si* — potwierdziła wymawiając głuche „s” w sposób typowy dla mieszkańców południowych Włoch.

Odgarniając opadający na policzek kosmyk rozczochranych włosów, pani Stipello poprowadziła mnie ciemnym korytarzem i otworzyła drzwi do małego, nienagannie czystego pokoju gościnnego.

— Mój mąż — powiedziała. — On przyjsć do domu niedługo.

Gestem ręki wskazała mi klubowy fotel z gustownym ażurowym obiciem na poręczach i podglówkiem, który ciągle jeszcze przesiąknięty był zapachem salonu meblowego.

Uśmiechnąłem się grzecznie i zdjąłem kapelusz.

— Dziękuję, pani Stipello — powiedziałem i usiadłem.

Tymczasem ona nadal stała, najwyraźniej zakłopotana i niepewna siebie. Była przysadzistą kobietą w wieku około trzydziestu ośmiu lat, z podłużną twarzą o prostych rysach i wielkich aksamitnobrązowych oczach. Miała na sobie zapinaną z przodu domową sukienkę bez rękawów, upstrzoną jeszcze większą ilością kwiecistych wzorków niż przykrywający ją fartuch.

— Niech pani nie przejmuj się rolą gospodyni — powiedziałem, żeby poczuła się nieco swobodniej. — Z przyjemnością posiedzę tu sobie i zaczekam na pani męża.

Zaczerwieniła się.

— Nie mówić angielski — wykrztusiła, żywo gestykulując. — Mój Antonio, on mówić dobrze. Ja zawołać Antonio.

Nim zdążyłem ją powstrzymać, wyjątkowo donośnym głosem trzykrotnie wykrzyknęła „Antonio”. Miała mięsiste, wydatne wargi. Otoczone maleńkimi, głębokimi bruzdami przypominającymi podziałkę na linijce, sprawiały jednak wrażenie ust, które nie uśmiechają się zbyt często, a może nawet nigdy.

— Antonio nie słyszeć — stwierdziła wskazując za siebie. — Antonio na podwórzu. Ja iść po niego.

Pani Stipello odwróciła się na pięcie, a ja patrzyłem, jak wychodziła przez otwarte drzwi prowadzące do kuchni, gdzie bulgotało coś na kuchence. Zmniejszyła płomień, przykryła garnek pokrywką i nagle, zupełnie nieświadoma, że ją obserwuję, szybko zerknęła na odbicie swojej twarzy w małym okrągłym lusterku, zawieszonym na ścianie obok warkocza czosnku.



Pokój gościnny zagracony był mieszaniną całkiem nowych sprzętów, jak ten fotel, w którym siedziałem, oraz kilku ciemnych, starych rupieci sprawiających wrażenie schedy po przodkach. Wypełniało go stęchłe powietrze, mimo że okno było szeroko otwarte, a żaluzje chroniące przed słonecznym żarem zaciągnięte do samego dołu.

Jeden z kątów pokoju zajmowało pianino udekorowane tuzinem lub więcej trupiośladych gipsowych figurek świętych, ustawionych na koronkowych serwetkach. Święci znajdowali się również na obramowaniu kominka, a drzwi do korytarza strzegła naturalnych niemal wymiarów figura Matki Boskiej. Spowita w fałdziste szaty i girlandę świeżych gardenii, karmiła piersią Dzieciątka Jezus, którego błyszcząca lakierowana skóra miała barwę ugotowanych homarów. W całym pokoju aż roilo się od świec wotywnych, kropielnic z wodą święconą, oprawionych w ramy wizerunków papieża, a nie brakowało też i krucyfiksów. Niewątpliwie był to taki rodzaj pokoju gościnnego, w którym najlepiej byś się czuł leżąc na łożu śmierci.

Wstałem i podszedłem do okna, aby upewnić się, czy mój samochód jest nadal w całości. Miał się dobrze. Wszystkie koła znajdowały się dokładnie tam, gdzie je zostawiłem. Nic mu także nie przybyło, może z wyjątkiem burego kota, który zwinięty w kłębek spał na gładkiej, rozgrzanej masce silnika.

Wracając tą samą drogą przez wzorzysty dywan o rzadkim splocie, zatrzymałem się obok pianina. Między figurkami świętych stała hebanowa statuetka zwieńczona złotą ćwierćnutą. Wziąłem do ręki to trofeum i odczytałem dedykację. Była to nagroda za wybitne uzdolnienia muzyczne z wygrawerowanym u dołu imieniem i nazwiskiem „Antonio Stipello”. Wieko pianina było podniesione, a na podstawce do nut stał zeszyt z sonatami Beethovena. Widniały na nim ślady palców od ustawicznego kartkowania, i to nie tylko na stronach z wczesnymi utworami kompozytora. Odstawiłem trofeum na miejsce i zdecydowałem się wypełnić czas papierosem i jednopalcowym wykonaniem „Johny One Note”. Zapaliłem lucka i rozejrzałem się wokół w poszukiwaniu stołka do pianina. Nie było jednak nic takiego. Gdy tylko Antonio Stipello zjawił się w pokoju, zrozumiałem dlaczego.

Dzieciak miał około trzynastu lat i takie same łagodne brązowe oczy jak matka, a także pozostałych pięćdziesiąt milionów Włochów. Jego smukłe ciało okrywała zbyt obszerna koszulka klubu baseballowego, a baseballową czapkę z daszkiem zsuniętą miał na tył głowy. Wyniszczone chorobą nogi chłopca skrupowane były płataniną skórzanych rzemieni i żelaznych prętów, w które ubiera się wszystkie młodociane ofiary paraliżu dziecięcego.

— Cześć — zawołał wesoło, sprawnie kierując swój wózek inwalidzki w moją stronę. — Przepraszam za mamusię. Ona jakoś nie złapała do tej pory angielskiego. — Wyciągnął do mnie na powitanie niezwykle silną dłoń, którą uściśniłem.

— Mówi po angielsku znacznie lepiej niż ja po włosku — zauważyłem.

Oczy Antonia rozbłysły w uśmiechu. Przejechał na swoim wózku przez pokój i zatrzymał się przy ogromnym stole, na którym rozłożone były kartki papieru rysunkowego, kredki i tubki z farbami.

— Mamusia mówi, że jesteś detektywem. Pracujesz razem z tatusiem? — zapytał w taki sposób, w jaki dzieciaki na ogół zadają pytania, gdy specjalnie nie zależy im na odpowiedzi. — Wieczorem tatuś zabiera mnie i Arniego z przeciwka do Connie-Mac. Dziś gramy z Jankesami.

— Kibicujesz „Filadelfijczykom”? — spytałem strząsając popiół do stojącej na podłodze wysokiej popielnicy z przyciskiem, który trzeba było wdusić, żeby się otworzyła.

— Nie opuściłem żadnego ich meczu na miejscu — oznajmił entuzjastycznie Antonio Stipello, po czym wziął się do rysowania grubym, czarnym ołówkiem. — Tatuś zawsze mnie zabiera. Mój tatuś to naprawdę groźny facet. Ze dwa miesiące temu sam jeden aresztował uzbrojonego mordercę. — Spod sprawnej ręki Antonia Stipella zaczął wyłaniać się na papierze zarys buta z korkami. — Pracujesz z tatusiem? — powtórzył pytanie.

— Niezupełnie — odpowiedziałem. — Jestem prywatnym detektywem.

Chłopak mówiąc nie patrzył na mnie; zajęty był cały czas rysowaniem. Z kącika ust wysunął język i przygryzał jego koniuszek.

— Prywatni detektywi też mogą być całkiem groźni — stwierdził biorąc do ręki zieloną kredkę i rysując trawę krótkimi, pojedynczymi pociągnięciami. — Chociaż nie tacy groźni jak mój tatuś.

Podszedłem do chłopca i usiadłem przy stole tuż obok niego. Przyglądając się jak rysuje, wyobraziłem sobie, że pewnie z taką samą zręcznością wygrywa sonatę Hammerklavier.

— Opowiedz mi, Antonio, jak to było tego wieczoru, kiedy twój tatuś aresztował uzbrojonego bandytę.

Z rysunku wyłoniła się twarz.

— Tatuś mówi, że to nic takiego.

Na twarzy pojawiły się oczy i usta.

— Jimmy Foxx — powiedziałem z uznaniem. — Nie przypominasz sobie, czy facetem, którego aresztował twój tatuś, nie był czasem ten człowiek z jazzowego klubu?

Chłopiec potwierdził skinieniem głowy. Już nie interesowali go bandyci. Teraz ważni byli dla niego tylko „Filadelfijczycy”. Dorysował kij, piłkę i prążkowaną koszulkę łapacza.

— W przyszłym roku wygramy ligę. Tak mówi tatuś. — Zamaszyście podpisał gotowy rysunek i przesunął go w moją stronę. — To dla ciebie — dodał bez skrępowania, po czym natychmiast przystąpił do rysowania kolejnego bohatera.

Wziąłem rysunek i zwinąłem go w nieduży rulonik.

— Dzięki — powiedziałem. — Mam gdzieś w domu fotkę Babe Rutha. Postaram się ją wygrzebać, a potem powieszę na ścianie razem z twoim rysunkiem.

Wsadziłem rysunek do kieszeni i uświadomiłem sobie, że ten dreszczyk niepokoju, który poczułem na karku, ma jakiś związek z czymś, co powiedział dzieciak, z czymś, co tu nie pasowało. Gdyby faktycznie Antonio Stipello oglądał wszystkie mecze, i jeśli za każdym razem był z nim ojciec, znaczyłoby to, że owego wieczoru, kiedy aresztowali Westerna, Angelo Stipello musiał być w dwóch miejscach jednocześnie. Wieczorem 30 czerwca „Filadelfijczycy” grali mecz z „Czerwonymi Skarpetami”. A gliniarze odbywają swoją ośmiogodzinną służbę w ściśle ustalonych godzinach. Na pierwszej zmianie służba ta trwa od ósmej rano do czwartej po południu, na drugiej od czwartej do dwunastej w nocy, i wreszcie na ostatniej — od północy do ósmej rano. Z informacji jakie dotąd zebrałem, wynikało, że Westerna aresztowali nad ranem, a to oznaczało, że Stipello miał służbę na ostatniej, nocnej zmianie. Zaczynając pracę o północy, musiał wyjść z domu co najmniej pół godziny przedtem, a może nawet wcześniej. Nie mógł więc zabrać swego syna na mecz, a potem jeszcze odwieźć go do domu, nie tracąc przy tym większej części gry. Możliwe też, że ktoś inny odprowadził Antonia do domu, ale wydawało mi się to raczej mało prawdopodobne. Ojcowie zazwyczaj nie uwalniają się od obowiązku przyprowadzenia kalekiego dziecka do domu po meczu, na którym panował ścisk.

Kiedy obmyślałem taktowny sposób zagadnięcia chłopaka, że pewnie nie był na meczu „Filadelfijczyków” z „Czerwonymi Skarpetami”, wtedy właśnie — w sposób właściwy tylko dzieciom — wyręczył mnie.

— Mówiłem, że widziałem wszystkie tutejsze mecze — wyznał ze skrucą, spoglądając na mnie znad stołu po raz pierwszy od chwili, gdy zajął się szkicowaniem. — Tak naprawdę, to opuściłem jeden mecz, właśnie wtedy wieczorem, kiedy tatuś zakuł w kajdanki tego zabójcę z „Dżungli”. Już mieliśmy iść, słowo daję, ale w ostatniej chwili zmienili tatusiowi godziny służby, no i nie poszliśmy. Ale Eddie, co tu naprzeciwko mieszka, to był. I potem mi wszystko opowiedział.

— Wygrały „Czerwone Skarpety” — wyjaśniłem.

— No, ale ledwo-ledwo. — Antonio cofnął się na wózku inwalidzkim o jakieś pół me-

tra i wykonał potężny zamach naśladowy uderzenie w piłkę. — Ale za rok to my pobijemy tych czerwonych skarpeciarzy. Doszczętnie ich pobijemy, sam zobaczysz. — Uśmiechnął się tak szeroko, że aż mu tego pozazdrościłem.

Wstałem. Właściwie wszystko już zostało powiedziane. W tej sytuacji czekanie na ojca chłopaka nie miało najmniejszego sensu. Miałem już to, po co przyszedłem. Wyjąłem z ust papierosa i zgmiotłem go w stojącej popielnicze.

— Już idziesz? — zdziwił się chłopiec. — Przecież tatuś w każdej chwili może nadejść.

Nim zdążyłem odpowiedzieć, do pokoju weszła jego matka niosąc tacę z kawą i ciastem biszkoptowym. Tym razem wyglądała jakoś inaczej, ale nie mogłem zorientować się, na czym polega różnica. Nadal miała na sobie fartuch, nadal przydałyby się jej ze dwie wizyty u fryzjera i nadal też przydałaby się dieta złożona z czego innego niż chleb i makaron.

— Mój Antonio dobrze mówić — oświadczyła dumnie pani Stipello.

Zatrzymałem wzrok na jej ustach i nagle zrozumiałem, co się w niej zmieniło. Pociągnęła wargi szminką o barwie dojrzałych wiśni, a zrobiła to wyjątkowo pięknie.

— Pan chce kawę? — Uśmiechnęła się w taki sposób, jakby dopiero w tym momencie uczyła się, jak to się robi. — Kawa włoska. Dobra i mocna.

— On już wychodzi, mamusiu — wyrwał się Antonio. — *Gli ho dato un ritratto di Jimmy Foxx. Mi ha detto che l'avrebbe attaccato alla darette accanto a una foto di Babe Ruth\**.

Kobieta jednocześnie skinęła i potrząsnęła głową. Był to dość skomplikowany wyczyn.

— Pan nie chce? — Wysunęła przed siebie tacę.

— Przepraszam za kłopot — powiedziałem unosząc dłoń i robiąc smutne oczy. — Może innym razem. Proszę się nie trudzić. Sam znajdę drogę.

— Powiem tatusiowi, że byłeś — odezwał się Antonio, gdy już przemierzałem krótki korytarzyk prowadzący do drzwi wyjściowych.

— Nie ma potrzeby — odparłem wkładając kapelusz.

Pani Stipello pożegnała mnie krótkim „ciao”, a jej syn zawołał „na razie”.

Po dwóch dniach intensywnego dochodzenia dwa fakty w sprawie Westerna wydawały się dość niejasne. I dwie osoby uraczyły mnie kłamstwami.

Pierwsze: Louis Botubot sprzedał mi bajeczkę, że ma dosłownie fioła na punkcie jazzu. Tymczasem stary Botubot powiedział, że jego syn słucha wyłącznie Paganiniego i jego kumpli. Któryś z Botubotów musiał więc kręcić, a nie ulegało dla mnie wątpliwości, że to właśnie Louis.

Kłamstwo drugie: znów w układzie ojciec — syn. Angelo Stipello powiedział swojemu dzieciakowi, że tego wieczoru, kiedy aresztował Westerna, kazano mu pełnić służbę na innej zmianie. Nie trzeba było aż telefonu do Szóstego Komisariatu, żeby wiedzieć, że to lipa. Dostatecznie długo byłem przedtem zwykłym gliniarzem, żeby mieć całkowitą pewność, że godziny służby nigdy się nie zmieniają. Grafik z godzinami wywieszano na tablicy ogłoszeń z trzytygodniowym wyprzedzeniem, i było to tak święte, jak słowo Boże. I o ile nie przestrelono ci nogi podczas poprzedniej służby, wychodziłeś na patrol tak, jak było napisane, i wracałeś z niego tak, jak było napisane. Zmiana godzin była więc w życiu policjanta czymś równie rzadkim jak znalezienie cygaretki za pięć centów, która miałaby aromat prawdziwego tytoniu. Tego wieczoru, kiedy zastrzelono Vreema, Angelo Stipello mógł zmienić godziny służby jedynie w takim wypadku, gdyby wszyscy pozostali gliniarze z całej Filadelfii padli nagle od morowej zarazy. Zanotowałem sobie w pamięci, żeby natychmiast po powrocie do biura zatelefonować do miejskiego wydziału zdrowia, ale i tak byłem pewien, że w ciągu ostatnich dwustu lat nigdzie na świecie nie odnotowano nowej epidemii czarnej śmierci.

\* Dałem mu podobiznę Jimmy'ego Foxxa. Powiedział mi, że do tej darowanej przyczepi być może obok na ścianie fotografię Babe Rutha.

## 12.

Aż do nadejścia wczesnego wieczoru słońce tkwiło w szarym, mokrym kocu, co sprawiało, że powietrze nasycone było wilgocią, a filadelfijczycy wycieńczeni do cna i złani potem. Gorzej czuć się mogli tylko Europejczycy na wycieczkowym parostatku w Singapurze.

Po powrocie do biura zdjąłem marynarkę i podwinąłem do łokci rękawy lepkiej od potu koszuli. Krawat ciążył mi jak stryczek na szyi. Plaster na karku przesiąknięty był potem. Rana już dawno przestała rwać, a krew zakrzepła na tyle, że można było zdjąć opatrunek. Bardzo ostrożnie, kawałeczek po kawałeczku oderwałem plaster i wyrzuciłem go do kosza. Opuszkami palców delikatnie potarłem ranę i wyczułem jedynie niewielką opuchliznę. Wyglądało na to, że za kilka dni mój kark będzie jak nowy. Następnie zadzwoniłem do baru Charliego i kazałem sobie przysłać dwie butelki Budsa. Kiedy czekałem na piwo, podszedłem do kartoteki, wyciągnąłem akta Westerna z górnej szuflady i przeniósłem na biurko.

Rozłożyłem papiery i wkręciłem w maszynę do pisania czystą kartkę; byłem już w połowie raportu, gdy dzwonek u drzwi obwieścił mi, że właśnie przyniesiono piwo. Kiedy wstawałem zza biurka, zadzwonił telefon, rzuciłem do słuchawki „chwileczkę” i przysłaniając mikrofon ręką krzyknąłem:

— Drzwi są otwarte! Proszę zostawić butelki na wycieracze!

Usłyszałem jak zewnętrzne drzwi biura otworzyły się, a chłopak, który pracuje u Charliego, zawołał:

— Trzydzieści centów!

— Podrzucę je przy okazji! — odkrzyknąłem, po czym przywitałem się ze swym telefonicznym rozmówcą. Niestety, po drugiej stronie panowała głucha cisza. Odłożyłem słuchawkę na widełki i poszedłem po piwo.

Nie zauważyłem tego, kiedy wchodziłem do mieszkania. Ktokolwiek wsunął to pod drzwi, niechący wsunął to również pod wycieraczkę, dlatego też dostrzec można było jedynie wąski skrawek papieru fotograficznego. Zaniósłem piwa i znalezione zdjęcia na biurko, wlałem sobie do gardła trochę zmrożonego musującego płynu, a wtedy uważnie obejrzałem amatorską fotografię formatu dziesięć na osiem, na której widoczna była grupka osób w trakcie zabawy, otaczająca półkołem stolik w nocnym klubie. Kobieta znajdująca się w samym środku towarzystwa była blondynką o okrągłej twarzy, ubraną w czarną, odsłaniającą ramiona wieczorową suknię oraz czarne rękawiczki trzy czwarte. Górną część jej ciała, nie zasłoniętą suknią i rękawiczkami, okrywał czarny szyfon. Wyraz jej twarzy był wypadkową zaskoczenia spowodowanego nagłym wystrzałem lampy błyskowej oraz nadmiaru alkoholu. Przy stole siedziała także inna kobieta, ale jej twarz zasłaniał mężczyzna w średnim wieku ubrany w smoking. On także wpatrywał się w obiektyw aparatu, ale z uśmiechem wyrażającym „odczep się”, ukrytym pod starannie przystrzyżonym wąsikiem.

Chuck Western siedział jakby trochę z dala od tej grupki. Ubrany był w firmową marynarkę orkiestry, kołnierzyk oraz krawat, i palił papierosa. Jednakże papieros zwisający z jego ust ani trochę nie przypominał skręta z trawką. Był to zwyczajnie jeden z paczki, którą możesz wszędzie kupić. Tak jak wszyscy pozostali na zdjęciu unosił kieliszek z szampanem w geście toastu. Na stole znajdowało się wiele pustych kieliszków, mnóstwo śladów po rozlanych trunkach, a także mnóstwo pustych butelek po szampanie stojących w wiaderkach z lodem, a wszystkich oplatały całe jardy balowych serpentyn. Z wyjątkiem Westerna, wszystkie pozostałe twarze były mi całkowicie obce.

Dokończyłem piwo prosto z butelki, zapaliłem papierosa i odwróciłem zdjęcie w nadziei, że z tyłu znajdę jakieś wyjaśnienie dotyczące postaci na fotografii, bądź też osoby, która zadała sobie trud, żeby mi je przysłać.

W lewym górnym rogu przystawiona była pieczętka z napisem „Fotoklub”, a nieco niżej ktoś dopisał atramentem kilka cyfr oraz inicjały. Na samym środku odwrotnej strony zdjęcia dopisane było ołówkiem imię kobiety takimi samymi wyraźnymi drukowanymi literami, jakimi — jak zauważyłem wcześniej — Lucky Moons kaligrafował nazwy instrumentów w górnej części swych kartek z nutami. Przyjrzałem się fotografii pod światło i zobaczyłem, że imię kobiety znajduje się dokładnie tam, gdzie na zdjęciu jest twarz blondynki.

Wystukałem do końca na maszynie swój raport, zanotowałem numery ze zdjęcia na kartce, a następnie wszystko to dołączyłem do akt Westerna. Potem zadzwoniłem do „Fotoklubu”.

Czekałem dłuższą chwilę, aż wreszcie telefon odebrał jakiś mężczyzna.

Przedstawiłem się, podałem mu cyfry i spytałem, czy nie zechciałby mi czegoś o tym zdjęciu powiedzieć, na przykład kiedy, gdzie i przez kogo zostało zrobione.

Facet odpowiedział mi uprzejmie, że do tego właśnie celu służą cyfrowe adnotacje umieszczane przez „Fotoklub” i że on zaraz sprawdzi numery. Po kolejnym długim oczekiwaniu, które wykorzystałem na wypicie drugiego piwa, w słuchawce ponownie odezwał się pracownik „Fotoklubu”.

Oznajmił mi, że zdjęcie to zrobiła niejaka panna Betty Framer w klubie „Dżungla” wieczorem 29 czerwca, ale jeśli chcę się z nią skontaktować, żeby zasięgnąć dalszych informacji, muszę odbyć podróż do Des Moines w stanie Iowa, ponieważ tydzień po zrobieniu tego zdjęcia Betty wyszła za mąż za niejakiego G.I. i nie zostawiła swojego nowego adresu.

Podziękowałem facetowi za to, że zechciał mi pomóc i odłożyłem słuchawkę. Telefon zadzwonił prawie natychmiast.

— Cały wieczór do pana wydzwaniam — odezwała się Nancy Canady. — Kiedy wreszcie udało mi się połączyć, pan kazał mi czekać. Ale ja nie znoszę sterczeć ze słuchawką w ręce i nic nie mówić.

— A jednak się pani na mnie uwzięła.

— Za to pan przez następne dwadzieścia minut próbował umówić się na randkę.

— Niestety, żadna mnie nie chciała. — Zdusiłem papierosa w popielniczce. — Wobec tego postanowiłem posmarować sobie włosy płynem do trwałej ondulacji i zawinąć sobie papiloty skręcone na egzemplarzu „Colliersa”.

— Biedny Mike Dime — powiedziała. — Jaki pan rozdrażniony.

— Ciężko pracowałem. Nie szczędziłem wysiłku. Lub raczej powinienem powiedzieć, naszych wysiłków. Co więcej, dwie butelki piwa sprawiły, że mam ochotę się napić.

— Ja też chyba mam ochotę się napić, detektywie.

— W takim razie — powiedziałem — spotkajmy się w barze koktajlowym hotelu Wiltshire przy placu Rittenhouse o takiej porze, jaka pani odpowiada.

— Niech mi pan da godzinę na przygotowanie.

Spojrzałem na zegarek.

— Jest siódma. A więc o ósmej w Wiltshire.

Nancy Canady powtórzyła czas i miejsce, po czym odłożyła słuchawkę. Zszedłem do baru Charliego, gdzie zjadłem wczesną kolację. Po uregulowaniu moich rachunków udałem się na górę do mieszkania, gdzie wzięłem prysznic, zmieniłem ubranie i przejechałem po brodzie maszynką do golenia. Cały ten czas zastanawiałem się, dlaczego Lucky Moons przysłał mi zdjęcie kobiety, która nazywa się Belinda Van Getz.

## 13.

Była dokładnie ósma, kiedy skręciłem samochodem na plac Rittenhouse i przyłączyłem się do sznura luksusowych aut odbywających wczesnowieczorną przejażdżkę. Wlokłem się po West Side w stronę charakterystycznej błękitnej markizy hotelu Wiltshire i zatrzymałem się za lśniącym, cieniowanym, różowym kabrioletem, cadillakiem z kalifornijską tablicą rejestracyjną, opuszczonym dachem i otwartym bagażnikiem. Boy hotelowy w kusym uniformie tego samego koloru co markiza i w dobranej barwą czapce bez daszka pracowicie wyciągał z bagażnika około tuzina ciężkich, skórzanych waliz i pieczołowicie ustawiał je na wózku bagażowym. Rozładowywany samochód miał przytwierdzoną na przodzie maski, naturalnych zgoła wymiarów, błyszczącą, wykonaną z litego srebra statuetkę wymachującego kapeluszem kowboja na dzikim wierzchovcu. Identyczny wzór wyciśnięty był jako znak firmowy na środku każdej z waliz podróżnych. Przyszło mi na myśl, że ten sam symbol znalazłbyś pewnie na wszystkich pozostałych rzeczach właściciela, począwszy od dwunastostrunowej gitary, a skończywszy na jedwabnych gaciach. Jego impresario zapewne umieszczał również w tekście kontraktu: „Albo będziesz przywoicie reklamował znak firmowy mojego gwiazdora, albo możesz sobie poszukać jakiegoś innego frajera, który zechce w pojedynkę ratować od plajty deficytowe imprezy”.

Odczekałem, dopóki wózek nie zostanie załadowany do pełna, a wtedy wylazłem ze swego grata i dla zabawy poszedłem za boyem jak cień. Po schodach wyściełanych błękitnym chodnikiem weszliśmy na górę, gdzie starszy, dystygowany czarnoskóry szwajcar hotelowy przytrzymał wahadłowe drzwi, ułatwiając dojście do drzwi obrotowych. Wózek bagażowy, boy i ja przemieściliśmy się bezszelestnie do wysokiego, ozdobionego rzędem palm hallu, a napiwek i uśmiech towarzyszyły temu naszemu wspólnemu pochodowi.

Nie wyłączając hallu, cały hotel zbudowany został według założeń architektonicznych obowiązujących dla katedry. W długiej i szerokiej nawie mieścił się salon fryzjerski, boutique z modną odzieżą, sklep i kiosk. W lewej nawie poprzecznej znajdowała się obszerna sala balowa i nic ponadto, podczas gdy jej replika po prawej stronie została na dalszym etapie podzielona na niedużą restaurację z przyległym barkiem oraz wygodny, jasno oświetlony bar koktajlowy, w którym to właśnie miałem spotkać się z Nancy.

Zapach unoszący się w wytwornym hallu przywodził na myśl pomieszczenie po zjeździe Cór Amerykańskiej Rewolucji. Po gołębiobiałych marmurowych schodach, przedzielonych podwójną mosiężną poręczą, wypolerowaną niczym nowa stalówka, wszedłem na półpiętro i skręciłem na prawo do barku.

Jego wystrój, podobnie jak i wszystkich innym pomieszczeń hotelowych, był w stylu Ludwika — Króla Słońce w wydaniu Metro Goldwyn Mayer. Nawet kabiny telefoniczne miały w sobie coś z „Trzech Muszkieterów”.

Rozejrzałem się wokoło, ale nigdzie nie było widać Nancy, tylko mnóstwo stolików zajętych przez pary w średnim wieku przebrane już do kolacji. Wsadziłem papierosa w usta i skinałem na maitre d', aby znalazł mi niekrępujący dwuosobowy stolik. Poprowadził mnie przez salę do stolika ustawionego naprzeciwko niewielkiego podium dla pianisty, schludnego, odzianego w ciemnowiśniowy smoking eleganta z nadmiernie otłuszczonym podbródkiem i uśmiechem osobnika cierpiącego na szczękościsk. Jęklwym głosem nucił składankę najnowszych przebojów z Broadwayu, rozkoszując się wydawanymi przez siebie dźwiękami.

Maitre d' przytrzymał mi krzesło, kiedy siadałem, a następnie przywołał znajdującego się w pobliżu kelnera, żeby przyjął ode mnie zamówienie. Natychmiast podszedł do nas mężczyzna w białym kitlu ze złotymi guzikami i zielono-złotymi epoletami, przepasany szeroką szmaragdową szarfą. Na kieszonce na piersi wyhaftowane miał złotą jedwabną nicią imię

„Henry”.

— Czekam na kogoś. Henry — powiedziałem. — Ta pani może się trochę spóźnić.

— A może tymczasem czegoś by się pan napił?

— Dobrze. Przynieś mi whisky sour. Nie za zimną.

Henry był starym, bardzo starym kelnerem, tak starym, jakim powoli się stajesz, zanim w końcu zabiorą twoje wysłużone gnaty i odstawią na emeryturę.

— Służę panu — powiedział. — I chciałbym zauważyć, że nie nazywam się Henry, lecz Hermann. Niestety, nie posiadają tu marynarki z imieniem Hermann, a z tego co mieli, najbardziej zbliżone było Henry. — Spojrzał na mój krawat i skrzywił się z niesmakiem. Był to połyskliwie niebieski model w żółte sombrero. — A tak swoją drogą, proszę pana — dodał kelner — to ja nie każdemu opowiadam o swojej marynarce.

Zaciągnąłem się i zgasilem papierosa w popielniczce.

— To dlaczego opowiadasz mnie?

Zapisał sobie moje zamówienie w bloczku rachunkowym, po czym zdarł wierzchnią karteczkę i wsunął ją pod srebrny numer stolika.

— Z dwóch powodów. Po pierwsze, ma pan taką twarz, która zachęca nieznanego do podjęcia rozmowy.

Zaległa cisza. Ja czekałem.

— A po drugie?

Znów spojrzał na mój krawat.

— A poza tym, wygląda mi pan na takiego klienta, który nie zostawi więcej niż pięć centów napiwku, co moim zdaniem oznacza, że mogę panu opowiadać, co mi się tylko podoba, a pan poczułby się głupio, gdyby pan tego nie wysłuchał.

Uśmiechnął się grzecznie i odszedł w stronę baru. Po chwili wrócił z zamówionym przeze mnie trunkiem i postawił go na przystawce. O ósmej trzydzięci miałem już za sobą trzy szklaneczki tego samego, a nim zegar wybił dziewiątą, zaliczyłem trzy dalsze kolejki. Nie byłem więc specjalnie zły, tylko odrobinę wstawiony, gdy o dziewiątej trzydzięci w całej swej okazałości wkroczyła wreszcie Nancy Canady. A ponieważ była to Nancy Canady, wkroczyła w naprawdę imponującym stylu.

Nancy ubrana była w jeden z tych czarnych teatralnych zestawów konfekcyjnych, które zwykle przywdziewają oskarżone o mężobójstwo kobiety zeznające za barierką dla świadków, gdy szczególnie zależy im na tym, aby wyprowadzić w pole facetów z ławy przysięgłych. Dwuczęściowy kostium składał się z obszernego w ramionach, luźnego żakietu, który Nancy zarzuciła na plecy, i wąskiej spódniczki sięgającej tuż poniżej kolan. Spódnica miała z tyłu śmiałe rozcięcie, a ponieważ uszyta była z krepy, marszczyła się wdzięcznie na dole przy każdym ruchu Nancy. Pod okrągłym wyłożonym kołnierzykiem bluzki z perłowobiałego atłasu Nancy zawiązała około metra aksamitnej wstążki w dużą, miękko opadającą kokardę. Na głowie miała wąski, przekrzywiony, czarny słomkowy toczek bez denka. Półwoalka, ozdobiona maleńkimi czarnymi fiołkami, zebranymi w bukieciki po trzy kwiatki, osłaniała lewą stronę jej twarzy. Płaska kopertowa torebka z lakierowanej skóry, para skromnych perłowych kolczyków i krótkie koronkowe rękawiczki stanowiły jedyne dodatki.

W całej sali nie było takiej pary oczu, które nie śledziłyby każdej cząsteczki jej drobnego ciała, gdy kołyszając nim z gracją podążała w kierunku mojego stolika. Nawet pianista przeskoczył dwa takty.

— O ósmej było tu dość tłoczno — odezwałem się na wpół bełkotliwie, podczas gdy Nancy sadowiła się na krześle przytrzymywanym przez kelnera, który zaledwie o pół głowy wygrał z maitre d' w wyścigu o ten przywilej. — Był tu nawet pewien kowboj z Hollywoodu ze swoim koniem. Zabijał czas przy kielichu i wprost modlił się o to, żeby ktoś wreszcie przyszedł i zabrał stąd te reflektory.

— Pan jest pijany — stwierdziła cierpko, kładąc na stole torebkę i rękawiczki.

— Pani natomiast jest zabawna; niesłowna i prześliczna. Kiedyś ułożę o pani piosenkę.

— Szkoda fatygi. Lepiej niech pan spróbuje ułożyć jakąś o swoich manierach. Nie zajmie to więcej niż dziesięć sekund, z czego dziewięć trzeba by poświęcić na szukanie rymu do „wulgarny”.

Kelner śmiał się ze mnie i uśmiechnął się do Nancy. Jak na takiego starego ramola poczynał sobie całkiem śmiało.

— To Hermann — przedstawiłem go. — Niech pani czasem nie wierzy w to, co ma wypisane na marynarce. Właśnie wybiera się, żeby przynieść mi następną whisky sour. A co ma przynieść dla pani?

— Mam ochotę na bardzo duży i bardzo wytrawny wermut — powiedziała spoglądając na kelnera i rozkosznie się do niego uśmiechając. — Hermann to przemiłe imię.

Hermann skłonił się uprzejmie i położył kolejny rachunek ze swojego bloczka na szybko rosnący stosik.

— A więc — powiedziałem, gdy kelner posuwistym krokiem oddalił się po napoje. — To nasza pierwsza prawdziwa randka. Miejmy nadzieję, że nie ostatnia.

Pociągnęła noskiem, ale nie na swój króliczy sposób. Prawdziwy, głęboki wdech. Uniosła woalkę i odwracając ode mnie głowę leciutko trącała swój nosek maleńką chusteczką wykończoną koronką z Alençon. Dopóki nie przyniesiono nam trunków, nie odezwała się ani jednym słowem. Po prostu siedziała, wyglądając wprost przepięknie pod tą swoją woalką, i także trochę smutno.

Patrzyłem, jak Nancy podniosła płytki, miseczkowaty kieliszek za długą nóżkę i upiła z niego mały łyżeczek.

— Teraz lepiej — powiedziała sama do siebie i pociągnęła kilka dalszych łyków. A wtedy, odsuwając jak najdalej ode mnie połowę swojej twarzy zasłoniętej woalką, odstawiła wermut i otworzyła torebkę. — Trzy dni po dwadzieścia pięć za każdy, do tego piętnaście na wydatki. Daje to razem okrągłą setkę — stwierdziła zwięźle i wyciągnęła z torebki zwinięty rulon banknotów ściągnięty gumową opaską. — Proszę. Niech pan to przeliczy, jak pan chce.

Nawet nie ruszyłem pieniędzy. Wziąłem natomiast do ręki szklaneczkę z trunkiem. Upiłem z niej potężny łyk gorzko-słodkiej mieszanki i surowo spojrzałem na Nancy. Jeśli woalka była po to, żeby coś ukryć, z pewnością nie kryła jej zaniepokojenia.

— Zdawało mi się, że już to pani wyjaśniłem — powiedziałem. — Zapłatę przyjmuję dopiero wtedy, gdy sprawa jest zakończona. I tylko wówczas, jeśli klient zadowolony jest z wyników.

— Jeśli o pana chodzi, to sprawa jest zakończona. — Nancy Canady jednym solidnym haustem dopiła resztkę wermutu i głośno postawiła na stole pusty kieliszek. — A skoro już to załatwiliśmy, mam teraz wielką ochotę na następny kieliszek i papierosa.

Skinąłem na kelnera, zapaliłem dwa papierosy i jednego podałem Nancy.

— Może ja dobrze nie słyszę — rzekłem zaciągając się głęboko dymem i wychylając na łokciach wprzód. — Ale wydawało mi się, że właśnie usłyszałem, jak pani powiedziała, że zostałem wyłączony ze sprawy.

— Słuch ma pan pierwszorzędny, panie Dime. — Nancy Canady dwa razy leciutko zaciągnęła się papierosem, po czym zdusiła go w popielniczce z taką siłą, że złamał się w połowie.

Wziąłem zwitek dziesiątek i bezmyślnie zacząłem bawić się gumową opaską.

— Niech mi pani coś o tym opowie — poprosiłem. Mój głos dochodził jakby z oddali, niczym ostatnie odbicie echa. — Przypuszczam, że jest sporo do opowiedzenia.

— Czyżby pan nie słyszał? — spytała kpiąco. — Gubernator skorzystał z prawa łaski wobec Chucka. Jutro z samego rana wyruszamy do Niagara Falls, żeby wziąć tam ślub.

— Okropnie wzruszające.

— Przyślę panu widokówkę.



— Niechże się pani przestanie wykręcać — rzekłem nagle i przytknąłem palcem rulon, tak że potoczył się po stoliku. — Nikt nie odsuwa mnie od sprawy bez wyjaśnienia, panno Canady. Wysłuchajmy go więc, i niech się pani postara, żeby było tego warte.

Pieniądze uderzyły w podstawkę wazonu z ciemnoniebieskimi ostrózkami, stojącego na stoliku po stronie Nancy. Spojrzała na banknoty, ale w chwili gdy próbowała je odsunąć, chwyciłem ją za nadgarstek.

— Jeśli ma pani ochotę pograć w tenisa, spotkajmy się jutro w południe w Bartram Park. Tylko że wówczas będziemy używać rakiet i piłki za sześć centów. Bo odbijanie setki dolarów działa mi na nerwy.

— Proszę puścić — powiedziała. - Pan mi sprawia ból.

Ścisnąłem ją za przegub jeszcze mocniej.

— Niech pani mówi.

Nasze trunki przywędrowały na srebrnej tacy. Zaczekałem, dopóki kelner się nie oddali, a wtedy ją puściłem.

— Należy mi się jakieś wyjaśnienie.

— Należy się panu sto dolarów. — Pomasowała rękę i po chwili zaczęła mówić dalej. — Jeśli już koniecznie musi pan wiedzieć, pojechałam dziś zobaczyć się z Chuckiem. Powiedziałam, że moim zdaniem pańskie dochodzenie nic nie daje. Wytłumaczyłam mu, że wszystko, co zdołał pan do tej pory osiągnąć, sprowadza się do tego, że włamał się pan do biura Louisa Botubota i oberwał tam po głowie od nieznanego napastnika. Chuck był oburzony. Powiedział, że to, co pan zrobił, można jedynie przyrównać do wyczynów pospolitego złodziejstwa i że gdyby kiedykolwiek wyszło to na jaw, całkowicie pogrzebałoby jego szanse wygrania sprawy. — Młoda dama w czerni podniosła do ust swój drugi wermut i wytrąbiła go za jednym zamachem. — Chuck od razu mnie przekonał, że jest pan tylko zbyt cennym finansowym ciężarem. Poleciał mi wypłacić panu należność i znaleźć kogoś innego. — Odbiło się jej, więc powachlowała usta dłonią. — A zatem — podjęła po chwili trochę niezdecydowanym głosem — pieniądze należą do pana. Jest pan zadowolony?

Coś się tu nie kleiło. Siedziałem w milczeniu, gdy tymczasem Nancy wyjęła z torebki szylkretową puderniczkę i przejrzała się w lusterku, aby sprawdzić, czy wszystkie elementy charakterystyki są nadal na swoich miejscach. Potem zatrzasnęła puderniczkę i zaczęła wciągać rękawiczki.

— A opowiedziała też pani swojemu Chuckowi, jak niewiele brakowało, byśmy się troszkę zabawili u pani na kanapie tamtej nocy? — spytałem zaczepnie.

— A dlaczego miałabym mu o tym wspominać? — W jej głosie brzmiało autentyczne zakłopotanie. — Przecież nic nie było. Tak naprawdę, nawet mniej niż nic.

— A może jednak facet za kratkami był nieco innego zdania? — powiedziałem i odsunąłem zniechęcająco jej woalkę, odsłaniając okazały ciemnobrunatny siniak, widoczny na lewej stronie twarzy.

Nancy poderwała się gwałtownie, przewracając wazon z kwiatami.

— Co pan ma na myśli?

— No bo niby dlaczego uderzył panią w twarz?

— Chuck nigdy mnie nie tknął nawet palcem. Nigdy, nigdy, nigdy.

— Ktoś jednak panią uderzył.

— Wpadłam na drzwi.

— Drzwi z pięścią?

— Jak pan śmie zarzucać mi kłamstwo?! — wykrzyknęła na tyle głośno, że pianista zaczął grać forte na otwartym pianinie, aby ją zagłuszyć.

Jeśli ta mała damulka odstawiała komedię, robiła to wprost znakomicie. Nawet nie zaczęła, aż jej cokolwiek odpowiem. Chwyciła zwitek dziesięciodolarowych banknotów i cisnęła we mnie najmocniej, jak mogła. Odbił się od mojej klatki piersiowej i spadł między

zaciśnięte uda.

— Nic mnie nie obchodzi, co pan sobie myśli — oświadczyła odzyskując częściowo równowagę i szarpnięciem naciągając na twarz woalkę. — Niech pan odczepi się od sprawy Chucka i zostawi mnie w spokoju.

Nancy Canady wykonała zamaszysty obrót na czarnych lakierowanych obcasach i wymaszerowała z baru koktajlowego na tyle wytwornie, na ile pozwoliły jej dwa duże wermuty.

Siedziałem jeszcze dość długo, próbując jakoś się w tym wszystkim połapać, ale byłem zbyt wypompowany, żeby wymyślić coś sensownego. Wypompowany i nieco otępiąły. Czułem się także nieswojo z powodu tej setki dolarów. Nie była to co prawda duża suma, jednakże pieniądze te nie należały do mnie. Nie zarobiłem ich. I trzeba było je zwrócić.

Wokół mnie, w pustym już niemal barze zaczęli znowu pojawiać się ludzie, którzy przyszedli na ostatniego przed snem kielicha. Nadeszła pora do wyjścia. Wychyliłem ostatnią tego wieczoru whisky sour, położyłem dziesięciodolarowy banknot wystarczający na pokrycie rachunku i strzeliłem palcami na filipińskiego pikolaka, zmieniającego popielniczki przy sąsiednim stoliku.

Spytałem go, czy nie zna tu przypadkiem jakiegoś miejsca, gdzie mógłbym napisać list, a on powiedział, że w hallu znajduje się biurko. Wstałem i przez jakiś czas błąkałem się po hotelu, aż w końcu znalazłem orzechowy sekretarzyk na cienkich kozich nóżkach, stojący na uboczu w ciemnym zakamarku. Wyjąłem z przegródki arkusz papieru listowego i odkręciłem pióro, ale jakoś trudno mi było zacząć. Nie nawykłem pisywać do kobiet. Ostatnio mi się to przydarzyło, kiedy jako wielbiciel wysłałem list do uczestniczek konkursu piękności w Keystone. Po upływie dziesięciu minut kartka papieru była nadal pusta, nie licząc delikatnej ryciny przedstawiającej frontową elewację hotelu i jego nazwy wydrukowanej poniżej drobną kursywą.

A chciałem powiedzieć, że to nie pora, aby się wycofywać, bo jeśli chodzi o moje dochodzenie, mogę wykazać się czymś znacznie więcej niż tylko guzem na głowie. Chciałem powiedzieć, że dwie osoby mnie okłamały, i to nie będąc do tego w najmniejszy sposób sprowokowane, trzecia zaś, z własnej inicjatywy przysłała mi zdjęcie z urodzinowego przyjęcia w „Dżungli”, które odbyło się właśnie tego wieczoru, kiedy aresztowali Westerna za zabójstwo Ike'a Vreema. Chciałem również powiedzieć, że pewien gliniarz, niegdyś moczymorda, o nazwisku Clooney próbował mnie zastraszyć i że ktokolwiek jeszcze kręcił się po biurze Louisa Botubota tej nocy, kiedy oberwałem po łbie, tak samo zależało mu na zdobyciu akt Westerna, jak mnie. Chciałem także powiedzieć, że w tym czasie, gdy obrońca Westerna ukradkiem wymyka się na letni urlop, jego własna żona, nawet na chwilę nie rozstając się ze szklanką alkoholu, pałęta się po domu przyodziana jedynie w podwyższoną temperaturę swego ciała, a przy tym wcale nie liczy na Louisa, że ją nieco ostudzi. Chciałem powiedzieć i to, że o ile te wszystkie fakty wzięte z osobna nie zasługują może na uwagę, to w sumie, moim zdaniem, wytyczają one pewną linię dochodzenia, której warto się trzymać. A na zakończenie chciałem powiedzieć, że ona, mała Nancy Canady, wtargnęła w moje bezbarwne życie i odkryła w nim wszystkie te miejsca, które tak pieczołowicie trzymałem w zamknięciu i do których jednocześnie trochę się bałem zaglądać. Tak, tyle chciałem powiedzieć, lecz zamiast tego opisałem to wszystko w największym skrócie i opatrzyłem swoim podpisem. I żeby jeszcze jej pokazać, z jakim to ważnym i groźnym facetem ma do czynienia, podkreśliłem swoje nazwisko jednym zdecydowanym pociągnięciem pióra.

Potem jeszcze raz to przeczytałem.

Początek przypominał w stylu Waltera Winchella, a zakończenie brzmiało tak, jakby wyszło spod pióra Elli Wheeler Wilcox. Zniechęcony zgmiotłem w pięści kartkę i wrzuciłem ją do kosza pod biurkiem. Zsunąłem gumową opaskę ze zwitka banknotów i rozprostowałem je dłonią. Wsunąłem pieniądze do koperty, którą zaadresowałem do Nancy. Przechodząc z

powrotem przez hall, do automatu stojącego koło recepcji wepchnąłem kilka centów wymieniając je na znaczek, po czym wrzuciłem kopertę w podłużny otwór hotelowej skrzynki pocztowej. Potem pojechałem do domu

## 14.

Było już późno, kiedy zatrzymałem samochód na wprost swojego mieszkania. Nawet bar Charliego był zamknięty, a swojsko mrugający neon wygaszony i martwy. W domach po obu stronach ulicy nie paliły się żadne światła. Jedynie z moich okien emanowała jakby delikatna poświata. Nie mógł to być odbłask ulicznej latarni ani jakiś figiel błyszczącego jasno księżycy. I z pewnością nic takiego nie było, gdy wcześniej wyruszałem do hotelu.

Wychyliłem głowę z samochodu i popatrzyłem uważnie.

Podobnie jak w większości mieszkań na Tasker Street, moja sypialnia znajdowała się za salonem, a łączące je drzwi znajdowały się dokładnie na wprost wejścia. To by się nawet zgadzało. Jeśli ktokolwiek chciał się na mnie zaczaić, skorzystałby z sypialni. Tam by znalazł nie tylko kryjówkę, ale i doskonały punkt obserwacyjny. A gdyby posiadał broń, mógł stamtąd oddać pewny strzał, i nic poza puszką dywanu nie zakłóciłoby mu widoczności. Co więcej, komuś, kto chciał mnie zaskoczyć, światło w sypialni mogło znakomicie posłużyć jako przynęta. Wchodząc do mieszkania natychmiast bym je zauważył i przyciągnęłoby ono moją uwagę na tyle, by intruz mógł zdobyć nade mną przewagę. Gdyby jednak udało mi się dostać do mieszkania przez okno sypialni, przewaga byłaby po mojej stronie; wówczas ja miałbym go w rękę.

Tak też uczyniłem.

Nim jednak zacząłem działać, postanowiłem zaopatrzyć się w broń. Pistoletem, który cenilem najwyżej, był Smith and Wesson, kaliber trzydzieści osiem, wierny towarzysz z czasów, kiedy jeszcze patrolowałem ulice. Ale mój policyjny ulubieniec znajdował się teraz w futerale na dnie szuflady mego służbowego biurka, a wszystkie te skomplikowane czynności, które musiałbym wykonać, by się do niego dostać — otwieranie drzwi, zapalenie świateł, zamykanie drzwi i gaszenie świateł — wymagały zbyt dużo zachodu. Otworzyłem więc kasetkę w samochodzie i wyjąłem zawiniętego w kawałek zgrzebnego materiału, wysłużonego wojskowego Lugera, którego trzymałem tam na wszelki wypadek. Nie była to pukawka, za którą bym specjalnie przepadał, niemniej jednak, dzięki starej, dobrej niemieckiej „Wissen”, wystrzeliwała ona pod rząd siedem kul, i to wystrzeliwała niezwykle celnie, nigdy się przy tym nie zacinając. Upewniłem się, że magazynek jest pełny, przeczyściłem lufę, po czym zatknąłem ten ciężki kawał metalu za pasek od spodni.

Trasa do mojej sypialni prowadziła przez trzy kondygnacje schodów pożarowych. Z tylnego siedzenia pontiaka wzięłem parę gumowych butów i naciągnąłem je na swoje skórzane obuwie. Następnie wygramoliłem się z samochodu, przeszedłem na drugą stronę ulicy i bezszelestnie podążyłem w kierunku wąskiego podjazdu prowadzącego na zaplecze budynku

Ani na podjeździe, ani na rampie domu towarowego, który ciągnął się przez prawie pół przecznicy równoległej do Tasker, również nie paliły się żadne światła. Ale ciemność była mi na rękę.

Od zaplecza baru Charliego odchodziła parterowa dobudówka — pomieszczenie, które służyło jako chłodnia. Miało ono płaski dach, otoczony niskim ceglany murkiem, co znacznie ułatwiało dostęp do pierwszej kondygnacji schodów pożarowych. Bardzo ostrożnie, zupełnie jakbym utrzymywał na brodzie wagę z epoki Ming, przypchałem ogromny śmietnik

na kółkach, a następnie, najciszej jak mogłem, wspiałem się po nim na dach. Nie narobiłem przy tym dużo więcej hałasu niż myszkujący kot czy pies.

Po wyjściu na dach wyciągnąłem pistolet, podkradłem się na palcach do schodów i ruszyłem w górę, nawet na chwilę nie odrywając wzroku od oświetlonego okna, znajdującego się zaledwie o parę stóp nad ostatnim podestem. Kiedy wreszcie tam dotarłem, unieruchomił mnie mimowolny skurcz mięśni.

Mocno przywarłem plecami do ściany. Po całym dniu prażenia się w sierpniowym słońcu cegły nadal były rozgrzane i czułem ich ciepło przez koszulę i marynarkę. Stałem tak pełne pięć minut, łowiąc uchem najdrobniejszy szmerek, który mógłby dopomóc mi w rozpoznaniu osoby czekającej na mnie po drugiej stronie. Ale stamtąd nie dochodził żaden dźwięk. Jedyne, co mogłem usłyszeć, to donośne chrapanie Charliego, dobiegające z jego sypialni, położonej tuż pod moją.

Te pięć minut dłużyło mi się tak bardzo, że nie byłbym zachwycony perspektywą tkwienia tam przez pięć następnych. Nadeszła pora do działania. Odbezpieczyłem Lugera, pochyliłem się do wysokości bioder i ponad parapetem zajrzałem do środka.

Moja ostrożność okazała się zbyteczna.

Wyprostowałem się i roześmiałem, czując, jak z mojego ciała gwałtownie uchodzi całe napięcie. Odłożyłem pistolet i przez otwarte okno wdrapałem się do pokoju, w którym unosiła się ledwo wyczuwalna, klasyczna woń Chanel Nr 5, a także nieco mniej klasyczna woń bourbana Old Crow z Kentucky. I o ile Old Crow natychmiast rozpoznałem jako swoją własność, to z pewnością nie perfumy Chanel. Należały one do młodej damy, która spoczywała na brzuchu, z nogami nieznacznie rozchylonymi w kształcie „V” i wtuloną w poduszkę posiniaczoną stroną twarzy. Nie licząc cienkiego prześcieradła, które zaplątało się jej wokół kostek, Nancy Canady były zupełnie naga. I kompletnie zziębnięta.

Starając się za wszelką cenę nie zakłócić jej spokoju, pozbierałem ubranie, które porzuciła po całym wydanie i złożyłem je na kupkę w nogach łóżka. Następnie rozplątałem prześcieradło i delikatnie przykryłem nim jej plecy. Gdy końcem prześcieradła otulałem jej ramiona, po obu stronach łopatek dostrzegłem rzędy siniaków przypominających kształtem odcisnięte końce palców. Musiał ją ktoś tarmosić, ktoś o wielkich, mocnych łapskach, i to tarmosić z ogromną siłą. Na wypadek gdyby sińce były nadal bolesne, odwinąłem brzeg prześcieradła i umieściłem tuż poniżej łopatek. Potem zaciągnąłem zasłony, zgasilem światło i przeszedłem do salonu.

Drzwi do mieszkania były otwarte na oścież, a w zamku wciąż jeszcze tkwił zapasowy klucz Charliego, co wyjaśniało, w jaki sposób Śpiąca Królowa dostała się do środka, nie wyjaśniało jednak nic więcej.

Spojrzałem na zegarek. Dochodziła trzecia.

Zamknąłem drzwi wejściowe, schowałem klucz do kieszeni, po czym przez salon przeszedłem do kuchni, żeby zrobić sobie filiżankę mocnej kawy. Z każdą chwilą coraz silniej czułem piekący ciężar opadających ze znużenia powiek. Przeniósłem kawę z kuchni do pokoju, postawiłem ją na poręczy fotela i rozsiadłem się wygodnie.

Sięgając raz po raz w stronę niedużego stolika, na którym trzymałem książki telefoniczne, próbowałem sporządzić wykaz wszystkich osób noszących nazwisko Van Getz. Ale przygotowanie takiej listy zajęło mi więcej czasu, niż się spodziewałem. W Filadelfii centralnej nie było nikogo o tym nazwisku, musiałem więc przewertować trzy strefowe książki telefoniczne. W promieniu dwudziestu mil jedynym Van Getzem figurującym w spisie abonentów okazał się psychoanalityk, niejaki Victor Van Getz, doktor mieszkający w pobliżu West Chester.

Zanotowałem sobie szczegóły, dopiłem kawę i wypaliłem dwa papierosy. Wkrótce mieszanka nikotyny z kofeiną sprawiła, że poczułem się bardziej rześki. Nim jednak zdecydowałem się wyciągnąć ordynatora z łóżka, by go zapytać, czy jego żona ma na imię Belinda,

musiałem najpierw zastanowić się, co zrobić z tym fantem, który pojawił się równie nieoczekiwanie jak majowe kwiaty.

Znałem Nancy Canady zaledwie od trzech dni, ale było to wystarczająco długo, bym mógł stwierdzić z całą pewnością, że nawet jej nadmiernie rozwinięta impulsywność w normalnych warunkach nie skłoniłaby jej do tego, żeby wtargnąć do mieszkania faceta, urznąć się i rozebrać do rosołu. Nawet teraz byłem jeszcze gotów w połowie przełknąć historyjkę, jak to Chuck sobie zażyczył, żeby jakiś inny prywatny gliniarz poprowadził sprawę. Być może na miejscu Chucka czułbym to samo. Jeśli chodzi o niego i Nancy, nie miałem na swym koncie zbyt wielu osiągnięć, ledwie kilka urywających się tropów. Natomiast klientom przeważnie się spieszy, a przy tym zwykle znajdują się w rozpaczliwej sytuacji i nigdy nie potrafią zrozumieć, że na początku dochodzenia masz praktycznie same takie urywające się tropy. Bo na tym etapie one są właśnie tym, czego szukasz. Im więcej ich znajdziesz, tym lepsze masz szanse, że później pojawi się coś nowego. A patrząc od tej strony, fakt, że oberwałem po głowie, również nie był bez znaczenia. Przynajmniej dowiedziałem się, że warto było przeczytać zeznanie Westerna.

Lecz jeśli nawet ta historyjka Nancy, że Chuck polecił mnie zwolnić, była zgodna z prawdą, to ani trochę nie dałem się nabrać na tę drugą, o wpadnięciu na drzwi; a już z pewnością nie po tym, jak zobaczyłem sińce na jej ramionach. Musiała to być sprawka jakiegoś silnego i najprawdopodobniej rozwścieczonego faceta, rozwścieczonego na tyle, by mocno uderzyć ją w twarz. Nancy bała się, ale nie o siebie. To by do niej nie pasowało. Nancy Canady nie pozbędziesz się tak łatwo; jej ślepa lojalność wobec jakiegoś podrzędnego perkusisty, który jedną nogą był już w celi śmierci, dowodziła tego aż nadto. Niemniej jednak zupełnie nie mogłem pojąć, kto lub co sprawiło, że zachowała się w ten sposób. Intuicja podpowiadała mi, że wszystko znacznie lepiej zrozumiem, jeśli ukradkiem poszperam trochę w jej mieszkaniu.

Wstałem z fotela, przeciągnąłem się, ziewnąłem dwa razy, po czym cichutko wróciłem do sypialni. Nancy nadal leżała tak jak ją zostawiłem. Byłem przekonany, że ilość trunku, jaką pochłoneła, utrzyma ją w tej samej pozycji co najmniej do południa.

Spod łóżka wystawała jej kopertowa torebka, a także czarne koronkowe majteczki, których wcześniej nie zauważyłem. Wziąłem klucze od jej mieszkania, położyłem torebkę i majtki obok reszty przyodziewku, a następnie pojechałem do zachodniej Filadelfii.

## 15.

Otworzyłem zatrzask kluczem i dostałem się do środka. Zapaliłem światła. Pokój niewiele zmienił się od owej nocy, gdy tu byłem. Cięte kwiaty wyglądały wciąż tak samo świeżo, a bostoński bujak nadal prezentował się stylowo. Również w trakcie półgodzinnego szperania nie natknąłem się na nic, co by mogło potwierdzić moje przecucie. Kiedy już uporałem się z pokojem gościnnym, wetknąłem jeszcze nos do kuchni, gdzie zobaczyłem kilka garnków i patelni — i to wszystko. Także w łazience nie znajdowało się nic takiego, co wzbudziłoby moje szczególne zainteresowanie.

Pozostawała więc sypialnia Nancy.

Otworzyłem drzwi, przesunąłem ręką w dół po ścianie i pstryknąłem kontakt. Ale żarówka w wiszącym pośrodku sufitu żyrandolu była przepalona. Nikłe światło padające z pokoju gościnnego wystarczało jednak, bym dostrzegł kontury chromowanej lampy stojącej na stoliku obok łóżka. Lampa w kształcie palmy miała abażur wykonany misternie z wąskich,

łódkowatych szklanych płytek, zwisających w miejscu liści. Do podstawki pod palmą przytwierdzony był chromowany wielbłąd z popielniczką pod nogami i kasetką na zapalki między garbem i karkiem. Potykając się o rozrzucone na dywanie pantofle dotarłem do lampy, przycisnąłem włącznik i rozejrzałem się dokoła.

Znajdowałem się w niedużym pokoju, którego powierzchnię pomniejszała dodatkowo groteskowa szafa z wiąz i stare mosiężne łoże. Przez otwarte drzwi szafy dostrzegłem wieszaki z ubraniami szczelnie wypełniające drążek. Stroje, dla których zabrakło miejsca w środku, a takich było wiele, poniewierały się po całym pokoju niczym odzież na styczniowej wyprzedaży.

Podwójne łóżko było nie posłane, przysiadłem więc na samym brzegu w sąsiedztwie złocistego, filcowego kapelusza z szerokim rondem i otokiem wysadzonym sztucznymi diamentami. Kapelusz ten należał do tego rodzaju nakryć głowy, jakie kobiety przymierzają w sklepie, kochają się w nich na zabój przez pięć minut, by wkrótce porzucić je na zawsze. Ale cóż, w końcu w ten właśnie sposób kobiety traktują większość rzeczy.

Wyciągnąłem papierosy i zapaliłem ostatniego z paczki. Przyglądając się w zamyśleniu pustemu opakowaniu, uzmysłowiłem sobie, że palę camela. Uśmiechnąłem się krzywo, położyłem paczkę pod chromowanym wielbłądem niczym worek na obrok i byłem już niemal gotów pomyśleć, że przecucie mnie zawiodło, gdy nagle spostrzegłem koło swojej nogi kremowy sznur. Jeden z jego końców ginął gdzieś pod łóżkiem, drugi wił się między prześcieradłami, po czym zniknął pod bładożółtą adamaszkową kołdrą. Szarpnąłem za sznur jak wędkarz zmagający się z pstrągiem i wyciągnąłem bez mała kilogramowy telefon. Zachęcony, łowiłem dalej wśród skotłowanej pościeli i wydobywałem kolejno szylkretową szczotkę do włosów, granatowy plastikowy pasek z dużą białą kłamrą, jedwabny pas do pończoch, a także pękaty, oprawny w rudobrazową skórę dziennik.

Pół okazał się całkiem niezły. Odrzuciłem szczotkę i oba paski, po czym otworzyłem dziennik na stronie tytułowej. W górnym rogu Nancy Canady wykaligrafowała swoje imię dużymi, ozdobnymi literami.

Zapiski dotyczyły przeważnie umówionych spotkań; czasem zawierały nie więcej niż kilka słów. Ale przy każdej dacie widniała przynajmniej jedna krótka notatka, nawet jeśli określała tylko czas i miejsce spotkania. Szybko przekartkowałem dziennik, żeby sprawdzić, co też Nancy napisała pod datą „Czwartek, 19 sierpnia”. Ze skreślonej starannym piśmem notatki wynikało, iż był to jej pierwszy wolny od pracy dzień w miesiącu i że miała wówczas sporo zajęć: salon fryzjerski o jedenastej trzydzieści, lunch z przyjaciółką, kino w towarzystwie tej samej osoby co lunch, popołudniowa herbata u Wanamakera, i tak dalej, i tak dalej. Był to więc dzień wypełniony zwykłymi, prozaicznymi zajęciami, nie znalazłem natomiast żadnej wzmianki o więzieniu Holmesburg, czy Chucku Westernie. Istniała wprawdzie możliwość, że Nancy odwołała swoje umówione spotkania i mimo wszystko odwiedziła Chucka, ale nie wydawało mi się to prawdopodobne. Żeby dostać się do więzienia, musiałaby najpierw uzyskać od naczelnika zgodę na piśmie, a to zajęłoby jej co najmniej tydzień. Byłem zresztą całkowicie przekonany, że ani nie widziała się z Chuckiem, ani też nie otrzymała od niego polecenia, żeby mnie spławić. Dopóki jednak nie miałem na to dowodu, musiałem przyjąć jej wersję i zrezygnować z prowadzenia sprawy, wiedząc, że ktoś ją zastraszył. Zgasilem papierosa i zajrzałem na koniec dziennika, gdzie znajdowała się skórzana kieszeń wypchana jakimiś papierami. Były to w większości rachunki. Dwa leżące na wierzchu pochodziły od modystki z Chestnut Street: jeden za czarny toczek, a drugi za pończochy. Oba nosiły datę 19 sierpnia.

Pod rachunkami znajdował się kwit z lombardu. Wystawiony był na nazwisko Nancy i stwierdzał przyjęcie w zastaw pięciu instrumentów perkusyjnych w futerałach, łącznie z cymbelami i różnymi akcesoriami, które podlegają wykupowi za sumę stu dolarów. Na kwicie widniała taka sama data, jak na obu rachunkach.

Odłożyłem kwit na miejsce i zabrałem się do przeglądania kupki listów oraz jednej czy dwu widokówek. Jeden z listów zasługiwał na szczególną uwagę. Napisany był na maszynie na firmowym papierze z nadrukiem. Jego nadawcą okazał się Jack B. Canady, prezes Towarzystwa Jachtowego Canady w New Hampshire, Connecticut. List ten brzmiał następująco:

*Cześć Skarbie,*

*Twoja mama ciągle jeszcze nie może przyjść do siebie po tym, jak nie mówiąc nikomu ani słowa, dałaś dyla z domu po zabawie w Smith College. Oboje wprost odchodziliśmy od zmysłów, dopóki nie zadzwoniłaś. Postawiliśmy na nogi chyba połowę wszystkich gliniarzy w stanie Massachusetts, żeby cię szukali. Myśleliśmy, że może ktoś cię porwał, albo jeszcze coś gorszego. Czemu nie skrobniesz do mamy paru słów? Albo lepiej zadzwoń do niej i jakoś ją udobruchaj, co? Spróbuj spojrzeć na to od jej strony. Zamartwia się jak diabli. Ponieważ nie spędzisz z nią wakacji, jak to było ustalone, staram się ją namówić, żeby wybrała się razem ze mną w podróż służbową do Miami, a może została tam nawet kilka tygodni. Tak czy owak, Skarbie, pomyśl o tym. A przy okazji posyłam parę groszy, które pewnie pomogą ci jakoś przetrwać do następnej wypłaty. Jeśli potrzebujesz więcej, spróbuj złapać mnie w biurze. Tylko, na miłość boską, uważaj na siebie i nie zadawaj się z jakimś podejrzanym towarzystwem. Wiem, że Filadelfia to nie to samo co Nowy Jork, ale to pewne jak diabli, że nie jest to też Amherst.*

List podpisany był zwyczajnie: „Twój ojciec”.

Schowałem papiery oraz listy i, aby mieć całkowitą pewność, że niczego nie przeoczyłem, zajrzałem ponownie na początek dziennika, do spisu adresów. Znajdowało się tam mnóstwo nazwisk osób zamieszkujących stan Massachusetts; na ogół nosili imiona takie, jak Rick, Bobbie czy Loretta. Państwo Canady posiadali dwa adresy — w Amherst i Connecticut. Zupełnie jak ich córka. Nancy miała swój kąt gdzieś w zachodniej Filadelfii, a spała sobie w najlepsze na Tasker Street. Wciągnąłem do płuc nieco dymu, a wówczas przypadkiem zauważyłem, że moje nazwisko figurowało jako ostatnie wśród tych, zaczynających się na „D”, podczas gdy państwo Canady znajdowali się na początku pod literą „C”. Nic szczególnego, ot, zwykła staranność, bez większego znaczenia.

Zamknąłem dziennik, zgasilem w chromowanej popielniczce pod nogami wielbłąda dopiero co zapalonego camela i wyłączyłem lampę. Wszystko zaczęło się w końcu układać, a z poszarpanych konturów po raz pierwszy wyłonił się jakiś uporządkowany obraz. Kwit z lombardu świadczył o tym, że Nancy pilnie potrzebowała stu dolarów, znacznie szybciej niż sama zdołałaby zarobić, i szybciej niż jej staruszek mógłby przesłać z Miami telegraficznym przekazem. A powodem, dla którego chciała zdobyć je tak szybko było to, że musiała mnie odprawić, ponieważ ktoś ją do tego nakłonił. Pozostawało tylko pytanie: kto? Odpowiedź znalazłem w korytarzu przed mieszkaniem Nancy. Nie dostrzegłem tego, kiedy wcześniej tamtędy przechodziłem, bo intuicja podpowiadała mi „szukaj”, nie mówiąc jednak, czego właściwie mam szukać. Ale wychodząc z mieszkania zauważyłem to. Pół metra od wycieraczki leżał rozgnieciony niedopałek cygaretki. Był to gatunek, jaki palił wywiadowca Clooney.

## 16.

Nie pojechałem prosto na Tasker Street. Zatrzymałem się po drodze w nocnej knajpce niedaleko Reading Terminal i siedziałem tam, aż zrobiło się widno; popijając kawę z rumem

zastanawiałem się, co powiedzieć Nancy Canady. Odkrycie, że to Clooney usiłował ją nakłonić, by mnie odprawiła, nie zmniejszyło wcale zagrożenia z jego strony, mnie zaś dodatkowo obarczyło poczuciem odpowiedzialności. Ponadto, ten dziwnie obsesyjny upór Clooneya, by za wszelką cenę udowodnić Westernowi winę, stawiał mnie w wyjątkowo paskudnej sytuacji. Gdybym chciał bronić Chucka, musiałbym powiedzieć Nancy, że zajmę się Clooneyem, a wówczas byłbym zmuszony pogrywać znacznie sprytniej niż do tej pory, no i trzeba by było zacząć wiązać ze sobą co poniektóre urywające się tropy!

Jadąc do swojego mieszkania układałem w myślach niewielką przemowę, ale okazało się to niepotrzebne. Gdy dotarłem do domu, Nancy już tam nie było.

Rozejrzałem się po mieszkaniu za jakimś liścikiem lub czymkolwiek, co wyjaśniłoby dokąd mogła pójść, ale nic takiego nie znalazłem. W kabinie prysznicza ktoś napisał koralowo-różową szminką w poprzek lustra drukowanymi literami słowo „przepraszam”. Być może napisała to Nancy; sprawy były jednak tak zawikłane, że mógł to zrobić ktokolwiek. Podniosłem z podłogi dwa mokre ręczniki, rozwiesiłem je na drążku od zasłonki i zakręciłem kran, z którego głośno kapała woda do baseniku.

Następnie poszedłem do sypialni i ściągnąłem z łóżka pościel.

Prześcieradła były jeszcze odrobinę ciepłe i mocno przesiąknięte zapachem Nancy. Wepchnąłem je do torby z praniem, wyjąłem z szafy komplet świeżej bielizny i posłałem łóżko.

Gdy doprowadziłem wszystko do porządku, zrobiła się już ósma.

Zapaliłem papierosa i zacząłem się zastanawiać, o jakiej porze doktor Van Getz może otwierać gabinet. Numer jego telefonu znajdował się tam, gdzie go zostawiłem: w notesie leżącym na poręczy fotela. Zdjąłem buty, rozpiąłem koszulę i podszedłem do aparatu w saloniku. Podniosłem słuchawkę, wykręciłem numer — musiałem dość długo odczekać, zanim odezwał się kobiecy głos. Był to głos, który płynął niczym bardzo głęboka, bardzo zimna i bardzo leniwie tocząca się rzeka. I gdyby ten głos był rzeką, byłby równie czysty i przejrzysty jak roztopiony lód. Głos ten mówił:

— Ta wiadomość jest nagrana. Doktor Van Getz ogromnie żałuje, ale nie może w tej chwili rozmawiać. W celu zamówienia wizyty, proszę podać swoje nazwisko i numer telefonu, a asystentka doktora wkrótce zadzwoni. Proszę zacząć mówić po sygnale.

Wypuściłem nosem smugę dymu.

— Nazywam się Mike Dime — powiedziałem do aparatu. — Nie zależy mi na wizycie u doktora, ale chciałbym porozmawiać z jego żoną. Sprawa jest pilna i wymaga pośpiechu. Proszę więc darować sobie telefonowanie do mnie. Jak tylko trochę się prześpię — bo całą noc byłem na nogach — przekąszę coś i wypastuję buty, zjawię się u was koło jedenastej. Ale nie przejmujcie się zbytnio, gdybym się parę minut spóźnił. Przyjdę na pewno.

Zgaśliem papierosa i przemyślałem swoją wypowiedź. Była jak trzeba. Nie chciałem sprawić wrażenia kogoś porządnie stukniętego, ot, stukniętego na tyle, by uchodzić za faceta, któremu bardzo się śpieszy.

Potem zrzuciłem z siebie resztę ubrania, włożyłem do śpiwora i smacznie zasnąłem.

## 17.

Nastał chłodny poranek. Po raz pierwszy od wielu tygodni temperatura w Filadelfii spadła poniżej dwudziestu stopni, a trzydzieści mil za miastem było co najmniej pięć stopni zimniej. Gdy zjechałem z autostrady na północ od rzeki Brandywine, z ciemnoszarego nieba



zaczęta siąpić drobna mżawka. Włączyłem wycieraczki, zakręciłem okno i pomknąłem pustą drogą biegnącą wzdłuż rozległego koryta Brandywine. Po jednej stronie rozciągały się monotonne zielone równiny dochodzące do brzegów rzeki, a po drugiej widniały strome wzniesienia pokryte gęstym lasem liściastym z przewagą klonów i kasztanów. Nie natknąłem się na żaden pojazd jadący z przeciwnika, a i ja nie wyprzedziłem nikogo po drodze: mijałem tylko kilka pasących się na łące koni i dziewczynę w kraciastych bermudach, która wybrała się na rowerową przejażdżkę. Zdawało się że całą dolinę Delaware mam wyłącznie dla siebie.

Kilka mil dalej biegnąca poprzez łąki i lasy szosa rozwidlała się w trzech kierunkach. W lewo odchodziła opadająca ku rzece polna droga, podczas gdy główna arteria wiodła do West Chester. Skierowałem samochód w prawo i przez milę jechałem stromym pasemkiem krętego asfaltu pośród ogrodzonego siatką gęstego lasu, który przerzedzał się stopniowo, by w końcu zniknąć raptownie w miejscu, gdzie zaczynał się wąski, żwirowy podjazd. U wlotu podjazdu po lewej stronie znajdowała się nieociosana bryła różowego granitu, sięgająca najwyżej do kolan. Przytwierdzona do niej tabliczka z brązu informowała krótko, że oto znalazłem się na terenie kliniki Van Getza. Napis na szlabanie zamykającym podjazd był równie zwięzły: „Teren prywatny — wstęp wzbroniony”. Wyglądało na to, że doktor Van Getz nie lubił tracić czasu na jakieś pogaduszki.

Wysiadłem z samochodu, podniosłem szlaban, po czym ostrożnie wjechałem w tunel utworzony przez szpaler wysokich czerwonych buków, których splecione korony całkowicie zasłaniały niebo. Mimo iż mżawka ustała, ze zwisających gęsto gałęzi nadal skapywały krople, stukając nieregularnie o blaszany dach pontiaka. Zmieniłem bieg, aby z odpowiednią prędkością poruszać się w przesiąkniętym wilgocią, mrocznym tunelu i starałem się wyłowić jakieś dźwięki poza głuchym warkotem silnika. Nie dobiegł mnie jednak żaden odgłos, nawet śpiew ptaków. Na ptasi śpiew było tam zbyt ponuro.

Po chwili ze zwieńczonego bukowym sklepieniem tunelu podjazd wyszedł na otwartą przestrzeń, a dalej, wyginając się w kształcie litery „S”, prowadził pod górę przez rozłożysty trawnik w stronę kilku parterowych zabudowań, częściowo zasłoniętych wysoką skarpią zieleni. Drugi zakręt omijał potężny świerk o długich gałęziach, z których zwisały frędzle szmaragdowozielonych igieł przypominające wodorosty przyczepione do starych lin okrętowych.

Jadąc powoli okrążyłem świerk, po czym przyspieszyłem nieco dojeżdżając do głównego budynku, betonowego kloca ze spłaszczonym dachem, posiadającego nie więcej architektonicznego wdzięku niż bunkier Hitlera w Berlinie.

Obok kliniki znajdowała się zastawiona buickiem brama wjazdowa oraz zamknięty garaż. Zaparkowałem samochód na dziedzińcu, podszedłem do ciemnych, oszklonych drzwi i nacisnąłem dzwonek opatrzony napisem „Tylko dla pacjentów”.

W trakcie oczekiwania liczyłem, ile razy czerwony kardynał przeskoczy z jednej gałęzi świerka na drugą. Przefrunął właśnie po raz siedemnasty, gdy już miałem znowu zadzwonić, ale zionący chłodem srebrzysty głos, który wcześniej przemawiał do mnie z automatycznej sekretarki, zabrzmiał ponownie. Z ukrytego pod sterzącym okapem głośnika powiedziano mi, że gdy tylko usłyszę brzęczenie, mam pchnąć drzwi z całej siły i wejść.

Wykonałem polecenie i przy okazji zmarnowałem parę szarych komórek zastanawiając się, jakie ciało mogło kryć się za tym głosem.

Była wysoka, mierząca nieco ponad sześć stóp — a więc niemal mojego wzrostu — kobietą po trzydziestce. Na jej okrągłej twarzy o miodowej cerze zwracała uwagę przede wszystkim para spokojnych, lawendowobłękitnych oczu, które przyglądały mi się beznamiętnie, gdy szedłem przez pokój kierując się w jej stronę. Jej ciemnoblond włosy, naturalnie rozjaśnione wypłowiałymi od słońca pasemkami z pewnością sięgałyby do połowy pleców, gdyby nie szesała ich tuż nad karkiem w wykwintny koczek, upięty za pomocą trzech ozdobnych gagatowych spinek dyskretnie przystrojonych kaboszonami. Harmonizująca ze spinkami obroża z gagatów i turkusów opasywała jej szyję, a para kolczyków w tym samym stylu

dopełniała całości.

— Pan z pewnością nazywa się Dime — powiedziała oficjalnym tonem i zatrzasnęła szufladę białej, wypełnionej kartami chorobowymi szafki, która przylegała do białego półkolistego biurka stojącego samotnie pośrodku białego ośmiokątnego pokoju. Pokój ten obwie-szony był abstrakcyjnymi płótnami rozmiarów stanu Nebraska i tylko odrobinę mnie interesu-jącymi.

Ukloniłem się i zdjąłem kapelusz.

— Nazywam się Auriol Winterfield — rzekła w sposób, który, jak podejrzewałem, miał mnie nieco rozluźnić. Ale nie uśmiechnęła się. Prawdopodobnie nie warto uśmiechać się do głupka, bo jeszcze byłby gotów niewłaściwie to odebrać. — Jestem osobistą asystentką doktora Van Getza — dodała i wysunęła zza biurka swoje długie nogi.

Szła wyprostowana, stawiając swobodne, niespieszne kroki i kołysząc masywnymi uda-mi. Był to chód kobiety przechadzającej się po kolacji na pokładzie jachtu.

— Niestety, pani Van Getz jest w tej chwili nieobecna — powiedziała, zapraszającym gestem wskazując mi obudowane jasnym drewnem i obite białą skórą siedzisko, które ciągnęło się wzdłuż ściany przez pół pokoju. — A może zechciałby mi pan powiedzieć w skrócie, o czym zamierzał pan rozmawiać z panią Van Getz?

— Z największą ochotą — rzekłem, kiedy oboje usiedliśmy — ale ponieważ jest to sprawa prywatna, wolałbym raczej pomówić z doktorem, jeśli jego żona jest nieobecna.

Pani Winterfield założyła nogę na nogę pozwalając, by spod rąbka luźnego lekarskiego fartucha wysunęła się znaczna część kolana obciążonego supermodnym jedwabiem najwy-ższej klasy.

— Doktor Van Getz jest w tej chwili bardzo zajęty — wycodziła przez wąskie usta. — Niestety, jego rozkład zajęć jest dziś całkowicie wypełniony, podobnie zresztą jak każdego dnia. Nie wiem, czy pan zdaje sobie sprawę, panie Dime, że doktor Van Getz jest jedną z czołowych postaci na świecie w dziedzinie nowoczesnej psychoanalizy i jego czas jest nie-zwykle cenny. Chociaż muszę zaznaczyć, iż gdyby znajdował się pan w stanie stresu, nawet najłżejszego, doktor Van Getz uczyniłby wszystko, co w jego mocy, aby pana przyjąć. — Zwartymi palcami uderzyła o kolano. — Skoro jednak nie jest pan chory i przyszedł pan tutaj, żeby zobaczyć się z jego żoną w sprawie, która, jak przypuszczam, nie ma nic wspólnego ze zdrowiem psychicznym, będzie pan musiał zadowolnić się rozmową ze mną, zwłaszcza że doktor obdarza mnie całkowitym zaufaniem, jeśli oczywiście nie chce pan, aby pańska wizyta okazała się tylko stratą czasu.

Była to zgrabna, krótka mowa, którą bez wątpienia wygłosiła już tysiąc i jeden raz równie skutecznie i beznamiętnie jak agent reklamujący wyroby Forda.

Do tej pory jednak nie bytem jeszcze pewien, czy trafiłem na właściwego Van Getza. Mogłem się o tym upewnić wymieniając imię jego żony.

— Belinda Van Getz może być zamieszana w coś całkiem poważnego — powiedziałem okręcając kapelusz na środkowym palcu niczym na karuzeli. — Nawet tak poważnego jak morderstwo. — Przerwałem na chwilę, aby dotarło do niej to, co powiedziałem. — Czy w dalszym ciągu utrzymuje pani, że doktor wolałby, żeby pani wyręczyła go w tej sprawie?

Pani Winterfield przełożyła nogi.

— Tego właśnie życzy sobie doktor Van Getz. — Uśmiechnęła się nieznacznie, a w kącikach jej ust pojawił się jakby cień satysfakcji. — Cel jego pracy, uzdrawianie umysłów, może być osiągnięty jedynie w atmosferze absolutnego zaufania. Moja rola osobistej asystentki całkowicie różni się zatem od tej, którą spełnia, powiedzmy, sekretarka w biurze, czy też asystentka zwykłego lekarza. — Pani Winterfield wyjęła z kieszonki na piersi cienki automa-tyczny ołówek, a z kieszeni naszytej na wysokości lewego uda niewielki notes. — Tutaj, w klinice Van Getza obowiązuje zasada, aby wszystko ze sobą dzielić.

Jeszcze raz zakręciłem kapeluszem na palcu.

— Wszystko? No to doktorek musi mieć całkiem fajnie. A co myśli o tym pan Winterfield?

Moja uwaga powinna była ją rozwścieczyć, ale ona nawet się nie zarumieniła. To nie ten typ kobiety. Jej praca polegała na okazywaniu wariatom uprzejmości, a nie na zadawaniu im lewych sierpowych, kiedy zaczynali fiksować.

— Tym, o czym myśli pan Winterfield, nie powinien się pan zajmować — odezwała się chłodno po krótkiej przerwie, podczas której zmierzyła mnie wzrokiem znacznie uważniej niż ja zdołałem to uczynić na początku. Jasnowłosa asystentka umieściła notes na udzie i wycisnęła grafit z ołówka. — A przy okazji, panie Dime, czym właściwie się pan zajmuje?

— Jestem prywatnym detektywem — odparłem i machnąłem jej przed oczami licencją.

— I, jak sędzę, wydaje się panu, że upoważnia to pana do robienia głupich uwag na temat doktora Van Getza i mnie?

Pani Winterfield trzymała ołówek nad notesem w taki sposób, jakby to, co spodziewała się usłyszeć, miało okazać się na tyle interesujące, że aż godne zapisania.

Odłożyłem licencję, zapaliłem papierosa i za wszelką cenę próbowałem być uprzejmy.

— Szefowie i ich asystentki są to właśnie te osoby, których śledzenie zabiera mi większość mojego niezbyt cennego czasu — powiedziałem, gdy wydmuchnięty przeze mnie dym zaczął unosić się nad naszymi głowami. — Zajmuję się głównie rozwodami, dlatego też często zdarza mi się widywać mężczyzn w towarzystwie sekretarek. Czasem widuję ich w biurach, gdzie wspólnie odpracowują godziny nadliczbowe, czasem obserwuję, jak wychodzą z małych przytulnych restauracji w cichych zakątkach miasta, a innym znów razem jak podczas pogodnego wiosennego dnia spacerują po Society Hill. Najczęściej jednak mam okazję zobaczyć, jak szefunio i jego panienska obściskują się w ciemnych kątach podmiejskich hoteli.

Pani Winterfield siedziała słuchając mnie z uwagą.

— Całe życie — ciągnąłem — upłynęło mi na podglądaniu przez dziurkę od klucza żonatych mężczyzn. Nieraz słyszałem, jak jeden czy drugi jęczał do słuchawki, że już mu strasznie obrzydły te handlowe zjazdy, że strasznie tęskni za dziećmi, i że mu tak strasznie brak jego małej kruszynki. A usychał taki z tęsknoty z podwójną szkocką w jednej ręce, a w drugiej z kluczem do dwuosobowego pokoju, który wcześniej jego sekretarka zarezerwowała na pierwsze lepsze nazwisko, jakie jej przyszło do głowy.

Kiedy mówiłem, pani Winterfield siedziała nieporuszona, tylko jej oczy z każdym moim słowem nabierały coraz bardziej lodowatego wyrazu.

— To fascynujące — powiedziała w końcu. — A zarazem na swój sposób tragiczne, iż zapatruje się pan na stosunki międzyludzkie i na swoje życie z tak głębokim sceptycyzmem.

W jej głosie brzmiała nutka zawodowej troski, troski, która dodatkowo uwidoczniła się w postaci dość głębokich zmarszczek biegnących szerokim łukiem przez czoło. Także w kącikach jej oczu pojawiły się liczne zmarszczki, których jakoś wcześniej nie zauważyłem. Chyba niewłaściwie określiłem jej wiek na trzydzieści parę lat. Przekroczyła już czterdziestkę, ale też trzymała się znacznie lepiej niż którakolwiek ze znanych mi osób. Jej ciało, podobnie jak u wszystkich dobrze zakonserwowanych kobiet, wydawało się odporne na upływ czasu, a fakt, iż nie nosiła obrączki, tylko potęgował to złudzenie.

— Wspominał pan, że ma pan pilną sprawę do pani Van Getz — podjęła pani Winterfield. — I dał pan do zrozumienia, że chodzi o morderstwo. Proszę wybaczyć, że się śmieję, panie Dime, i niech pan nawet przez chwilę nie posądzi mnie o to, że wątpię w pańskie zdolności detektywistyczne, ale pomyśl, że Belinda Van Getz mogłaby być zamieszana, choćby w najmniejszym stopniu, w jakiegokolwiek przestępstwo, nie mówiąc już o morderstwie, jest, no cóż, jest tak niewyobrażalny, że wprost brakuje słów.

Roześmiała się, a zabrzmiało to jak należy.

Właśnie miałem jej zawtórować śmiechem i powiedzieć, jakie to doprawdy niewyobrażalne, że Belinda Van Getz popijała sobie w najlepsze z facetem, który później tego samego

wieczoru został aresztowany i oskarżony o morderstwo, gdy w głębi pokoju zaśpiewał łągodnie sygnał w centralce stojącej na półkolistym biurku.

— Pan wybaczy, panie Dime — powiedziała i przeszła przez pokój, by wcisnąć przełącznik w urządzeniu, które obsługiwało trzy wewnętrzne telefony znajdujące się na biurku. Każdy miał inną barwę. Podniosła czarną słuchawkę i odwracając się twarzą w moim kierunku, przemówiła do aparatu.

— Tak, doktorze, nadal tu jest. — Nastąpiła chwila ciszy. — Prywatny detektyw, jak się zdaje... Owszem, wyjaśniłam sytuację dotyczącą pani Van Getz.

Głos po drugiej stronie wypowiedział wówczas kilka zdań pod rząd. Co prawda nie trwało to tak długo jak Gettysburskie Oświadczenie Lincolna, ale dostatecznie długo, by pani Winterfield zdążyła kilkakrotnie przełożyć słuchawkę z jednej ręki do drugiej.

— Doskonale rozumiem — powiedziała wreszcie, po czym przyciągnęła do siebie duży biurowy kalendarz. — Pani Arples o drugiej trzydzięci, pani Obenchain o czwartej, a panna Berenson o szóstej... Nie, do drugiej trzydzięci nie ma nikogo... Oczywiście, doktorze. Powiem mu... Za jakieś dziesięć minut, w altanie.

Pani Winterfield odłożyła słuchawkę, wzięła białą marmurową popielniczkę i wróciła tą samą drogą przez pokój. Popatrzyła z wyrzutem na szczątki papierosa, które tłamsiłem w kąciku ust, po czym wręczyła mi popielniczkę.

— To wprost nadzwyczajne — powiedziała, gdy mój papieros nie dawał już oznak życia — ale doktor Van Getz wspaniałomyślnie zgodził się pana przyjąć. Wątpię nawet, czy jest pan w stanie sobie wyobrazić, jak rzadko zdarza się, aby doktor przyjął kogoś bez umówionej wizyty.

— Wielka szkoda, że nigdy nie chciałem otruć starszej siostry. — Wyszczrzyłem zęby w uśmiechu. — Ale postaram się, by moja wizyta okazała się warta tak cennego czasu doktora.

Pani Winterfield zmrużyła oczy przymykając delikatnie cieniowane powieki.

— Proszę za mną, panie Dime — rzuciła ozięble. — A kapelusz i swój dowcip może pan zostawić tutaj.

Wstałem i ruszyłem w ślad za nią ku drzwiom z napisem „Wstęp wzbroniony”. Auriol Winterfield kotłowała biodrami w taki sposób, że poszedłbym za nią chyba wszędzie.

## 18.

Drzwi wychodziły na długi korytarz z dziwacznie ukształtowanymi oknami w suficie, przez które przesączały się pojedyncze smugi światła, co tworzyło wrażenie, jakby człowiek przechadzał się pod rozjaśnionym słońcem wodospadem. Dalej korytarz ostro zakręcał, a my przeszliśmy przez następne drzwi i wydostaliśmy się na przestronne ceglane patio, na którym tu i ówdzie rozstawione były ciężkie drewniane ławy. Następnie po kilku stopniach zeszliśmy nad okrągły basen znajdujący się na wprost klockowatego pawilonu, wzniesionego zapewne wedle takich samych założeń architektonicznych co klinika. Nad basenem górował tonący w bluszczu, pieczołowicie odrestaurowany, jednopiętrowy dom z czasów kolonialnych. Ten wysoki, smukły budynek z niewielką stajnią stał w znacznej odległości od szeregu ułożonych warstwami ogródków skalnych i grządek z kwiatami, z którym niemal wszystkie swą jasnoniebieską, lawendową barwą przypominały oczy pani Winterfield.

Przeszliśmy w milczeniu, w niewielkim odstępnie jedno od drugiego, przez jeden z pochłych trawników wokół kliniki Van Getza i zatrzymaliśmy się przy wyłożonej kamiennymi

płytami ścieżce, która prowadziła pod górę na szczyt sporego wzniesienia. Na jego wierzchołku znajdowała się otoczona ozdobną żelazną balustradą altana, a jej miedziany dach jasno lśnił w słońcu, ilekroć prześwitywało ono przez szparę w zachmurzonym niebie.

Uświadomiwszy mnie po raz wtóry, jakim to jestem szczęściarzem, że jej szef zechciał mnie przyjąć, pani Winterfield zostawiła mnie na pierwszej spośród czterdziestu dziewięciu kamiennych płyt, skąd rozpocząłem samotną wspinaczkę w kierunku altany pod baczynym okiem potężnie zbudowanego mężczyzny odzianego w śnieżnobiały strój. Mężczyzna ten porzynał guziki na lewym ramieniu bluzy, a głowę owinał ręcznikiem, pozostawiając odsłoniętą jedynie niewielką część twarzy. Mimo to udało mi się dostrzec ściekający z wierzchołków jego wystających kości policzkowych i urwistych załomów garbatego nosa pot, który płynął wartko niczym proza autora tekstów reklamowych. Mężczyzna siedział nieruchomo przy niedużym stoliku obok srebrnej tacy przykrytej kawałkiem pofałdowanego muszliny.

Kiedy przemierzałem posadzkę altany, doktor Van Getz podniósł się energicznie i wyciągnął ku mnie ogromną dłoń w rękawiczce, bynajmniej nie po to, żeby mi ją podać.

— Witam w moim małym sanktuarium — odezwał się niskim głosem i ponownie usiadł na krześle. — Zechce pan spocząć, panie Dime, proszę mi wybaczyć ten dość swobodny strój. Ponieważ jest pan detektywem, nie muszę chyba wyjaśniać, że właśnie zajmowałem się szermierką, a po tak wyczerpującym fizycznie i psychicznie ćwiczeniu wypoczynek w altanie jest najlepszym sposobem na odświeżenie zarówno umysłu, jak i ciała. — Zawiesił dramatycznie głos, a po chwili dodał z promiennym uśmiechem: — To magiczne miejsce. Naprawdę magiczne.

Usadawiłem się na trzciniowo-bambusowym krześle.

— Wygrał pan?

Doktor Van Getz wydawał się zaskoczony.

— Szermierka. — Wykonałem ruch imitujący paradę. — Wspomniał pan, że dopiero co wymachiwał pan białą bronią.

Doktor odrzucił głowę w tył i roześmiał się.

— Wygrałem? Ależ nie, skądże znowu! Brałem lekcję. Jestem zaledwie pokornym i wdzięcznym uczniem wytrawnego węgierskiego mistrza fechtunku, Zoltana Schenkera.

Przez chwilę próbowałem wyobrazić sobie doktora Van Getza wyglądającego pokornie, ale szybko zrezygnowałem.

— O tej porze piję mrożoną herbatę — powiedział i unosząc muszlin odsłonił dwie wysokie, matowe szklanki osadzone w delikatnie grawerowanych srebrnych uchwytach oraz oszroniony dzbanek z płynem o barwie starego koniaku.

— Może i pan miałby ochotę?

Skinąłem głową, a doktor napełnił obie szklanki. Następnie z prawej ręki zdjął szermierczą rękawicę, po czym wolno podniósł szklankę na wysokość ust.

— Jest to napój, który nie u wszystkich znajduje uznanie. — Obserwował z uśmiechem, jak wziąłem szklankę i upiłem łyk. — Jak brzmi pański werdykt?

Nie przypominało to smakiem niczego, co by zasługiwało na komentarz, więc milczałem.

Van Getz pociągnął spory haust, odstawił szklankę i osuszył usta ręcznikiem, który zaraz potem odwinął odsłaniając potężną głowę. Sam jej wygląd bardzo wiele już zdradzał. Czaszkę doktora powlekała cienka skóra, niemal przezroczysta w miejscach, gdzie kości były najbardziej wystające — na policzkach, czole oraz krótkiej brodzie w kształcie litery „W”. Ciemne włosy gwałtownie przerzedzały mu się na skroniach i tylko starannie przystrzyżona grzywka opadała w nieładzie na czoło. Była to głowa dojrzałego mężczyzny, którego nie zawahałbyś się poprosić o wsparcie, gdybyś nie dawał sobie rady, a sądząc po wyrazie absolutnej pewności siebie malującej się na jego twarzy, nie wyobrażałem sobie, żeby mógł odmówić. Dawałem mu ze czterdzieści sześć czy siedem lat.

— Wygląda na to, że jest pan nieco zawiedziony — powiedział Van Getz ukrywając głowę w ręczniku i energicznie wycierając resztki potu. — Rzeczywiście, nie bardzo chyba odpowiadam wyobrażeniu niektórych ludzi o psychoanalitykach.

— Nie spotkałem dostatecznie wielu gości z pańskiej branży, żeby sobie wyrobić takie czy inne zdanie.

— Cóż, pozwolę sobie jednak zauważyć, że większość ludzi spodziewałaby się raczej jakiegoś brodatego wiedeńczyka z łysiną, w okularach z grubymi soczewkami i z ograniczonym pojęciem o angielskiej wymowie.

Przerwał na chwilę, jakby spodziewał się, że coś powiem. Ja natomiast zapaliłem papierosa.

Mężczyzna w białych spodniach, białych bawełnianych skarpetach i białych płóciennych butach pociągnął następną łyk herbaty.

— A w pańskiej profesji nie jest tak samo? — zapytał. — Czy pańscy klienci nie kojarzą sobie zawodu prywatnego detektywa z popularnym wizerunkiem człowieka spędzającego czas na strzelaniu do gangsterów i całowaniu bogatych kobiet, którym właśnie dopomógł w odzyskaniu bezcennego jadeitowego naszyjnika?

Strzepnąłem nieco popiołu z papierosa.

— Możliwe — odparłem. — Ale zachowują to dla siebie. Mówią mi tylko o swoich kłopotach.

— Otóż to! — Doktor Van Getz uśmiechnął się. — To właśnie jeszcze jedna rzecz, która nas łączy. Czy kiedykolwiek zastanawiał się pan, panie Dime, jak wiele wspólnego mają nasze zawody?

— Niezbyt często.

Doktor opróżnił swoją szklankę i widząc, że moja nadal stoi nietknięta, nalał sobie ponownie.

— Ależ tak! — wykrzyknął z entuzjazmem. — Bo czyż obaj nie poświęciliśmy się tej szczególnej sferze ludzkiej aktywności związanej z odwieczną potrzebą rozwiązywania zagadek? — Jego osadzone głęboko w kościstych oczodołach ciemne oczy zrównały się z moimi. — Niech pan przez chwilę pomyśli, panie Dime. Czyż obaj nie poszukujemy tropów, często odnajdując je tam, gdzie przeoczyli je inni, mniej dociekliwi? A wszystkie te pozornie nieistotne szczegóły? Czyż obaj nie zauważamy ich, niezależnie od tego, jak błahe mogłyby się wydawać z początku, w nadziei, że doprowadzą nas do prawidłowego rozwiązania? Obaj, panie Dime, działamy w ten sam sposób, stąd też często trafiamy w ślepy zaułek, ciężko sfrustrowani, gdy to, co z pozoru wyglądało na obiecujący ślad, w rezultacie okazuje się niczym więcej jak tylko płonna nadzieją. Tak, mój przyjacielu, obaj jesteśmy detektywami. Pan tropi zagadki kryminalne, a ja zagadki ludzkiego umysłu.

Jak na faceta, którego czas był tak cenny, doktor tracił go chyba dla mnie aż nazbyt wiele. Oparł rękę na stoliku i pochylił się w przód.

— Chciałbym zwrócić pańską uwagę na to, co odkrywam, ilekroć próbuję zgłębić arcyzawile tajniki umysłu — ciągnął. — Niemal zawsze odnajduję tam wystraszone dziecko uciekające przed dorosłością pod metaforyczną poduszkę. Rozumie pan? — Doktor Van Getz obdarzył mnie uśmiechem w rodzaju „sam się o to prosiłeś, to teraz masz za swoje”. — Ale oczywiście, gdy mówię o dorosłości w tym kontekście, nie chodzi mi o mądrość czy dojrzałość, to znaczy o dorosłość w ścisłym sensie tego słowa, lecz o to monstrum, które sami zbudowaliśmy ze społecznych i religijnych uwarunkowań; o te wszystkie fałszywe, choć często także i wygodne cele, którymi odmierzamy nasze dni. Mówimy tu o doroszeniu w kategoriach zdobywania doświadczeń, tak jak człowiek uczy się prowadzić samochód, czy całować z dziewczyną na studenckiej zabawie. Jednakże ów rodzaj dorosłości, który jak nasienie drzemie w sercu każdego dziecka, musi najpierw dojrzeć wewnątrz, zanim w ogóle będzie mógł rozkwitnąć. Nasze umysły bowiem pozbawione troskliwej opieki stają się wkrótce podatne na

chorobę, a każdy następny kryzys, którego nie potrafimy przezwyciężyć, tworzy kolejne warstwy niepewności i zwątpienia zaszczepiane w naszej psychice — duszy — czyli tej części naszego człowieczeństwa, która tak silnie oddziałuje na nas w dzieciństwie, a która w późniejszym wieku nader często ginie.

Doktor przerwał na chwilę, żeby znowu łyknąć trochę mrożonej herbaty, a ja odpaliłem następnego papierosa od tego, którego już kończyłem. Pomyślałem, że nadszedł już moment, aby zapytać doktora o jego żonę. Ale był szybszy.

— Mógłbym zadać panu pytanie, panie Dime? Nie musi pan odpowiadać, jeśli uzna je pan za zbyt osobiste.

— Śmiało, doktorze.

Odchylił się do tyłu na swoim krześle i skrzyżował ręce na piersiach.

— Jakie korzyści ma ze swojej pracy prywatny detektyw?

— No cóż — odparłem zaciągając się papierosem. — Na pewno nie są to zielone.

— A więc jest pan filantropem? — zapytał Van Getz z odrobiną sarkazmu w głosie. — Pańskim zdaniem, pieniądze nie mają znaczenia?

— Mają znaczenie, ale niestety nie na moim koncie. Chyba że pieniędzmi nazwać trzydzieści dolców dziennie.

— W takim razie co? Co skłania człowieka do tego, że zostaje prywatnym detektywem?

— Może po prostu lubię całować bogate kobiety i strzelać do typków ze świata przestępczego?

— Aha, p a r a n o i d a l n y p a r t n e r — powiedział wolno, kładąc nacisk na powtarzające się sylaby. Po czym znowu odrzucił głowę do tyłu i roześmiał się. — Opiszę panu objawy tej choroby — podjął po chwili, gdy już się uspokoił. — Korzysta z każdej okazji, jaka się tylko nadarzy, kobieta czy mężczyzna, bez różnicy. Trafiłem?

— W dziesiątkę.

Doktor Van Getz potrząsnął ciężką czaszką.

— Cierpi pan na zaburzenia psychiczne, które nie należą do rzadkości — stwierdził z namysłem.

— I które pogłębiają się za każdym razem, kiedy dostaję w łeb.

Między dzbankiem z herbatą, szklankami a rozpuszczającym się lodem lawirował z furkotem ogromny żółto-czarno-biały motyl. Doktor uważnie śledził jego lot i dopiero gdy trzepocące skrzydełka zniknęły z pola widzenia, odezwał się ponownie.

— Pozwoli pan, panie Dime, że opowiem panu pewną historię — powiedział ze wzrokiem nadal wbitym w punkt, w którym stracił motyla z oczu. — Moim ojcem był Carl Van Getz, który pod koniec swego życia uważany był powszechnie na świecie za czołowego entomologa. To znaczy, badał owady.

— Nie musi pan wyjaśniać, czym zajmują się entomolodzy — wtrąciłem. — Szczególnie facetowi, który sypiał w hotelach, gdzie nocleg kosztuje mniej niż dolara.

Spomiędzy zwałów ciężkich deszczowych chmur, które rozlały się po niebie niczym zabłąkane słonie, zaczęło przeświecać teraz słońce ponad rzeźbionymi żelaznymi filarami altany. Od czasu do czasu jakaś chmura odrywała się od reszty, po czym zsyłała na dół gwałtowną rześistą ulewę, która rozświetlona słonecznym blaskiem przypominała jakby ścianę srebrzystych igieł. Ledwie pierwsze krople uderzyły w ziemię, mokra trawa pod wpływem intensywnego promieniowania zaczynała natychmiast wysychać, tworząc wokół nas cienką warstwę pary niczym wokół portek pod prasą w pralni.

Doktor dopił drugą szklankę herbaty, po czym złożył starannie ręcznik we czworo i położył na stole.

— Nie wiadomo dokładnie, ile jest wszystkich gatunków owadów — powiedział — ale samych mrówek istnieje na świecie aż trzydzieści pięć tysięcy gatunków.

— To rzeczywiście cała masa mrówek.

— Ogromna liczba, panie Dime, toteż mój ojciec słusznie postanowił skoncentrować uwagę jedynie na pięciu gatunkach. Trzymał je w szklanych pojemnikach, w olbrzymim zamienionym na cieplarnię pomieszczeniu, gdzie jako dziecko spędzałem każdą wolną chwilę, zafascynowany koloniami maleńkich stworzeń, które stanowiły treść życia mego ojca. — Doktor Van Getz pozwolił swoim myślom biec przez kilka sekund w ciszy, po czym mówił dalej. — Mrówki są prawdopodobnie najbardziej inteligentne wśród owadów, a można dowiedzieć, że jako społeczność posiadają również wyższość nad gatunkiem ludzkim. Do takiego właśnie przekonania doszedł mój ojciec, który przez pół wieku badał życie mrówek we wszystkich jego aspektach.

— A ja myślałem, że mrówki żyją pod ziemią — powiedziałem. — I co zrobił pański staruszek? Może wykopał dziurę i wynajął gniazdo?

— Inteligentna uwaga, panie Dime. — Doktor uniosł brwi jak człowiek mile zaskoczony. — Nie, mój ojciec wybudował ogromne szklane rusztowanie, które pomysłowo przedzielił przegrodami, tak że patrząc pod odpowiednim kątem, można było zajrzeć w samo serce mrowiska. To było naprawdę wspaniałe! Ponadto, by uniemożliwić mrówkom ucieczkę — a potrafią one uciec dosłownie zewsząd — mój ojciec umieścił ich gniazda pośrodku szerokiej fosy wypełnionej bieżącą wodą. Gdyby jakaś mrówka próbowała przepłynąć do zewnętrznych szklanych ścianek, zostałaby natychmiast porwana przez prąd w kierunku filtra. Urządzenie to miało za zadanie odstraszyć mrówki, które szybko wyczuwają niebezpieczeństwo i rzeczywiście: żadna z pięciu kolonii nigdy nie próbowała się stamtąd wydostać.

— Zupełnie jak w Alcatraz — powiedziałem. — Dwa ruchy czałem ku wolności, i idziesz na dno. — Uniosłem rękę, rozprostowałem dłonie i wykonałem ruch naśladujący nurkowanie.

Doktor skinął głową.

— W pewnym sensie. Lecz sądząc z tego, co mówił mi ojciec, a co potwierdzają jego zapiski, mrówki wcale nie uważały się za więźniów.

— I to wszystko ma mieć związek z tym, w jaki sposób pan i ja zarabiamy na chleb? — spytałem. Zaszło mi w ustach prawie na tyle, żeby znowu spróbować łyknąć herbaty. Ale mimo wszystko jeszcze nie do tego stopnia.

— I pan, i ja, i każdy, jak to zaraz wyjaśnię. — Doktor złożył swoje wielkie dłonie, tworząc z palców szpiczastą wieżę. — Pewnego dnia miałem okazję zaobserwować długi pochód mrówek dźwigających kokony przez wznoszący się wysoko ponad brzegiem fosy kopiec ziemi, gdy nagle spadający okruh sypkiego kopca porwał jedną z mrówek do wody. Wówczas mrówka będąca na czele pochodu natychmiast wspięła się na najwyższy punkt mrowiska i zaczęła dawać rozpaczliwe sygnały we wszystkich kierunkach. W jednej chwili w pobliżu filtra zebrał się niewielki oddział mrówek robotnic, które przystąpiły do budowania imponującego pomostu, używając do tego celu własnych ciał. Mrówki kładły się kolejno na powierzchni wody szczepiając się przednimi i tylnymi nogami, i w ten sposób błyskawicznie i tak fachowo, jak gdyby ich akcja była rezultatem prób całego życia, utworzyły cienki łańcuch, który osiągnął dokładnie ten punkt, gdzie, zgodnie z ich przewidywaniami, powinna była unosić się na wodzie ich towarzyszka. Następnie ostatnia pozostająca z ekipy ratowniczej mrówka przemknęła po plecach swoich koleżanek i bez większego trudu uratowała bezradną mrówkę od zagłady. Chwilę później łańcuch mrówek rozproszył się, a cała kolonia powróciła do swych normalnych zajęć. Warto może jeszcze dodać, choć jest to sprawa o mniejszym znaczeniu, że cała ta operacja jak obliczyłem, trwała krócej niż trzydzieści sekund. — Doktor Van Getz wstał. — I to jest właśnie to, co nazywam przetrwaniem — kontynuował z powagą. — Bezinteresowna pomoc niesiona innym. Nie możemy jednak osiągnąć bezinteresowności tylko poprzez ślepe dążenie do wiedzy, czy też doskonalenie racjonalnego myślenia. Nie odnajdziemy jej również schowanej w mrocznym zakamarku jakiegoś religijnego obrzędu lub wyczekującej gdzieś na nas w ukryciu między gwiazdami. Nie, drogi przyjacielu, wyniki



moich obserwacji są niepodważalne. Nasze martwo urodzone człowieczeństwo można odnaleźć jedynie w utraconej pamięci dzieciństwa.

Skoro doktor wstał, uczyniłem to samo. Wyglądało na to, że czas, który dla mnie przeznaczyl, dobiegał końca, a ja tymczasem nie zadałem mu nawet jednego pytania o żonę. Zastanawiałem się, czy przypadkiem nie o to mu chodziło? A może po prostu doktor lubił sobie pogawędzić o tym i owym przed pracowitym popołudniem?

— Dzięki za wiadomości o mrówkach — powiedziałem. — Wezmę je pod uwagę, jak następnym razem wybiorę się na piknik. — Pstryknąłem zgaszonego papierosa z altany na grządkę sumaka jadowitego. — Aha, byłbym zapomniiał. — Wyciągnąłem z kieszeni na piersi fotografię Belindy Van Getz i podałem ją doktorowi. — Chciałem porozmawiać z pańską żoną, żeby zapytać ją o to zdjęcie. Zostało zrobione w speluncie znanej jako klub „Dżungla”.

Mężczyzna w szermierczym stroju oddał mi zdjęcie ledwie na nie spoglądając.

— Nigdy nie słyszałem, by żona wspominała, że była w miejscu o tej nazwie, ale faktycznie, przyznaję, kobieta na zdjęciu ogromnie przypomina panią Van Getz. Obawiam się, że istotnie jest to sprawa, którą będzie pan musiał poruszyć z nią osobiście.

— A kiedy to by mogło nastąpić?

Doktor westchnął głęboko i potrząsnął głową.

— Tego nie potrafię panu powiedzieć. Moja żona jest w znacznej mierze panią swojego życia. Wyjeżdża i wraca, kiedy jej się podoba. Ostatnio właśnie wyjechała, ale na jak długo, jeden Bóg raczy wiedzieć. Niech pan spróbuje znowu wpaść za miesiąc lub dwa, panie Dime — przerwał i wzruszył szerokimi ramionami. — Choć z drugiej strony, żona może pojawić się nawet jutro.

Doktor chyba trochę się zagalopował w odgrywaniu roli nieświadomego małżonka. W każdym razie nadeszła pora, żeby go nieco przycisnąć.

— Chce mi pan wmówić, że gdyby pańska żona spędziła wieczór w podłej spelunie prowadzonej przez jakieś męty, gdyby złopała paskudztwo, którego nie wlewają nawet do samochodów, w jakiejś zakazanej melinie wypełnionej ćpunami i bezmelodyjnym jazzem, że nie wspomnę już o podejrzanym zabójstwie, to wówczas pan nic by o tym nie wiedział?

Twarz doktora straciła nagle wszelki wyraz, a jego rysy stały się martwe jak żelazna maska.

— Oświadczam panu, że to by mnie w ogóle nie obchodziło, panie Dime. I gdyby chciał pan uzyskać drobną bezpłatną poradę, byłoby lepiej, gdyby nie obchodziło to również pana. — Oczekał, aż przyswoję sobie to, co zakomunikował mi podczas chwilowej zmiany nastroju, a zaraz potem, wracając do postaci Sympatycznego Faceta, wyciągnął do mnie prawą rękę. — Przykro mi, że nie okazałem się pomocny — rzekł z uprzejmym uśmiechem. — Teraz jednak musi mi pan wybaczyć: niestety, wkrótce mam pacjenta i muszę się przygotować.

Uścisnąłem mu dłoń, i wówczas po raz pierwszy spostrzegłem emblemat naszyty na zewnętrznej stronie jego lewego rękawa na wysokości bicepsu. Był to taki sam czarnopomarańczowy emblemat, jaki zauważyłem u góry fotografii przedstawiającej klasę Louisa Botubota, rocznik 1926, która wisiała na ścianie w jego biurze.

— Natknął się pan może kiedyś w Princeton na faceta, który nazywa się Louis Botubot? — spytałem. — Jest mniej więcej w pańskim wieku. Meloman, studiował prawo.

Doktor Van Getz zszedł po trzech kamiennych płytach, po czym odwrócił się.

— Powiedzenie mówi — odparł — że w miejscu takim, jak Princeton jest więcej studentów niż szybów wiertniczych w Teksasie.

Oczekał chwilę, jak gdyby spodziewał się, że mu powiem, dlaczego mnie interesuje, czy on zna Louisa Botubota. Ale ja milczałem. Poszedłem za nim z powrotem do pawilonu, gdzie doktor pchnął oszklone drzwi i zniknął w pomieszczeniu, które przypominało pojedynczą sypialnię. Wróciłem następnie do recepcji, wziąłem kapelusz i przeszkodziłem wyją-

tkowo zapracowanej pani Winterfield.

— Do rychłego, być może, zobaczenia — powiedziałem i posłałem jej jeden z owych uśmiezków, które mówią „fajnie mi było się na ciebie pogapić”.

— Nigdy nie wiadomo — odpowiedziała nie odrywając wzroku od biurka. — Bezpiecznej jazdy do domu.

Ale kiedy wsiadłem do samochodu i ruszyłem, wcale nie miałem zamiaru jechać do domu. Dotarłem do oddalonego o milę potrójnego rozwidlenia i na ustronnej polnej drodze, która wiodła do rzeki Brandywine, nawróciłem by poczekać na kolejne posunięcie doktora Van Getza.

## 19.

W tym człowieku było coś takiego, co sprawiało, że czułem się nieswojo. Może chodziło o to, że z taką zręcznością potrafił wykręcić się od odpowiedzi na moje pytanie o Botubota, a może o tę niewielką bliznę, którą wcześniej spostrzegłem pod lewym okiem Louisa Botubota, bliznę, która z łatwością mogła powstać na skutek nieuwagi podczas szermierczej potyczki. A może po prostu chodziło o to, że to ja byłem taki, jaki byłem?

Siedziałem spokojnie, obserwowałem przyrodę, wypalając przy tym ponad paczkę papierosów i zastanawiałem się, jak długo jeszcze będę musiał czekać na to, żeby doktor Van Getz opuścił swoją siedzibę, tak bym mógł wrócić i trochę się tam rozejrzeć.

Rozparty leniwie w zniszczonym samochodowym fotelu, odnotowywałem w pamięci kolejne przyjazdy i odjazdy. W mniej więcej dwugodzinnych odstępach przyjechały trzy prowadzone przez szoferów limuzyny, które przywiozły umówione na popołudniowe wizyty pacjentki doktora Van Getza: panią Arples, panią Obenchain i pannę Berenson — po to, by mogły wysłuchać opowieści o swoim dzieciństwie lub dowiedzieć się, co porabiają mrówki — po czym zabrały je z powrotem. Dwa spośród tych samochodów były to tegoroczne modele, i to na tyle nowe, że niemal miały jeszcze na zderzakach resztki papieru do pakowania. Natomiast pojazd panny Berenson miał już prawdziwą klasę. Był to klimatyzowany powietrzem o miętowym zapachu Dusenberga z 1929 roku, ze składanym dachem i nadwoziem Le Barona. Choć sam jego silnik ważył ze 6000 funtów, potwór ten wyciągał 104 mile, i to już na drugim biegu. A jeśli szczególnie ci zależało, żeby się gdzieś szybko dostać, zawsze mogłeś wrzucić dodatkowy bieg. Jazda na trójce zapewniała ci prędkość równą 130 milom na godzinę, i to jeszcze ze sporym zapasem. Chociaż na tyle, na ile udało mi się ocenić pannę Berenson, kiedy mignęła mi w przelocie — jedną z owych wiecznie młodych, starych panien z wymizerowaną, spiczastą twarzą i szyją, która bezpośrednio łączyła się z nosem nie napotykając po drodze brody — te dodatkowe konie mechaniczne mogłyby być jej potrzebne jedynie wtedy, gdyby należało roznieść po całej okolicy plotki zebrane uprzednio w klubie brydżowym.

Jakiś kwadrans po tym, jak gondola na kółkach z panną Berenson w środku wytoczyła się z zaułka i skręciła w kierunku West Chester, przed rozwidleniem dróg wyhamował z piskiem samochód i, z pracującym na wysokich obrotach silnikiem, czekał niecierpliwie, aż przetoczy się drogą bardzo stara, otwarta ciężarówka załadowana skrzyniami arbuźów. Stojący przed skrzyżowaniem samochód nie był prowadzony przez prywatnego szofera, lecz podobnie jak własność ostatniej pacjentki doktora Van Getza, także i on stanowił rzadki okaz. W końcu samochód ostro wystartował w kierunku Filadelfii, a kierowca ciężarówki wychylił się z szoferki i z rozdziawioną gębą gapił się na doktora Van Getza znikającego za gęstym

obłokiem spalin. Bo choć spotykał fordę przez całe swoje życie, to jednak niezbyt często zdarzało mu się zobaczyć tuckera z krótkiej serii pięćdziesięciu jeden egzemplarzy, niezwykle opływowe auto, które ja widziałem już wcześniej w podziemiach gmachu Fiska owej nocy, kiedy próbowałem dobrać się do akt Westerna.

Dwie godziny później zrobiło się już na tyle ciemno, że mogłem opuścić polną drogę — która z powodu mżawki zamieniła się tymczasem w błotnistą ścieżkę — i udać się z powrotem do kliniki. Wsiadłem z samochodu, włożyłem płaszcz przeciwdeszczowy i pod osłoną drzew zacząłem wspinać się stromą, krętą szosą. Kiedy wyruszałem, zapadał zmierzch, zanim jednak po przebyciu jednej mili dotarłem do kliniki, nie świecił już ani księżyc, ani gwiazdy, ani w ogóle nic. Drzwi garażu były otwarte na oścież, a w zabudowaniach nie paliły się od frontu żadne światła. Przemknąłem przez stromo wznoszący się trawnik i dotarłem na zaplecze głównego budynku kliniki, i stamtąd spojrzałem w dół w kierunku pawilonu. Tam także było ciemno. Jedynie z pokoju usytuowanego na tyłach kliniki, pokoju z małymi okratowanymi oknami, dochodził słaby blask. Natomiast w pełni oświetlony był stary kolonialny dom. Przez otwarte okno widać było czytającą przy stole kobietę, która mimo chłodu siedziała w jasnym domowym luźnym wdzianku bez rękawów. Obok jej łokcia stał kieliszek z winem tej samej barwy co wdzianko, a z papierosa tłącego się spokojnie w bursztynowej cygarniczce, którą kobieta trzymała w wyprostowanej ręce między dwoma palcami, unosił się niebieski dymek, tworzący wydłużony znak zapytania. Z mojego punktu obserwacyjnego nie sposób było stwierdzić, jaką lekturą zaczytywała się Auriol Winterfield, ani, co ważniejsze, kiedy może skończyć. Jednak wszystko wskazywało na to, że powinno mi wystarczyć czasu, by przynajmniej rozejrzeć się po klinice, zanim ona zabierze się do czegoś innego.

Z dostaniem się do środka nie było większego kłopotu. Drzwi na patio były otwarte i po prostu wszedłem. W długim korytarzu, który zaczynał się przy recepcji, zapaliłem swoją kieszonkową latarkę.

Pierwsze z dwojga drzwi na końcu korytarza prowadziły do dużego pokoju, który w nikłym świetle latarki wyglądał na miejsce, gdzie doktor Van Getz wysłuchiwał ludzi zwierających mu się ze swoich problemów. Znajdowała się tu obita ciemnozieloną skórą leżanka i takie samo skórzane krzesło, natomiast zajmujące całą ścianę okno miało zaciągnięte żaluzje. Pośrodku pokoju ustawione było fornirowane biurko przypominające stół, na którym przygotowuje się nieboszczyka do ostatniej drogi, do okna zaś przysunięty był drugi stół o ozdobnych krawędziach z takiego samego drewna, ale niższy i dłuższy. Dostrzegłem na nim zestaw starannie ułożonych dziecięcych zabawek, obejmujący komplet klocków z literami alfabetu, model żaglówki, dwie szmaciane lalki o różowych twarzach i blaszany wóz strażacki. Ścianę naprzeciw tej kolekcji pamiątek z dzieciństwa zajmował regał zastawiony takimi rodzajami książek, które wywołują u sprzedawcy uśmiech zadowolenia, jeśli tylko uda mu się opchnąć ze trzy egzemplarze. Część z nich miała niemieckie tytuły i wydana była w wielotomowych edycjach. W pokoju tym nie było ani kawałka dywanu na gołym wypastowanym parkiecie ani jednej rośliny, która zdobiłaby pusty okienny parapet, ani obrazka na białych ponurych ścianach. Ale w końcu nie przychodziło się do kliniki Van Getza, by oglądać wystrój wnętrza, zwłaszcza jeśli było się panią Arples, panią Obenchain lub panną Berenson. Przychodziło się tu dla męskości właściciela, jego uroku, osobowości, i dla długich nóg tego szermierza z masywnymi udami. I prawdopodobnie warto było wmawiać sobie, że się ma lekkiego bzika, po to tylko, żeby kupić dla siebie godzinę jego niezwykle cennego czasu.

Zamknąłem drzwi do laboratorium snów doktora Van Getza i ruszyłem korytarzem w kierunku pokoju, z którego, jak widziałem z zewnątrz, słabe światło padało przez okratowane okno. Poświeciłem latarką na gałkę i zauważyłem, że klucz tkwi w zamku. Przyłożyłem ucho do drzwi, ale nie dobiegł mnie żaden dźwięk. Po upływie pełnej minuty wyjąłem klucz, schyliłem się i zajrzałem przez dziurkę. Nadal nic. Pokój wydawał się równie pusty, jak puste

bywają obietnice powrotu na ring byłego mistrza. Włożyłem klucz na miejsce i przekręciłem go z taką samą precyzją i ostrożnością, z jaką szlifierz diamentów mógłby odcinać kawałek Koh-i-noora. Poczulem, że sprężyna puszcza, a po chwili, gdy zapadka gładko wskoczyła z powrotem na swoje miejsce, usłyszałem wyraźne szczęknięcie. Ale to było wszystko, co udało mi się usłyszeć. Nikt nie zawołał „kto tam?” Nikt też nie podszedł do drzwi, żeby sprawdzić, co się dzieje. Zanim jednak przekręciłem gałkę i wszedłem do środka, wiedziałem już, że pomimo ciszy ktoś jest w pokoju. Wiedziałem to na pewno, ponieważ miałem za sobą tyle lat wyczekiwania pod nieskończoną ilością drzwi, tyle lat wsłuchiwania się w nieskończoną ilość ciszy, jakie tworzą ludzie. Teraz panowała taka cisza, jaka otacza faceta z automatycznym pistoletem, schowanego za długą zasłoną, spod której wystają mu zaledwie noski butów; cisza, jaka otacza ukrytego w szafie kochanka, wciskającego na siebie z trudem spodnie i buty, podczas gdy czyjaś żona odgrywa przed swoim mężulkiem komedię, która mogłaby iść z powodzeniem na Broadwayu i przez tysiąc lat. Kiedy schowałem latarkę i otwierałem drzwi, zastanawiałem się, w jaki rodzaj ciszy zaraz wejść.

## 20.

Nikły blask, który dostrzegłem z zewnątrz, pochodził od nocnej lampki, palącej się nad wyposażonym w boczne ścianki szpitalnym łóżkiem, było jednak na tyle jasno, że co nieco widziałem.

Przy łóżku znajdował się nocny stolik, na którym stało białe emaliowane naczynie w kształcie nerki, przykryte złożonym płóciennym ręcznikiem. Podniosłem ręcznik i ujrzałem dwie strzykawki leżące po bokach wygiętego naczynia. Obie były czymś napełnione, ale nie miałem pojęcia czym. Odłożyłem ręcznik na miejsce i podszedłem do łóżka, w nogach którego zobaczyłem kartę z wykresem temperatury. Przez jasnoniebieskie kwadraciki przebiegały trzy połączone ze sobą niewielkie pagórki, nakreślone czerwonym atramentem. W żadnym punkcie szczyty wzniesień nie przekraczały 37°, co wskazywało, że leżąca kobieta nie ma gorączki. Na karcie zauważyłem także wiele innych bazgrołów, ale wydały mi się bezsensowne, częściowo dlatego, że moja znajomość łaciny i greki pozostawiała wiele do życzenia, a głównie dlatego, że były tak mikroskopijne, iż można by nimi napisać „Pieśń o Hajawacie” Longfellowa na ziarnku fasoli i jeszcze pozostałoby trochę wolnego miejsca.

Nagle leżąca na łóżku kobieta wydała dźwięk, zaledwie słabe prychnięcie, nic więcej, ale na sekundę zamarłem. Obszedłem ponownie drewniane, jakby dziecinne łóżko i popatrzyłem ponad jego ściankami.

Belinda Van Getz spała, a jej popielatoblond włosy zaplecione były ciasno w warkoczki i ozdobione jaskrawoczerwonymi wstążkami. Prześcieradło miała naciągnięte prawie na brodę, a jej ręce wyciągnięte wzdłuż ciała leżały nieruchomo na pościeli. Sądząc po widocznych fragmentach materiału okrywającego jej ręce, domyśliłem się, że ubrana była w błękitną nocną koszulę drukowaną w różowe króliczki, wykończoną przy szyi i na mankietach marszczoną koronką. Pochyliłem się i dotknąłem jej skroni. Chociaż temperatura ciała wydawała się normalna, tętno było powolne, a oddech krótki i odrobinę nieregularny. Natomiast jej duża okrągła twarz, spokojna niczym księżyc w pełni widziany z okna dziecinnego pokoju, wyglądała całkiem zdrowo, nawet jeśli wrażenie to wywoływały głównie rumieńce na policzkach. I gdyby w środku nocy przebudziła się nagle z koszmarnego snu, miałyby się zapewne jak najlepiej. Lecz i tak całe to jej włóczenie się po knajpach, zalewanie się szampanem i jazzem, wydawało się teraz czymś bardzo odległym. Obok jej głowy na poduszce ktoś

troskliwie położył starego obszarpanego misia. Brakowało mu ręki, nogi i oka, nadal jednak wyglądał na takiego, który może przynieść pewną pociechę.

Podobnie jak w gabinecie doktora Van Getza, także i tu, w tej sali z jednym łóżkiem nie zauważyłem żadnych ozdób, a pod względem wygod stała ona tylko o krok wyżej od celi szpitalnej dla wariatów. Ale chociaż nie było tu ilustracji z dziecinnych książeczek czy obrazków przedstawiających obrośnięte różami chatki, było coś do poczytania. Na krześle przy łóżku leżała gazeta i książka. Gazeta, jeden z numerów filadelfijskiego „Bulletinu”, w artykule na pierwszej stronie podawała wiadomość o zabójstwie Ike'a Vreema. Połowę kolumny zajmował nagłówek — „Perkusista zatrzymany za zabójstwo właściciela klubu” — a towarzyszyło mu obowiązkowe, wypełniające pięć szpalt zdjęcie Vreema leżącego twarzą we krwi oraz niewyraźna podobizna Westerna, która wyglądała tak, jak gdyby wycięto ją z reklamowego fotosu zespołu i powiększono. O samym wydarzeniu nie napisano tam wiele, ograniczając się jedynie do przedstawienia przebiegu aresztowania oraz nazwisk, wszystkich bez wyjątku: Clooneya, Stipella, Westerna i Moonsa.

Książka natomiast, było to grube tomisko opisujące dzieje kary śmierci w Ameryce, spłodzone przez dwójkę wychowanków Harvardu, którym najwyraźniej nie przyszedł do głowy lepszy pomysł na wykorzystanie własnych dyplomów. Gdzieś w połowie tego dzieła zauważyłem wystający koniec zakładki, ale kiedy wziąłem książkę do ręki, natychmiast otworzyła się na rozdziale poświęconym egzekucjom przeprowadzanym na krześle elektrycznym, co mogło wskazywać, że systematycznie czytano ją w tym właśnie miejscu. Tytuł rozdziału podkreślony był tym samym czerwonym atramentem, jakim zapisana była karta z wykresem temperatury, zaznaczono też równymi liniami niektóre akapity. Zamknąłem książkę, po czym razem z gazetą ułożyłem je z powrotem na krześle i już miałem zabrać się do przetrząsania innych rzeczy, gdy z korytarza dobiegł mnie dźwięczny stukot czyichś kroków. Posuwały się w szybkim tempie i zmierzały wyraźnie w moją stronę.

Pospieszyłem przez pokój w kierunku okna, ale kraty udaremniały ucieczkę. Rozejrzałem się z niepokojem za jakąś kryjówką. Miejsce pod łóżkiem, zazwyczaj bardzo dogodne, tarasowały boczne ścianki, których dolne krawędzie pozostawiały jedynie trzycalową szparę nad podłogą. Nagle po prawej stronie w rogu pokoju dostrzegłem drzwi wpuszczone w ścianę. Nie miały one zamka, gałki ani zasuw, a jedynie aluminiową płytkę ochronną. Stukot kroków nagle umilkł przed drzwiami pokoju. Pchnąłem mocno płytkę i wszedłem do obficie wyłożonej kafelkami, ciasnej łazienki. Nie było stąd żadnego innego wyjścia poza rurami kanalizacyjnymi i kratką wentylacyjną, która znajdowała się zbyt wysoko, żeby się do niej dostać, i była zbyt mała, żeby się przez nią precyzyjnie. Oczekałem, aż drzwi same się domkną i zacząłem nasłuchiwać. Zapadła krótka cisza, podczas której wyobrażałem sobie, że ten, kto za chwilę wejdzie do pokoju chorej, zastanawia się właśnie, dlaczego nie jest on zamknięty. W końcu usłyszałem jak drzwi otworzyły się i odezwał się głos Auriol Winterfield:

— Belindo, nie śpisz?

Nie uzyskawszy odpowiedzi, pani Winterfield spędziła kilka następnych minut na hałaśliwym przestawianiu różnych rzeczy, po czym ponownie zapytała panią Van Getz, czy nie śpi. Tym razem Belinda zareagowała. To, co powiedziała, było prawie nieuchwytnie dla ucha, choć brzmiało mi znajomo. Brzmiało to jak „Chuck”.

Potwierdziła to Auriol Winterfield.

— Usiądź, Belindo — rzekła stanowczo. — Muszę poprawić ci poduszkę. O tak, świetnie. Grzeczna dziewczynka. No dobrze, o co znów chodzi z tym Chuckiem?

Pani Van Getz wydała z głębi gardła chrapliwy dźwięk, jak gdyby próbowała wykrztusić z siebie oś.

— Chuck — wymamrotała znowu. — Gdzie jest mój mały Chuck?

Przyłożyłem ucho do drzwi łazienki i natężyłem słuch, starając się przy tym nie sapać jak dziurawy miech kowalski.

— Chuck był niegrzecznym chłopcem — powiedziała Auriol Winterfield głosem tak zimnym i szorstkim, jakiego jeszcze dotąd nie słyszałam. — Chuck był bardzo, ale to bardzo niegrzecznym chłopcem, Belindo, i pewnego dnia pošłą go za karę na krzesło elektryczne. Pamiętajsz, co ci mówiłam o krzesle elektrycznym?

Pani Van Getz nie wydała żadnego odgłosu, który dałoby się usłyszeć.

— Mam ci to powiedzieć jeszcze raz, Belindo? Chcesz, żebym ci znowu wytłumaczyła, jak zabija się prądem złych ludzi, ludzi takich jak Chuck?

Wyraźnie usłyszałam jęk. Belinda odpowiedziała „nie”, lecz jej odmowa nie przyniosła żadnego skutku.

— „Egzekucja odbywa się o dziesiątej rano — kontynuowała płynnie srebrzystym głosem Auriol Winterfield, najprawdopodobniej czytając z książki. — W przeddzień, o północy, skazańca przenosi się z bloku do celi sąsiadującej z komorą straceń. Rano, o godzinie piątej trzydzieści sadza się go na krzesło, a następnie goli mu się czubek głowy i łydkę, aby zapewnić bezpośredni kontakt z elektrodami. W celu uniemożliwienia skazańcowi schwycenia za brzytwę podczas golenia, zazwyczaj bywa on skuty kajdankami. O siódmej piętnaście odczytuje mu się wyrok śmierci, a o dziesiątej skazaniec zostaje odprowadzony do komory straceń. Na miejscu obecnych jest pięciu świadków, w tym przedstawiciele prasy, lekarz więzienny oraz miejski coroner. Świadkowie przyglądają się egzekucji przez okratowane okno bądź zaciemnioną szybę, na ogół więc nie są przez więźnia widziani. Jednakże stosowanie zasłony nie jest obowiązujące i w niektórych więzieniach świadków nie oddziela się od skazańca.

Trzech strażników przywiązuje następnie skazańca do krzesła grubymi rzemieniami za głowę, ręce, klatkę piersiową i nogi, przy czym głowę i łydkę zwilża się roztworem soli, aby kontakt ciała z elektrodami był możliwie jak najlepszy. Potem skazańcowi zakłada się na głowę specjalną maskę i umocowuje elektrody. Po zakończeniu przygotowań, na dany sygnał, elektryk pociąga za dźwignię urządzenia regulującego napięcie prądu. Napięcie prądu zmienia się w następującej kolejności: 2000 wolt przez trzy do czterech sekund, po czym prąd redukuje się do 500 wolt, i po upływie minuty ponownie na krótką chwilę podwyższa się napięcie. W chwili przesunięcia dźwigni skazaniec nie wydaje żadnego głosu, ponieważ śmierć następuje natychmiast. Po przerwaniu dopływu prądu osuwa się on na krzesło. Noga skazańca bywa niekiedy lekko przypalona, nie następuje jednak uszkodzenie pozostałych części ciała. Skazaniec może zostać uznany za zmarłego dopiero po upływie kilku minut od chwili odłączenia prądu, a ponadto prawo nakazuje, jako swoistą formę zabezpieczenia, przeprowadzenie po egzekucji natychmiastowej autopsji. Od chwili doprowadzenia więźnia do komory straceń do momentu jego egzekucji upływa około czterech, pięciu minut.”

Była to cholernie przyjemna bajeczka na dobranoc. Przeciagnałem koniuszkiem języka po dolnej wardze, która okazała się sucha niczym stary papirus z resztkami soli. Mimo panującego chłodu spościłem się obficie, ponieważ opis z książki wypełnił ciemne kąty pomieszczenia, w którym się znajdowałem, groteskowymi zjawami przysmażanych delikwentów. Tymczasem po drugiej stronie drzwi nadal wiele się działo. Być może Belinda Van Getz niezbyt dokładnie potrafiła wyobrazić sobie warstwy przypiekanego ciała odrywającego się od czerniejących kości, lecz i tak wizja, która ją nawiedziła, spowodowała wybuch histerycznego szlochu.

Auriol Winterfield najwyraźniej przewidywała ten potok łez i była już zawczasu przygotowana.

— Uspokój się, Belindo — szczebiotała uspokajająco. — Masz tu swojego misia. Ulubionego misia, twojego pieszczoska. No, weź misia.

Po chwili pani Van Getz wróciła do równowagi, a mnie dobiegły słowa pani Winterfield:

— Daj rękę, Belindo, i przestań się wiercić. Wiesz doskonale, że jakieś małeńkie ukłucia to głupstwo dla takiej dużej dziewczynki.

Potem nastąpiła długa cisza, którą przerwał dźwięk zatrzaskiwanych drzwi i odgłos zapadki wsuwającej się w obudowę zamka, a później rozległ się szybko milknący w oddali stukot kroków. Musiałem odczekać kilka minut, aż Auriol Winterfield opuści klinikę, wobec czego przed powrotem do pokoju zapaliłem jeszcze małą lampkę rzucającą wąski strumień światła na przyczepioną do ściany apteczkę i zająłem się przetrząsaniem jej zawartości.

Wypełniały ją zwykle rupiecie, jakie możesz napotkać w każdej apteczce, tylko że tu, w klinice, było ich znacznie więcej. Znajdowała się tu ogromna ilość fiolek z pigułkami wyprodukowanymi na bazie kwasu barbiturowego, głównie Equanilu i Menzadilu. Była tu także półka z morfiną oraz pudełko ampułek z etykietkami zapisanymi tym samym czerwonym atramentem i drobnymi literkami, które zacząłem już dobrze rozpoznawać. Zamknąłem apteczkę, zgasilem światło i wróciłem do pokoju chorej.

Zanosilo się na to, że wydostanie się stąd sprawi mi znacznie większy kłopot niż dostanie się do środka.

Drzwi na korytarz były zamknięte, a kiedy wsadziłem ostrze scyzoryka do dziurki od klucza, stwierdziłem, że klucz zniknął. Tak więc odpadał stary numer polegający na tym, że wsuwało się pod drzwi kawałek papieru, wypychało się klucz od wewnątrz, po czym wciągało się go do środka na papierze. Jedynym wyjściem pozostawało zatem okno. Idąc w kierunku okna, aby sprawdzić na ile skutecznie jest ono zabezpieczone kratami, zatrzymałem się jeszcze przy Belindzie Van Getz i dokonałem krótkich oględzin. Wyglądała mniej więcej tak samo jak przedtem, znowu spała, ale oddychała jakby z mniejszym wysiłkiem, a jej puls stał się rytmiczny. Zauważyłem również, że z nerki na nocnym stoliku zdjęto ręcznik, zaś obie strzykawki były puste. Podniosłem jedną z nich i powąchałem, ale nic mi to nie wyjaśniło.

Kraty w oknach najwyraźniej nie były uwzględnione w planach architektonicznych, gdyż zostały niechlujnie przykręcone do skleconej byle jak drewnianej ramy, wprawionej w metalową futrynę. I choć zrobione były z żelaza, umocowano je raptem za pomocą dwóch dużych śrub u góry i u dołu, co świadczyło o tym, że są tylko na pokaz. Każdy bowiem zdrowy człowiek mógł je wyszarpnąć, używając do tego znacznie mniejszej siły niż potrzeba do zdjęcia kapsla ze świeżo kupionej butelki z przyprawą do sałatki.

Ponieważ nie chciałem, żeby mieszkańcy kliniki Van Getza dowiedzieli się, że ktoś tu weszyl, ostrzem scyzoryka odkręciłem kratę, a potem, kiedy już wydostałem się przez okno, przykręciłem ją ponownie. Wtarłem nawet w śruby odrobinę brudu w te miejsca, gdzie farba złuszczyła się podczas odkręcania.

Cała ta operacja zajęła mi około godziny, dojszcie do samochodu pół godziny, a jazda powrotna do Filadelfii jakieś niecałe dziewięćdziesiąt minut. Zjadłem jeszcze lekką przekąskę w barze Charliego, wziąłem prysznic i zanim nastała północ, leżałem już otulony w łóżku, z dużą szkocką i „Słownikiem Leków Morrisona”.

## 21.

Spałem właśnie głębokim, pozbawionym marzeń snem, kiedy obudził mnie telefon. Zacząłem macać ręką w ciemności, natrafiłem na sznur i w końcu udało mi się przyłożyć słuchawkę gdzieś w okolicie ucha.

— Dime, czy to pan? Jest pan sam? — Choć mój rozmówca ściszył głos do *sotto voce*, jakim aktorzy posługują się wygłaszając kwestie na stronie w dramatach Szekspira, rozpoznałem, iż głos ten należy do Louisa Botubota.

— Jeśli chodzi o pierwsze pytanie, to tak — odparłem. — Ale będzie pan musiał chwilę

zaczekać, zanim sprawdzę co odpowiedzieć na drugie.

Włączyłem lampę na nocnym stoliku, zmrużyłem oczy pod wpływem światła, które nagle mnie oślepiło, po czym zapaliłem papierosa i dwukrotnie odkaslnąłem.

— Sam jak palec — potwierdziłem, dźwigając się do pozycji siedzącej. — Ale w dzisiejszych czasach człowiek nigdy nie może mieć pewności. Czym mogę panu służyć?

Mój zegarek wskazywał trzecią pięćdziesiąt sześć i dwie sekundy nad ranem.

— Dime — odezwał się Botubot gorączkowym szeptem. — Potrzebuję pańskiej pomocy... nazwijmy to, zawodowej. — Czekał, żebym coś mu odpowiedział. Czekał około minuty, po czym podjął zniecierpliwionym głosem. — Jest pan tam jeszcze, Dime? Dime, słyszy mnie pan?

— Doskonale — odrzekłem, sadowiąc się wygodnie. — Moje biuro jest czynne między dziewiątą a trzecią, od poniedziałku do piątku. W pierwszą sobotę każdego kwartału urzęduję od dziewiątej do pierwszej, a w okresie ramadanu zamykam godzinę wcześniej. Ale jak przypuszczam, prośba o pomoc, z jaką człowiek zwraca się o czwartej nad ranem, musi być wyjątkowo pilna.

— Właśnie — odparł zwięźle Botubot. — Proszę zapisać sobie adres i przyjechać jak pan tylko może najszybciej.

— Niech pan chwilę zaczeka — powiedziałem. — Nie mam pod ręką nic do pisania.

Zwiesiłem nogi z łóżka, poczłapałem do saloniku, po czym wróciłem z notesem i ołówkiem. Usiadłem na brzegu posłania i poprosiłem Botubota, żeby podał mi namiary.

— Wynajmuję domek w Atlantic City. Spinoza Street 345. To pierwsza przecznica od plaży. Zapisał pan?

— Oczywiście — odpowiedziałem. — Wpadnę przy jakiejś okazji.

— Niechże mnie pan posłucha, Dime! — szept Botubota przeszedł niemal w krzyk. — Proszę wyruszyć natychmiast. Do Atlantic City są dwie godziny jazdy. Nawet gdyby pan zaraz wyjechał...

— A teraz niech pan posłucha — przerwałem mu gwałtownie. — Nie wiem, co zdołał pan zapamiętać z naszego pierwszego spotkania, ale wtedy powiedziałem panu wyraźnie, że reprezentuję klientkę. Otóż, od poniedziałku nic się nie zmieniło. Nadal działam w jej imieniu. A powodem, dla którego to robię, jak pan zapewne sobie przypomina, jest fakt, że moja klientka odnosi wrażenie, iż trwoni pan czas jej chłopaka. I żeby jeszcze bardziej odświeżyć panu pamięć dodam, że ten jej chłopak nazywa się Chuck Western i gnije teraz w więzieniu Holmesburg, oskarżony o morderstwo z premedytacją. Niech go pan łaskawie odszuka w swoich aktach, jak pan już wróci z urlopu, oczywiście o ile chłopaka nie załatwią do tej pory na krześle elektrycznym, podczas gdy pan zajęty będzie utrwalaniem swojej opalenizny. — Zgasiłem papierosa. — A poza tym, pracuję dla kogo mi się podoba i kiedy mi się podoba. I tak się akurat składa, że właśnie mam komplet.

Podkręciłem porządnie Botubota, choć wszystko, co mu powiedziałem było, szczerze mówiąc, nieprawdą. Nancy Canady odprawiła mnie, lub raczej tak jej się wydawało. Ale przecież zmusił ją do tego Clooney, no a poza tym odesłałem jej całą należność. Według mnie oznaczało to, że nadal mogłem się uważać za jej tajniaka.

— Na litość boską, Dime — skamlał adwokat. — Grozi mi śmiertelne niebezpieczeństwo.

— To niech pan zadzwoni z tym do gliniarzy — powiedziałem mocno poruszony tą wiadomością.

— Pan nic nie rozumie.

— A więc słucham.

— Nie ma teraz czasu na wyjaśnienia.

— W takim razie jest coś, o czym muszę panu powiedzieć. — Zaciągnąłem się mocno papierosem. — Górna granica moich honorariów wynosi stówę dziennie, plus wszystko to, co



idzie na wydatki. Wyciągnięcie mnie z łóżka będzie pana dodatkowo kosztować pięćdziesiąt dolarów, a jeśli moje usługi okażą się dla pana zadowalające, zechcę także poznać powody, dla których poświęca pan Westernowi mniej uwagi niż czasopismo „Harper's” hodowli świń.

Botubot tak ciężko przełknął ślinę, że aż towarzyszący temu głuchy odgłos dał się słyszeć w jego skarpetkach.

— Zapłacę, ile pan zechce, ile tylko pan zechce... Ale zaklinam pana, Dime. Niech pan przyjedzie natychmiast. Nie mogę...

Nagle połączenie zostało przerwane, a ja zawołałem jeszcze kilka razy Botubota, tak jak się to zwykle robi, mimo iż wiadomo, że rozmówca odłożył już słuchawkę.

Przetarłem twarz opuszkami palców i starałem się dociec, jak to się mogło stać, że życie Louisa Botubota znalazło się nagle w niebezpieczeństwie. Jako adwokat nie był on łowcą klientów i nie żerował na ludzkim nieszczęściu. Botubot zajmował szereg pierwszorzędných apartamentów składających się na jego biuro i pracował dla garstki pierwszorzędných przestępców. Ludzie, z którymi się stykał, nie mogliby mu grozić śmiercią. To zaś wskazywało, że cała ta sprawa musi mieć związek z jego życiem prywatnym, oczywiście o ile ten jego telefon nie był jakąś lipą. Ale jedynie do tego miejsca doszedłem w swoich rozważaniach. Ponieważ nie miałem pojęcia, co Botubot porabiał na kursie gry w golfa lub w swoim klubie, pozostawało mi wyłącznie błędzić po omacku. Wstałem więc, ubrałem się i o wschodzie słońca wyruszyłem do Atlantic City.

Droga, którą podążałem, prowadziła przez Magnolię, Berlin i Elm, czyli miliony ton przybrudzonego betonu i zardzewiałych rur fabrycznych. Tak naprawdę to chyba nikt nie wybudował północnej części stanu New Jersey. Przywieźli go tu po prostu na ciężarówkach i rzucili gdzie popadło.

Zanim dotarłem do Egg Harbor City, słońce było już wysoko na niebie i prażyło mocno. Ja zaś zgłodniałem. Przejechałem przez miasto rozglądając się za jakąś otwartą knajpką, w której dałoby się zjeść śniadanie, ale znalazłem ją dopiero o milę na zachód od granic miasta. Jadłodajnia Hanka była to obdrapana z farby, brązowa drewniana buda z brudnymi oknami i poczerniałym kominem, z którego buchały kłęby gęstego dymu. Zaparkowałem samochód na wolnym skrawku porośniętym tu i ówdzie kępami krzaków, wszedłem po trzech rozklekotanych drewnianych stopniach i pchnąłem drzwi na skrzypiących zawiasach.

Pod względem czystości lokal ten nadawał się do tego, aby w nim jeść, co potwierdzała z grubsza licencja na handel żywnością wydana przez wydział zdrowia w New Jersey, która wisiała w ramkach, za popękaną szybką na ścianie koło bojlera. Wszedłem więc głębiej, usiadłem przy kontuarze z chromowanym blatem na jednym z dziesięciu wolnych obrostowych stołków i rozejrzałem się dokoła.

Jadłodajnia była pusta, nie licząc dwóch siks o piegowatych twarzach, które siedziały z dala od baru, przy stoliku koło grającej szafy wielkości małego słonia. Maszyna odtwarzała właśnie jakąś kompletnie zdartą płytę, a robiła to tak głośno, że niemal dało się słyszeć nagranie z odwrotnej strony. Dziewczyny popijały wodę sodową i bez wytchnienia trajkotały piskliwie o ciuchach, chłopakach i gwiazdach filmowych.

Po chwili z kuchni przyczłapał sam Hank, który miał wypisane na twarzy: „położyłem się o trzeciej, a wstałem o szóstej” i podał mi jadłospis. Zamówiłem prawie wszystko, co w nim było.

Wkrótce pojawiło się śniadanie. Wyjadłem z niego wszystkie ciepłe i nietłuste kawałki i popiłem je trzema filiżankami zadziwiająco dobrej kawy. Potem zapaliłem papierosa i przemyślałem sobie kilka spraw, o których zamierzałem powiedzieć Louisowi Botubotowi, gdy tylko będę miał już za sobą ratowanie jego skóry.

Od poniedziałku wiele się dowiedziałem. Poszczególne informacje, które początkowo oceniłem jako mało istotne, dawały mi teraz w sumie podstawę do tego, by uznać za wielce

prawdopodobne, iż Westerna rzeczywiście wrobiono.

Odkryłem na przykład, że w klubie „Dżungla” jest tylko jedno wyjście poza głównym. Znajduje się ono zaraz za barem, a nie na zapleczu budynku, co oznacza, że Stipello z pewnością widział zabójcę, chyba że ma on w zwyczaju na chybił trafił, z zamkniętymi oczami aresztować ludzi.

Spędziłem muchę z pojemnika na serwetki, po czym wyciągnąłem jedną serwetkę i starannie wytarłem nią usta. Taki wyśmienity prawnik jak Botubot mógłby wiele zdziałać wiedząc, że Stipello pojawił się tuż koło „Dżungli” w tej samej sekundzie, kiedy ktoś wykończył Ike'a Vreema, a nie poszedł, jak to miał w planie, na mecz piłkarski ze swoim dzieckiem, jedynie z tego powodu, że w ostatniej chwili zmienił godziny służby. I co więcej, zmienił je na przekór wszelkim obowiązującym w policji zwyczajom. Dysponując choćby tym jedynym tylko faktem, Botubot mógłby już zwrócić się do przysięgłych, by wzięli pod uwagę, iż to głównie Stipello przyczynił się do fałszywego oskarżenia Westerna i oprzeć swoje zarzuty na tym, że Stipello podrzucił Westernowi skręty, ponieważ pierwszy znalazł się na miejscu zdarzenia, a ponadto widział prawdziwego zabójcę i pozwolił mu się oddalić bez przeszkód. Powód? Prosty. W ten sposób Stipello miałby z czego opłacać rachunki za szpital i lekcje muzyki dla swojego chorego dzieciaka. Brzmiało to dość sensownie, więc gdybym to ja zasiadał w ławie przysięgłych, w taką właśnie wersję bym uwierzył.

Ale to jeszcze nie wszystko. Nie możesz przecież studiować książki medycznej przez dwie godziny i nic się z niej nie nauczyć, a przynajmniej tego, że dawka od 400 do 800 miligramów Menzadilu zmieszana z alkoholem nie zwala jeszcze z nóg — co najwyżej można czuć się na tyle skołowanym, żeby zapomnieć z kim się piło. A gdybyś był Chuckiem Westernem, wówczas przez jakieś piętnaście minut nic byś w ogóle nie poczuł. Zakręciłoby ci się lekko w głowie i w końcu walnąłbyś się spać, ale spałbyś tylko do czasu, aż obudziłby cię huk wystrzału. Wciąż oszołomiony narkotykiem, polazłbyś do szatni, żeby sprawdzić co to za hałas, a tam natknąłbyś się na zwłoki. Na podłodze zauważyłbyś swój własny pistolet z dymiącą jeszcze lufą, więc byś go podniósł. A zaraz potem gliniarz o nazwisku Stipello założyłby ci kajdanki, nie czekając nawet, aż do końca oprzytomniejesz. Inny znowu gliniarz, niejaki wywiadowca Clooney, który dla własnej kariery pakował ludzi do pudła, zaciągnąłby cię do centrum miasta, by tam zmusić do podpisania zeznań, w których przyznajesz się do morderstwa, popełnionego przez kogoś innego.

Tymczasem, skoro krwi i moczu Westerna nie poddano badaniom, żeby stwierdzić, jaka była rzeczywista przyczyna jego stanu umysłowego, nie można właściwie mieć za złe gliniarzom, że uznali go za nagrzanego ćpuna, który zabawia się pistoletem i czyimś życiem. A te sześć skrętów w kieszeni jego marynarki ostatecznie przesądzało już całą sprawę.

Wciągnąłem w płuca jeszcze trochę dymu, gdy tymczasem dziewczyny wcisnęły do szafy grającej kolejną garść pięciocentówek.

Byłem przekonany, że Western stał się ofiarą mieszanki Menzadilu z alkoholem, choć wpadłem na to, mówiąc skromnie, dość przypadkowo. Wielu ludzi posiada fiolki z Menzadilem; jak podaje książka, około dziesięciu milionów Amerykanów przyjmuje w ciągu roku trzydzieści sześć milionów tabletek. Ale tak się akurat złożyło, że jedną z osób zażywających Menzadil była również Belinda Van Getz. Miała w swojej apteczce wystarczający zapas barbituranów, żeby ułożyć do snu całą piechotę morską, i jeszcze trochę by zostało. Jednakże Belinda przejawiała także coś, czego nie przejawiało pozostałych dziewięć milionów dziewięćset dziewięćdziesiąt dziewięć tysięcy dziewięćset dziewięćdziesięciu dziewięciu Amerykanów. Belinda Van Getz przejawiała chorobliwą obawę o przyszłość Chucka Westerna, a co ważniejsze, przebywała w „Dżungli” owej nocy, kiedy to wszystko się zaczęło.

Hank nalał mi czwartą filiżankę kawy, a ja jeszcze raz prześledziłem w myślach całe swoje rozumowanie, aby się upewnić, że dobrze to sobie poukładałem. Wszystko idealnie pasowało, aż do momentu, gdy doszedłem do Clooneya. Clooney przywołał w mojej pamięci

obraz tych paskudnych siniaków, które dostrzegłem na ramionach Nancy Canady, tego sińca widniejącego na jej policzku i podbitego oka. Pewnego dnia, obiecałem to sobie, policzę się z nim.

Ogarnięty wojowniczym nastrojem, dopiłem kawę, położyłem dolara na kontuarze i zwlokłem się ze stołka. Z szafy grającej dobiegało właśnie piskliwe zawodzenie jakiegoś cymbała, który w wyraźnym dysonansie z akompaniamentem skarżył się, że „nie zmrużył oka, bo jego ukochana nie pocałowała go na dobranoc”. Nie dziwiłem się jej ani trochę. Gdybym to ja był jego ukochaną, chętnie przyłożyłbym mu w gębę za to, że jest taki rozlazły. Zanim jednak dotarłem do Atlantic City, zdążyłem już całkowicie ochłonąć, i byłem gotów wysłuchać wszystkiego, co będzie miał mi do powiedzenia Louis Botubot.

## 22.

Tak jak powiedział Botubot, dom z numerem 345 na Spinoza Street rzeczywiście znajdował się przy pierwszej przecznicy od Broadwalk, nadmorskiej promenady, nie na tyle jednak daleko, by nie docierał tam zapach hot dogów, słonego powietrza i lizaków, czy dychawiczne zawodzenie karuzeli z Atlantic City.

Był to pierwszy z sześciu stojących w szeregu nowych, małych budynków, ponury, pokryty stiukiem domek letniskowy z cedrowym gontowym dachem i parą wielkich dwuskrzydłowych okien z zaciągniętymi żaluzjami. Reszta tego kompleksu znajdowała się jeszcze w budowie, a niektóre z przyszłych budynków stanowiły zaledwie szkielety z cegieł. Umieszczona wysoko na rusztowaniu tablica ogłoszeń oddzielała domek Botubota od sąsiadów. Namalowany na zielonym tle jaskrawożółty napis informował: „Luksusowe domki wycieczkowe do wynajęcia i na sprzedaż” oraz podawał bliższe dane na temat miejscowego biura handlu nieruchomościami.

Skręciłem w szeroki, półkolisty podjazd i zaparkowałem samochód przed garażem ustawionym pod kątem prostym do fasady domku. Droga nie była jeszcze wykończona: beton urywał się gdzieś w połowie i przechodził w piasek. Tuzin worków z cementem stało opartych o ścianę garażu, a betoniarka z rozwartą paszczą wygrzewała się beczynnie w słońcu. Przypominała mi ziewającego hipopotama.

Wysiadłem z samochodu i ruszyłem w stronę domku. Idąc po brunatnej ziemi spostrzegłem, że jest ona pokryta koleinami pozostawionymi przez dwa rodzaje opon. Jeden z tych śladów był całkiem świeży: bardziej chropowaty niż ten drugi, nie tak rozmyty całonocnym deszczem. O ile starsze ślady kół urywały się w bramie garażu, te drugie zarysowywały na ziemi znak w kształcie litery „U”, co wskazywało, że właściciel samochodu jedynie złożył tu wizytę.

Podobnie jak reszta fasady, drzwi wejściowe pomalowane były na biało i osłonięte niewyszukanym, drewnianym gzymsem wspartym na kanciastych, umocowanych na kozłach filarach, które zaczynała porastać już młoda bugenwilla. Ostro zastukałem lśniąca mosiężną kołatką i czekałem obserwując stada mlecznobiałych, opasłych mew szybujących wysoko w łagodnym powiewie znad oceanu. Czekałem dość długo, lecz nikt się nie pojawił. Nadstawiłem ucha, by wyłować dźwięki, które mogłyby wskazywać, że za połyskliwą farbą drzwi toczy się jakieś życie. Nie zdołałem jednak nic usłyszeć. Nienaturalna cisza zdawała się panować na całej ulicy. Nawet place budowy straszyły złowrogą pustką. Zastukałem ponownie, tym razem bardzo głośno, płosząc przy okazji jaszczurkę, która tańczyła swoje nieustanne tango na fundamentach z surowej cegły. Czekałem jeszcze długo, ale nikt nie podszedł do

drzwi.

Zszedłem z ganku i posuwając się wzdłuż ściany poczłapałem ociężale w kierunku tylnego wejścia, które powinno było znajdować się gdzieś na zapleczu. Po drodze minąłem okno jakiegoś pomieszczenia, a ponieważ nie było w nim żaluzji, ostrożnie zajrzałem do środka. Z tego, co udało mi się dostrzec, zorientowałem się, że jest to tylko pusta kuchnia. Ruszyłem więc dalej i w końcu odnalazłem tylne wejście na niedużym, umieszczonym we wnętrzu ganku. Znajdowało się tu dwoje drzwi: zewnętrzne nie posiadające zamka, a jedynie zatrzask, oraz wewnętrzne, które co prawda miały zamek, ale najwyraźniej z niego nie korzystano. Posuwając się bezszelestnie cal po calu przeszedłem przez drzwi i znalazłem się w ciemnym hallu z przyległą alkową, która sąsiadowała z kuchnią.

Minąwszy alkowę, pchnąłem ażurowe, nisko osadzone, wahadłowe drzwi i wszedłem do kuchni, gdzie ponownie wytężyłem słuch. Nie licząc cichego bulgotania, które wydobywało się z ekspresu filtrującego kawę na kuchence i niskiego monotonnego buczenia lodówki, panowała tu absolutna cisza. Na stole znajdował się przezroczysty plastikowy dzbanek ze świeżym sokiem pomarańczowym, a obok prawie pełna szklanka. Oprócz tego stały tam naczynia z jednego kompletu: poplamiona na obrzeżu filiżanka do kawy, talerz z reszkami jajecznicy na szynce oraz mały spodek, na którym leżała niedojedzona grzanka, przypieczona jakiś czas temu, z pewnością jednak wcześniej niż przed godziną. Nie trzeba było być detektywem, by wiedzieć, że przybyłem tu za późno, i że kiedy w końcu odnajdę adwokata, niemal na pewno będzie już martwy. Natomiast stawało się coraz bardziej oczywiste, że odnalezienie Botubota będzie już zadaniem, z którym może uporać się wyłącznie detektyw.

Wejście do alkowy znajdującej się na przeciwległym końcu kuchni także prowadziło przez drzwi rodem z saloonu. Po przejściu przez alkowę znalazłem się w gustownie umeblowanej jadalni, z której przeszedłem z kolei do większego, mniej nasłonecznionego pokoju gościnnego, gdzie wszystko powleczone było pokrowcami pachnącymi świeżą lawendą. Otworzyłem następne drzwi i cicho przemknąłem przez frontowy hall do długiego korytarza prowadzącego do pokoiów na zapleczu domku. Nim jednak zapuściłem się w głąb korytarza, zawołałem jeszcze: „Botubot? To ja, Mike Dime!”. W odpowiedzi usłyszałem jedynie słabe echo.

Wyciągnąłem pistolet spod pachy i ostrożnie posuwałem się korytarzem. Na jego końcu widać było parę francuskich okien wychodzących na ogród, zaś po lewej stronie troje drzwi. Pierwsze i drugie były zamknięte i pokryte świeżą jeszcze farbą, ale kiedy pchnąłem je ramieniem, farba oderwała się od framugi, a drzwi otworzyły się. Niepotrzebnie się jednak fatygowałem. Zarówno jedne jak i drugie drzwi prowadziły do identycznych, ciemnych pojedynczych sypialni, a w każdej z nich znajdował się tapczan, który nie był przygotowany do spania, zasłony, które nie były całkiem zasunięte, oraz okiennice, które były zamknięte, ale nie do końca. Nie było tam jednak śladów Botubota; nie było nawet wyjętej szczoteczki do zębów.

Natomiast za trzecimi drzwiami zastałem całkiem inną sytuację. Otworzyły się bez trudu, ukazując przestronną, nasłonecznioną sypialnię, do której przez szeroko otwarte okna i okiennice wpadało mnóstwo orzeźwiającego morskiego powietrza.

Zobaczyłem królewskie łoże, w którym bez wątplenia musiał ktoś spać — i to spać niespokojnie, jak mogłem się domyślić widząc skotłowane na środku materaca prześcieradła i porozrzucane dookoła poduszki. Spod poduszki leżącej na podłodze wystawał sznur telefoniczny, w nogach łóżka porzucony był niedbale nowy, lecz zmięty ciemnoczerwony jedwabny szlafrok, zaś na nocnym stoliku znajdowała się pusta butelka po Canadian Club. Zamknąłem za sobą drzwi i zacząłem rozglądać się po pokoju. Swoim zadartym nosem odbezpieczyłem pistolet, zaciskając jednocześnie palec na spuście na tyle mocno, by w razie potrzeby strzelić jako pierwszy, jednak nie aż tak mocno, żeby przedziurawić pierwszą rzecz, jaka się poruszy.

Pod oknem znajdował się mały, prosty dębowy stolik. Stała na nim przenośna maszyna

do pisania w zniszczonej walizeczce z otwartym wiekiem, odłożonym na bok. Leżała tam także nowa paczka kopert oraz kilka arkuszy czystego papieru — z których część zmieciona delikatnym powiewem sfrunęła na dywan — a ponadto wieczne pióro Parkera ze szczerozłotą nasadką, solidnie wypchany portfel ze świńskiej skóry oraz komplet kluczyków do samochodu zaczeponionych na kółku z pomarańczowo-czarnym emblematem Princeton.

Przy ścianie na wprost okna stała olbrzymia szafa, na tyle wielka, by pomieścić całą orkiestrę symfoniczną NBC. Jedna część rozsuwanych drzwi z fornirowanego drewna była nieco uchylona i widać było ciemną, wąską, podłużną, prostokątną szparę. Bezszelestnie przeszedłem przez pokój po sprężynującej, nowej wykładzinie, po czym używając dużego palca u nogi, krótkim, ostrym pchnięciem rozsunąłem nieco bardziej drzwi szafy. Gdybym choć trochę liczył na to, że znajdę tam Botubota, byłbym zawiedziony.

Wszystko, co tam odkryłem, to rząd drogich, uszytych na miarę letnich garniturów wiszących spokojnie na mosiężnym drążku, stojak wypełniony parami płaskich mokasynów z cieniowanej skóry i wyjściowych półbutów, a także półki wypchane stertami równo poukładanych, wydzielających mdławą zapach koszul z metkami firmy Braci Brooks. Nie było tam jednak nawet śladu faceta, który je tu przywiózł. Nie było go także w łazience, ani w kabinie z prysznicem. Pozostawał zatem ogród.

Włożyłem trzydziestkę ósemkę z powrotem do kabury, wyszedłem na korytarz i otworzyłem francuskie okno.

Większą część ogrodu zajmował basen. Znajdował się pośrodku gładkiego, dobrze utrzymanego trawnika, porośniętego gdzieś kępami gęstych zarośli oraz kwitnącymi krzewami. Wokół basenu rozstawiony był komplet z wolna rdzewiejących metalowych mebli, jakie spotyka się w otoczeniu wszystkich basenów, od Maine po Miami. Po drugiej stronie basenu, za patio przeznaczonym na ogrodowe przyjęcia wznosił się pokryty stiukiem pawilon, który miał drewnianą wieżyczkę z wiatrowskazem. Tam także rozstawione były leżaki, parasole i krzesła.

Biegnąca za pawilonem i wzdłuż obu brzegów trawnika wysoka ażurowa ściana z cegły i brył pumeksu, jak również rząd starannie zasadzonych młodych oliwek, odgradzały posesję przy Spinoza Street 345 od świata zewnętrznego.

Przeszedłem już wzdłuż niemal całego basenu, gdy nagle go dostrzegłem. Znajdował się prawie przy dnie, blisko jasnoniebieskich kafli, a jego zanurzone ciało przesłaniał niemal całkowicie długi, rzucany przez trampolinę cień.

W pobliżu stało krzesło z jaskrawożółtym, nieprzemakalnym siedzeniem. Przyciągnąłem je nad brzeg basenu i usiadłem. A potem chcąc nie chcąc przyjrzałem się uważnie świętej pamięci Louisowi Botubotowi.

Ubrany w jaskrawe kąpielówki, z rozpostartymi nogami i rękami, bezwładnie unosił się w wodzie zwrócony twarzą w dół, przypominając rewers wpisanego w koło i kwadrat człowieka ze szkicu Leonarda da Vinci. Ciało Botubota zanurzone było częściowo w żółtawo zabarwionej wodzie, a jedyne, co się poruszało, to jego ciemne włosy: odstawały od głowy i falowały delikatnie muskając powierzchnię niczym pędzelek chińskiego akwarelisty. Z tyłu nie było widać na zwłokach żadnych obrażeń ani śladów, i podejrzewałem, że oprócz maleńkiej białej blizny pod lewym okiem żadnych obrażeń ani śladów nie będą one miały także z przodu. Nigdzie nie zauważyłem również krwi. Gdybyś nie wiedział, że Louis Botubot telefonował o trzeciej nad ranem do prywatnego detektywa, by się poskarżyć, że grozi mu śmiertelne niebezpieczeństwo, doszedłbyś zapewne do wniosku, iż młodszy wspólnik firmy Botubot & Botubot spędził ciężką noc zalewając się na umór whisky, po czym zbyt łapczywie zjadł jajka na szynce i utopił się zażywając porannej kąpieli w basenie. Zarówno ty jak i gliniarze tak byście właśnie pomyśleli. Lecz ja wiedziałem, że śmierć Botubota nie była spowodowana wypadkiem, wiedziałem także, że po dokonaniu morderstwa najłatwiej zawsze upozorować utonięcie. A robi się to dokładnie w taki sam sposób, w jaki prymitywne plemiona polują na

zwierzyńę, gdy akurat nie mają przy sobie broni. Ścigają zwierzę, dopóki nie znajdzie się u kresu sił, czekają, aż wskoczy do strumienia, żeby się ochłodzić, a wtedy włożą mu na grzbiet i przytapiają. Niezależnie kogo chciałbyś utopić, antylopę czy prawnika, wszystko, czego by ci było trzeba, to odrobina wytrwałości odrobina wysiłku oraz mnóstwo sprytu.

Aby sprawdzić, czy moja teoria jest słuszna, podciągnąłem mankiet marynarki, zawinałem rękaw koszuli i schyliłem się. Następnie chwyciłem Botubota za zimny nadgarstek i szarpnąłem. Odwrócił się równie łatwo niczym pusta beczka i szeroko otwartymi oczyma wpatrzył się prosto w słońce, tak jak to może robić tylko nieboszczyk, nie mrużąc powiek. Na jego obwisłej szczęce zauważyłem nie golony od dwóch dni zarost, nigdzie jednak nie dostrzegłem śladów walki czy śmiertelnego ciosu, i byłbym nawet zdziwiony, gdybym coś takiego znalazł. Botubota utopił ktoś, kto dobrze wiedział, co robi.

Wstałem, otrząsałem rękę z wody i obciągnąłem koszulę i marynarkę. Potem wyrzuciłem niedopałek I zamaszystym krokiem skierowałem się z powrotem do domku. Miałem tam jeszcze sporo do zrobienia.

Miejszem pierwszego postoju była sypialnia. Podeszedłem do stolika z maszyną do pisania i zabrałem się do przetrząsania kosza na śmieci. Znajdowało się w nim jakieś pół tuzina kartek zgniecionych w małe, zmięte kulki. Wysypałem zawartość kosza na stół i po kolei rozprostowywałem wszystkie arkusze, układając je w stosik. U góry każdej strony widniało nie więcej niż kilka linijek, ale jeśli napisał je na maszynie Botubot, najwyraźniej nie był zadowolony z rezultatów swojej pracy. Wszystkie wiersze pokrywały zwarte rzędy iksów. Popatrzyłem na jedną z kartek pod światło i usiłowałem cokolwiek odczytać poprzez skreślenia. Nic jednak nie było widać, ani słowa, wobec czego zgmiotłem kartki w kulki i cisnąłem je z powrotem do kosza. Tymczasem zauważyłem zmięty kawałek celofanu oraz rozdarte pudełko po nowej taśmie do maszyny. Odstawiłem kosz na miejsce i z uwagą przyjrzałem się samej maszynie.

Był to oblepiony brudem, stary przedwojenny Remington. Na zwisającej z rączki zniszczonej pokrywy metce widniał napis: „Sklep U Joe'go, Atlantic City Numer Jeden, Okazyma Wyprzedaż Artykułów Używanych” oraz cena — dziewięć dolarów dziewięćdziesiąt dziewięć centów. Odblokowałem nasadkę szpuli i czubkiem palca cofnąłem taśmę. Na każdym calu czarnego paska odcisnięte były czcionki, co oznaczało, że w pewnym okresie swojego urlopu Botubot napisał na maszynie znacznie więcej niż te pierwsze kilka linijek, które widziałem na wyrzuconych kartkach, a prawdopodobnie też znacznie więcej niż „pogo-da jest piękna, szkoda, że cię tu nie ma”.

Zablokowałem nasadkę szpuli i chusteczką do nosa wytarłem wszystkie części, których dotykałem. Choć nie wydawało mi się, by gliniarze z Atlantic City mogli podejrzewać tu morderstwo, to jednak nie było sensu narażać się bez potrzeby. Miałem właśnie zamiar zabrać się do wycierania odcisków palców w pozostałych częściach domku, gdy nagle przeciągłe brzęczenie telefonu sprawiło, że zamarłem. Zastygłem w bezruchu, zupełnie jak gdyby mój najmniejszy gest mógł ożywić telefon i spowodować, że będzie on zdolny powiadomić o mojej tu obecności osobę, która właśnie dzwoni. Niemal słyszałem ten głos po drugiej stronie linii: „Ty, zobacz — zdawał się mówić — Mike Dime węszy po sypialni Louisa Botubota. Słuchaj no, Dime, to telefon do Louisa. Jesteś tam, Louis? Gdzie on się, u diabła, podział? Spójrz, to musi być on, w tym basenie. Popatrz, tutaj pod trampoliną. Coś jest nie tak. Zobacz tylko, jak on się unosi na tej wodzie! Jakiś taki sztywny. O rany, coś mi się zdaje, że Louis jest chyba załatwiony. Jezu Chryste, to przecież trup! Martwy jak jakaś cholerna kłoda”.

Brzęczenie telefonu ustało równie nagle jak się rozległo, zamarło niczym ostatni ryk zwierzęcia schwytanego w sidła. Wziąłem głęboki oddech i kilka razy trzepnąłem się mocno w tył głowy. Może znowu zacząłem fiksować, a może raczej na dzień lub dwa powinienem nieco ograniczyć picie tanich trunków?

Najszybciej jak mogłem zatarłem w domku ślady swojej obecności, po czym oddaliłem

się tą samą drogą, którą przyszedłem.

## 23.

Znajdowałem się już w połowie drogi do samochodu, wdzięczny losowi, że na Spinoza Street jest tak samo pusto jak poprzednio, kiedy dostrzegłem pełną środkiem ulicy miejscową taksówkę z pogiętymi zderzakami i zepsutym tłumikiem. Dygocąc stała przez chwilę na skrzyżowaniu, po czym wystartowała w nagłym zrywie, i kiedy wypatrzyła numer 345, ostro wyhamowała, strzeliła dwukrotnie w gaźnik, aż w końcu zatrzymała się na wprost podjazdu. Facet, który z niej wysiadł i zapłacił za kurs, był dobrze zbudowanym mężczyzną o długich nogach przyczepionych do smukłych bioder. Jego rudawe włosy wyglądały tak samo niechlujnie jak reszta stroju. Miał na sobie białe, skórzane sandały, marynarskie spodnie z białym szerokim płóciennym pasem oraz prostą sportową koszulę w kolorze cytrynowym. W ręku trzymał plażową torbę w szkocką kratę, a na czubku nosa osadzone miał plastikowe okulary przeciwsłoneczne w czerwonych prostokątnych oprawkach. Na mój widok zdjął je i wsadził do kieszonki koszuli. Potem pomachał do mnie porozumiewawczo i żwawym krokiem ruszył w kierunku miejsca, w którym właśnie próbowałem wtopić się w ziemię.

— Wspaniały dzień — odezwał się wesoło, podchodząc bliżej. — Nazywają mnie tu Lonnie. Nie wydaje mi się, żeśmy się mieli przyjemność poznać?

Jego twarz nie miała w sobie nic szczególnego: z bliska wydawała się jakby starsza, płaska, ze szpiczastą brodą i wąskimi ustami pozbawionymi wyrazu. Natomiast jego małe jasnoszare oczy były ruchliwe i wyjątkowo czujne.

— Louisa nie ma — powiedziałem zmieszany, zdążając w kierunku samochodu. — Kilka razy stukałem, ale nikt nie otworzył. Pewnie gdzieś wyszedł.

— Pan w odwiedziny? — spytał Lonnie mierząc mnie wzrokiem, który następnie, unosząc nieznacznie brew, przeniósł na filadelfijskie numery rejestracyjne mojego pontiaka.

— Można to tak nazwać.

— Wobec tego zaczekajmy razem. W środku. — Na jego ustach pojawił się konspiracyjny uśmiezek. — Louis dał mi klucz.

Odwzajemniłem mu uśmiech, dość anemicznie. Zaczynało wyglądać na to, że już nie uda mi się stamtąd szybko ulotnić.

— Od dawna znacie się z Louistem? — spytałem, żeby w ogóle coś powiedzieć, podczas gdy Lonnie minął mnie i wszedł po stopniach na ganek.

— Od przedwczoraj — odparł i zaczął grzebać w plażowej torbie. — Poznałem go w barze przy Broadwalk. Miła knajpa. Intymna. Spodobałoby się tam panu. U Maxwella. Pracuję tam czasami. Ze mnie taki facet, co to umie każdemu dogodzić, jeśli pan rozumie, o co mi idzie. Staram się, żeby klienci byli zadowoleni. Daję im to, czego chcą. — Lonnie przerwał, zamyślił się na sekundę, po czym postawił torbę na ziemi. — Louis zjawił się akurat jak żeśmy zamykali — opowiadał dalej lekkim, swobodnym tonem, przetrząsając kieszenie. — Postawił mi kolejkę, no i jakoś żeśmy się polubili. Potem powiedział, że mogę wpaść, kiedy tylko zechcę i czuć się jak u siebie w domu. No to jestem. Mam cały dzień wolny i ochotę, żeby się dobrze zabawić.

Znalazł klucz w tylnej kieszeni spodni i otworzył drzwi. Pewnym krokiem minął przedpokój i zaczął zmierzać w kierunku sypialni.

— Pan jest tu pierwszy raz? — spytałem, idąc tuż za nim.

— O co panu właściwie chodzi?

— Chodzi mi o to, że tak dobrze zna pan drogę.

Lonnie zaśmiał się.

— W domku letniskowym człowiek nie musi znać drogi — rzucił spoglądając na mnie przez ramię. — Wszystkie tutaj budują w jednakowy sposób.

Ponownie odwrócił się plecami i podążył dalej korytarzem.

Wlokłem się za nim próbując obmyślić jakiś sposób, żeby tylko Lonnie nie dotarł przypadkiem nad basen. Ale nic nie przychodziło mi do głowy, nic, co mogłoby mi zapewnić dostatecznie dużo czasu na wydostanie się stąd, zanim Lonnie odkryje Botubota i narobi szumu.

Tymczasem Lonnie otworzył drzwi do sypialni i wszedł do środka.

— Nie mogę się doczekać, żeby zwalić z siebie te okropne łachy — powiedział, rzucając teatralnym gestem torbę na łóżko. — Uwielbiam pływać, a pan?

— To zależy z kim miałbym być w basenie — odparłem i podszedłem do otwartego okna. Spojrzałem w kierunku wody, ale z sypialni nie było widać zwłok Botubota. Zapaliłem papierosa i patrzyłem jak Lonnie rozpiną koszulę. Dotarł już do połowy, gdy nagle zauważył na nocnym stoliku pustą butelkę po szkockiej.

— Mój Boże — powiedział podnosząc butelkę za szyjkę i wymachując nią w moją stronę. — Aż dziw, że Louis w ogóle się obudził. — Lonnie przewrócił oczami i ponownie odegrał swój numer z podnoszeniem brwi. — Myśli pan, że sam jeden obciągnął całą flaszkę? — Na końcu pytania zabrzmiała dramatycznie wysoka nuta.

Odsunąłem się od okna.

— Jeśli chce pan wiedzieć — powiedziałem doprowadzony już niemal do desperacji — to myślę, że Louis po prostu wymknął się po wodę mineralną. Facet pewnie ledwie zipie. — Podszedłem i zatrzymałem się przy łóżku. — Co pan na to, żebyśmy dali sobie spokój z tym czekaniem? Mam tu przed domem samochód. Podrzucę pana z powrotem do miasta. Louisowi pewnie byłoby to na rękę.

Lonnie z pewnością musiał wyczuć jakąś nutkę niepokoju w moim głosie. Jego małe oczka szybko rozejrzały się po pokoju.

— Coś podejrzanego tu się dzieje — rzekł podchodząc do stolika pod oknem. — Coś, co mi się nie podoba. — Wziął portfel Botubota i w zamyśleniu obrócił go w palcach. To samo zrobił z kluczykami. — I pewnie Louis wyprawił się do sklepu bez samochodu, a także bez portfela, co?

— Tak mi to tylko przyszło do głowy — powiedziałem gasząc papierosa w czystej popielniczce na nocnym stoliku. — Równie dobrze Louis mógł wczoraj wieczorem spotkać jakiegoś innego faceta w jakimś innym barze. Może razem się zaprawili i zachciało im się pójść na spacer, żeby ochłonać.

Lonnie przeniósł swoje wspaniałe zbudowane ciało na łóżko i przysiadł na brzegu obok plażowej torby. Telefon znajdował się pod poduszką tuż koło jego buta. Zauważył sznur, kopniem strącił poduszkę i podniósł słuchawkę.

— Jeśli tak się panu zdaje, szanowny panie, to widać niewiele pan wie o Louisie Botubocie. — Lonnie siedział w milczeniu przez sekundę, po czym na kilka dalszych sekund przymknął powieki. — Bo właśnie sobie przypomniałem — ciągnął oskarżycielskim tonem — jak Louis mówił, że nikt w Filadelfii nie ma pojęcia, że się tu zatrzymał. Powiedział, że to absolutna tajemnica.

— Pewnie zapomniał o mnie.

Lonnie wetknął czubek palca w tarczę telefonu i zaczął nakręcać numer.

— Im dłużej o panu myślę, szanowny panie — mówił obserwując mnie kątem oka — tym bardziej wygląda mi pan na intruza. — Tarcza powróciła na miejsce. Lonnie wykręcił czwartą cyfrę. — Najwyższy już chyba czas, żeby zjawili się tu gliniarze. Zobaczmy, co oni z tego wszystkiego zrozumieją.

Gdyby istniał jakiś sposób nie wymagający użycia siły, z pewnością bym go zastoso-



wał. Lecz fakt, że Lonnie prawie połączył się już z policją nie pozostawiał mi właściwie żadnego wyboru.

Chwyciłem słuchawkę i z trzaskiem rzuciłem ją z powrotem na widełki.

Lonnie zerwał się na nogi znacznie szybciej niż zdążyłby się spóźnić tandetny zegarek. Twarda, otwarta dłoń wyrznęła mnie prosto w twarz, po czym z nieludzką wprost siłą odrzuciła do tyłu. Kiedy przelatywałem przez pokój potykając się i zataczając koła, by utrzymać pozycję pionową, usłyszałem jego śmiech. Zabrzmiał jeszcze głośniejszy, gdy z łoskotem zwałem się niezdarnie na stolik, na którym znajdowały się rzeczy Botubota. Padając uchwyciłem się krawędzi stolika, a wtedy ześlizgnęła się na mnie maszyna do pisania wraz z portfelem, kluczykami i kartkami papieru.

Upadłem na brzuch i wspierając się na łokciach instynktownie odwróciłem twarz w stronę napastnika.

Lonnie, przyczajony, zataczając półkole wolno posuwał się do przodu, płynnością ruchów przypominając tancerza z baletu. Ale przybyło mu coś nowego, coś, co trzymał teraz w ręku, coś długiego i błyszczącego, z płaskim ostrzem i korkowym trzonkiem. Lonnie bynajmniej nie odtwarzał partii tytułowej z „Giselle”.

— Wstawaj — wysyczał, przerzucając nóż rybacki z jednej ręki do drugiej — bo ci poobcinam uszy.

Przemiana Lonniego w nożownika nastąpiła tak nagle, iż dotarło to do mnie tylko częściowo. I jakby przez mgłę.

— Sam sobie obcinam co rano przy goleniu — powiedziałem siadając prosto. — No dobra, a teraz może byś tak odłożył to narzędzie, zanim się pokaleczysz i zrobi ci się słabo.

Zacząłem się podnosić opierając się na jednej ręce, drugą pozostawiając sobie wolną do obrony.

— Tylko spokojnie, panie Mądralo — ostrzegł mnie.

— Powiniennem cię chyba uprzedzić — powiedziałem zachowując pozory spokoju, czując jednocześnie, jak w środku wzbiera we mnie napięcie. — U mnie pod pachą jest coś znacznie bardziej groźnego niż zapach potu.

— To żadna nowina. Zobaczyłem jak ci odstaje marynarka, gdyśmy się tylko spotkali. Ale nie wyglądasz mi na jakiegoś łachmytę, co to łązi po okolicy z odbezpieczoną pukawką napchaną kulkami. Coś mi się zdaje, że jesteś już raczej z tych, co noszą kaburę z paskiem zaczepionym o kurek. Inaczej mówiąc, pachniesz mi zawodowcem. — W ułamku chwili nóż zwinnie przeleciał z jego lewej ręki do prawej i z powrotem. — Ale nie zdążysz nawet położyć palca na spuście, a już twoja szyja będzie w trzech kawałkach.

Po jego pedalskich pozach nie zostało najmniejszego śladu. Miałem teraz przed oczyma samotnego wykolejeńca z zawziętą twarzą, nawykłego do zadzierania z różnymi typami, i wystarczająco dobrze uzbrojonego, żeby sobie z nimi poradzić.

— W porządku, Lonnie — powiedziałem nagle, udając, że sięgam po broń. — Pokaż, co potrafisz.

Dzielił nas niecały metr. Lonnie trzymał teraz nóż w lewej ręce niczym miecz, z ostrzem sterczącym między kciukiem i palcem wskazującym. Długo się nie namyślał. Na ułamek sekundy wypuścił nóż, po czym chwycił go w powietrzu w taki sposób, że miecz przemienił się w sztylet. Zatoczył ramieniem szeroki łuk, unosząc ostrze wysoko nad głowę.

Nie sięgnąłem po pistolet. Sięgnąłem natomiast po skórzaną pokrywę maszyny do pisania, która upadła obok mnie na dywan. W tej samej chwili, gdy nóż Lonniego wędrował znad jego głowy ku mojej szyi, złapałem pokrywę za uchwyt, odwróciłem ją wgłębieniem na zewnątrz i skierowałem ku górze, tak by trafiło w nią zbliżające się ostrze, podobnie jak robi to gracz w pelotę, który łapie piłkę do wiklinowego kosza wystającego z jego skórzanej rękawicy. Nóż Lonniego zamiast rozpruć mi tętnicę szyjną wbił się z głośnym trzaskiem w skórzaną pokrywę, a ugrzązał aż po rękojeść. Wyteżając wszystkie mięśnie odciągnąłem pokrywę na

bok, gwałtownym szarpnięciem wyrwałem Lonniemu nóż wraz z pokrywą i odrzuciłem na bezpieczną odległość.

Uzbrojony, Lonnie rzeczywiście był groźny. Ale bez noża nie miał już ze mną, jak się zdaje, większych szans. Górowałem nad nim wagą, a ponadto miałem duże doświadczenie. W mojej branży bijatyki były czymś równie naturalnym jak odkrycie, że masz jeden koniec sznurowadła dłuższy niż drugi.

Tymczasem Lonnie ani myślał tak łatwo rezygnować. Szybko odzyskał równowagę i próbował trafić mnie stopą w twarz. Spostrzegłem, jak się zamierza i zdołałem odturlać się na tyle, by nie oberwać z całej siły. A był to piekielny kopniak, i gdyby dosięgnął celu, wyniósłby pewnie moją głowę na orbitę. W pogodną noc wypatryliby ją astronomowie i wzięli za jakąś nową gwiazdę czy planetę. Na szczęście noga Lonniego zdołała jedynie trafić mnie w policzek, odbijając się po drodze od mojego ramienia. Lecz i tak wylądowała z wystarczającym impetem, bym poczuł ostry ból biegnący wzdłuż lewej strony twarzy.

Kiedy podnosiłem się na nogi, Lonnie rzucił się w stronę nocnego stolika i chwycił właśnie za szyjkę pustą butelkę po szkockiej, gdy na jego szczękę spadł pierwszy cios, który kosztował mnie odrobinę naskórka zdartego z kostek. Lonnie wypuścił butelkę, potrząsnął głową i gdy tylko złapał równowagę, niespodziewanie odparował mi uderzeniem prosto w żołądek, aż mną wstrząsnęło. Ale mój następny strzał okazał się bardziej celny. Był to cios, którego opanowaniu poświęciłem wiele czasu w ciągu minionych lat, a nauczył mnie go pewien stary eks-zawodowiec, który naprawdę był w tym dobry. Mimo to, zawsze zaskakiwała mnie skuteczność tego uderzenia. Gracz w golfa, któremu udało się za pierwszym razem trafić do dołka, zna to uczucie. Opuściłem prawy bark i odwiodłem prawą pięść aż za żebra. Potem wystrzeliłem ją w górę niczym kamień z procy. Cios trafił Lonniego w samą brodę, a ja usłyszałem, jak trzasnęła jego kość szczękowa. Lonnie zgiął się wpół. Osunął się na kolana, gwałtownie przebierając rękami w powietrzu. Chwyciłem go za koszulę i ustawiłem sobie do najlepszego lewego sierpowego, jaki mógłbyś zobaczyć poza obrębem kwadratu pokrytego brezentem i otoczonego trzydziestoma jardami lin. Puściłem Lonniego, pozwalając, by osunął się na podłogę; rozwalił się niczym człowiek-guma odprężający się po wykonaniu kolejnego numeru. Na jego ustach pojawiły się pęcherzyki śliny zmieszanej z krwią, powieki opadły mu przysłaniając białe gałki oczne i Lonnie zapadł w sen, i to znacznie głębszy niż gdybym zaśpiewał mu „Kołysankę” Brahmsa przy akompaniamencie zespołu „Ink Spots”.

— Wybacz, Lonnie — powiedziałem.

Nagle zakręciło mi się w głowie. Niedaleko sypialni znajdowała się wyłożona glazurą łazienka, pełna mięsistych ręczników i drogich mydeł do golenia, których Louis nie będzie już używał. Poruszając się jak mucha z oberwanym skrzydłem podszedłem do wanny, usiadłem na brzegu i odkręciłem kran. Wsadziłem pulsujący policzek pod zimną, bieżącą wodę, po czym zwilżyłem myjkę i przez następne dziesięć minut obmywałem sobie kark. Policzek nie krwawił, a pieczenie wkrótce ustąpiło, tak że poza dającym się znieść bólem nic mi już właściwie nie dolegało. Zakręciłem kran, wytarłem myjką odciski palców i wróciłem do sypialni. Przeszując przez rozciągnięte ciało Lonniego zapaliłem papierosa, a następnie posługując się brzegiem prześcieradła, by nie pozostawiać więcej śladów, podniosłem słuchawkę i nakręciłem numer centrali. Kiedy odezwał się głos telefonistki, poprosiłem, by połączyła mnie z gliniarzami. Tymczasem wzrok mój przyciągnęły kluczyki Botubota leżące na dywanie. Były to nowe kluczyki, a na każdym z nich widniał znak fabryczny Lincoln: prążkowa tarcza i liście laurowe.

Czekałem dość długo, aż w końcu zgłosił się dyżurny sierżant. Oznajmiłem mu, że na Spinoza Street jest coś, co warto byłoby obejrzeć. Nie przejawiał najmniejszego zainteresowania, dopóki nie powiedziałem, że znajduje się tu martwy adwokat, ale nawet wówczas jego zainteresowanie nie było zbyt wielkie. Zapewne dopiero wypełniona po brzegi trupami rezydencja zdołałaby ożywić jego ciekawość.

Właśnie pytał mnie kolejny raz o nazwisko, kiedy odłożyłem słuchawkę i po raz drugi tego dnia przebyłem trasę wiodącą przez domek i wydostałem się na drogę. Jednak przed odjazdem rzuciłem jeszcze okiem na samochód Botubota.

Garaż miał drzwi tego typu, co to podnoszą się i chowają w dachu. Były niedomknięte i przez szparę zdołałem przyjrzeć się lincolnowi. Najnowszy, czterodrzwiowy, sześcioposobowy model widywało się niezbyt często, nie był jednak takim znowu rarytasem, żebyś ujrzawszy go, zatrzymał się i gapił. Lincoln z 1949 roku mogłeś zobaczyć na filadelfijskiej ulicy równie często jak elegancko ubraną kobietę z przekrzywionymi szwami na pończochach.

Wlałem do samochodu i pojechałem z powrotem na Tasker Street, starając się usilnie przez większą część drogi przypomnieć sobie, kiedy ostatnio widziałem nowego lincolna. Ale dopiero gdy przejechałem przez most Franklina, a z lusterka wstecznego zniknęły już szare rudery Camden, uzmysłowiłem sobie, że było to w gmachu Fiska. Stał zaparkowany obok tuckera doktora Van Getza.

## 24.

Goniec z Western Union był wysokim chłopakiem z dwoma zacięciami po goleniu na brodzie, zaklejonymi maleńkimi skrawkami plastra. Stał w głównej bramie budynku mieszczącego moje biuro i wczytywał się w rząd nazwisk na tabliczkach, porównując je z adresem na jasnobrązowej kopercie, którą trzymał w ręce.

Zaparkowałem samochód i podszedłem do niego.

— Szukasz kogoś?

— Mike Dime, Tasker Street. — Podniósł kopertę, żebym mógł przeczytać. — Tylko tyle jest tu napisane.

— Bo i tylko tyle wystarczy. — Uśmiechnąłem się i wyciągnąłem licencję.

Chłopak przyjrzał się jej dokładnie, po czym wręczył mi przesyłkę szczerząc zęby w uśmiechu.

— No to miałem szczęście — powiedział.

Wsunąłem młodemu gońcowi ćwierć dolara i otworzyłem kopertę. Była w niej depesza od Nancy, bardzo lapidarna nawet jak na obyczaje nadawców telegramów. Podawała jedynie numer telefonu z centralą w New Jersey i podpisana była „N.C”.

Wsadziłem telegram do kieszeni, wspiałem się po schodach i pośpiesznie ruszyłem korytarzem do biura, z którego właśnie dobiegał odgłos telefonicznej serenady. Jeśli podany przez Nancy numer odpowiadał miejscu, do którego przeniosła się zaraz po opuszczeniu jego mieszkania, w takim razie postąpiła bardzo sprytnie. New Jersey położone było bowiem po drugiej stronie Delaware, poza zasięgiem wpływów Clooneya.

Otworzyłem drzwi do małego przechodniego pokoju biurowego, który służył jako poczekalnia, i minąłem dwa zniszczone, skórzane fotele oraz stół do kawy pokryty żółknącymi numerami „National Geographic” i „Sports Illustrated”. Przeszedłem przez wewnętrzne drzwi do biura i minąłem gięty stojak na kapelusze z dwiema niedokręconymi śrubami oraz krzesło z kiwającą się nogą przeznaczone dla klientów; minąłem biurko wraz z całym jego wyposażeniem: wyschniętym kałamarzem i lampą z obluzowanym przewodem, która zawsze migotała, ilekroć pisałem na maszynie; minąłem opróżniony do połowy ochładzacz wody i żaluzje z brakującą listwą; minąłem zakurzony parapet i szybę z napisem „Mike Dime, Prywatny Detektyw”, wymalowanym czarnymi drukowanymi literami odstającymi od kremowego tła, po czym usiadłem na obrotowym krześle, które obracało się tylko wtedy, kiedy

miało na to ochotę. Telefon zadzwonił już dwadzieścia siedem razy, a ja pozwoliłem mu dzwonić dalej. Doświadczenie nauczyło mnie, że im dłużej dzwoni, tym sprawa jest pilniejsza. Nikt przecież nie alarmował prywatnego gliny, o ile nie wpakował się w kłopoty. Trzy dzwonki a potem cisza oznaczały zazwyczaj, że ten, kto dzwoni po prostu zapodział gdzieś klucz do zamka i nikt za dwadzieścia pięć doliców nie chciał mu pomóc go szukać, nawet Agencja Pinkertona. Po trzydziestym dzwonku podniosłem słuchawkę.

— Mike Dime, do usług — powiedziałem nie odczuwając żadnej skruchy, iż kazałem rozmówcy czekać.

Miała głos cieplejszy niż kiedykolwiek zdarzyło mi się słyszeć. Może nie roztopiłby lodów Alaski, ale z pewnością by rozgrzał nos psa husky.

— Mówi Auriol Winterfield — obwieścił ów głos. — Pamięta mnie pan?

To zupełnie jakby mnie ktoś spytał, czy pamiętam Dorothy Lamour. Tak jej właśnie odpowiedziałem.

— Ależ panie Dime — rzekła. — Doprawdy z trudem by mi przyszło do głowy takie porównanie.

Wpadłem wówczas na pomysł, żeby się trochę powyglupiać.

— W takim razie na pewno rozmawiam z jakąś inną panią Winterfield — powiedziałem. — Bo ta, którą znam, ma nieco mniej niż sześć stóp wzrostu, duże cętkowane oczy o barwie kwitnącego bzu i takie kształty, że fala w lunaparku wygląda przy nich jak kawał zwykłego toru kolejowego. — Przerwałem na chwilę, nie dopuszczając jej jednak do głosu. — A co tam słyhać u doktora? — podjąłem wysuwając wolną ręką szufladę i wyjmując nową paczkę cameli. — Zabrał się za jakieś nowe eksperymenty?

— Doktor Van Getz miewa się doskonale, ale prawdę powiedziawszy nie bardzo rozumiem, dlaczego jego praca tak pana interesuje?

Zerwałem celofan z paczki i wystukałem papierosa.

— Zwykła ciekawość. Sama pani wie, jacy są prywatni detektywi. — Wetknąłem papierosa w usta i przetrząsałem kieszenie marynarki w poszukiwaniu zapalek. — A jak się czuje pani Van Getz? Wróciła już może do domu?

— Żona doktora to całkiem inna sprawa — powiedziała Auriol Winterfield lekko zakłopotana. — A skoro już o tym mowa, to dzwonię właśnie z jej powodu. — Zamilkła na chwilę, po czym podjęła, nieznacznie ścisząc głos. — Nie mogłam z panem o tym rozmawiać tamtego dnia, kiedy odwiedził pan klinikę. Ale jest pewna ważna sprawa. Czuję się w obowiązku powiedzieć panu coś o pani Van Getz. Zwłaszcza że prowadzi pan sprawę, która w jakiś sposób mogłaby jej dotyczyć.

Znalazłem pudełko zapalek, które podwędziłem podczas odwiedzin w klubie „Dżungla” i zapaliłem papierosa zastanawiając się, czy rzeczywiście wspominałem Auriol Winterfield lub doktorowi o sprawie, którą prowadzi. Jednak ani rusz nie mogłem sobie przypomnieć; zbyt wiele wydarzyło się od tamtej pory.

— Zamieniam się w słuch.

— Na miły Bóg! — wysapała ciężko Auriol Winterfield. — To, co muszę panu powiedzieć jest zbyt poufne jak na telefon.

Wydmuchałem trochę dymu.

— Więc co w takim razie?

Kolejna chwila ciszy.

— Ma pan może czas dziś wieczorem, panie Dime? — W jej głosie dało się niemal wyczuć skrzepowanie.

— Chyba tak. Co pani proponuje?

— Drinka u mnie. Mieszkam w starym kamiennym domu obok kliniki. Na prawo od głównego wejścia znajduje się dzwonek podłączony do mojego mieszkania. Proszę zadzwonić i czekać, wyjdę po pana. Odpowiada panu ósma trzydzieści?

Odparłem, że ósma trzydzieści to świetna pora, a ona powiedziała, że wobec tego będzie mnie oczekiwać, po czym oboje odłożyliśmy słuchawki.

Do wyjazdu z miasta pozostały jeszcze cztery godziny. Pierwsze dziesięć minut upłynęło mi na rozmyślaniach o Princeton, studentach z rocznika 1926 oraz dwóch samochodach, które widziałem zaparkowane obok siebie w podziemiach gmachu Fiska. Przemyslałem sobie także reakcję doktora Van Getza na pytanie, czy zna Louisa Botubota ze swojej dawnej Alma Mater. „Było tam tylu studentów, co szybów wiertniczych w Teksasie”, brzmiała jego odpowiedź. Po zastanowieniu doszedłem jednak do wniosku, że nie ma to żadnego znaczenia. Zgasłem papierosa, podniosłem słuchawkę i zadzwoniłem do informacji. Poprosiłem o numer telefonu uniwersytetu Princeton, zanotowałem go, po czym nacisnąłem widelki, by się rozłączyć i nakręciłem ten numer. Była już najwyższa pora, żeby wreszcie zająć się dochodzeniem zamiast bawić się w domysły.

Po kilku nieudanych próbach, trafianiu na niewłaściwe wydziały i tym podobnych historiach, w końcu udało mi się połączyć z podręczną biblioteką.

Panna Patack, bibliotekarka, która odebrała telefon była, sądząc po głosie, osobą niemłodą i chętną do pomocy.

— Czym mogę służyć? — spytała.

— Chodzi mi o „Alumni Weekly” wychodzący w Princeton. O ile wiem, przechowujecie u siebie komplet roczników?

— Mamy tu wszystkie numery, od pierwszego do ostatniego — powiedziała panna Patack w taki sposób, jakby chciała dać do zrozumienia, iż stanowią one jej prywatną własność. — A które konkretnie pana interesują?

— Chciałbym dowiedzieć się czegoś o dwóch wychowankach z rocznika 1926. Jeden z tych facetów, Louis Botubot, studiował prawo. A ten drugi, Victor Van Getz, najprawdopodobniej medycynę. Poza tym Van Getz był specem od szabli.

— Przykro mi — powiedziała panna Patack — ale nie wiem, w jaki sposób „Alumni Weekly” mógłby panu w tym pomóc.

— Liczyłem, że może dałoby się odgrzebać jakieś strzępy wiadomości mówiące coś o ich młodzieńczych latach, albo może nawet o czymś co, ich ze sobą łączyło?

Głos panny Patack nabrał większej rezerwy.

— A mogłabym wiedzieć, jaki użytek zamierza pan zrobić z tych informacji?

— To żadna tajemnica — odparłem. — Prowadzę rubrykę nekrologów dla filadelfijskiej „Post” i chciałbym wybiec trochę naprzód ze swoją pracą. Botubot i Van Getz są obecnie szacownymi obywatelami Filadelfii i później byłoby mi głupio, gdybym nie zamieścił choć jednej czy dwóch linijek o ich latach w Princeton. Jak sama pani widzi, moja praca ma niezwykle delikatny charakter i całkowicie wyklucza bezpośredni kontakt z tymi osobami.

Jak na wymyślone na poczekaniu, beczelne kłamstwo wyszło mi to całkiem nieźle. Sądząc jednak po pełnym niezdecydowania milczeniu, jakie zapadło po drugiej stronie linii, wymagało ono jeszcze uzupełnienia.

— Pewnie czytała pani ostatnio moje wspomnienie o Maurycym Maeterlincku, tym belgijskim poecie — powiedziałem. — Ukazało się jednocześnie w kilku gazetach.

— Zdaje mi się, że tak — odparła. — Ale nie zawsze mam okazję czytywać gazety. — Wyglądało na to, że dała się przekonać. — Muszę panu jednak powiedzieć, że informacje, których pan szuka, nie są uwzględnione w naszym katalogu alfabetycznym. Ich odnalezienie wymagałoby sporo pracy.

Przybrałem najśłodszy ton, na jaki było mnie stać po spędzeniu poranka z nieboszczkiem, a przedpołudnia na tłuczeniu Lonniego.

— A nie orientuje się pani, ile czasu by to zajęło? — spytałem. — Albo może inaczej: czy istnieje jakakolwiek szansa, że w ciągu , powiedzmy, najbliższej godziny udałoby się pani na coś trafić?

Panna Patack roześmiała się. A zrobiła to tak, jak starsze panie śmieją się z małych dzieciaków, którym nagle wyrwie się coś zabawnego.

— Obawiam się, że nie ma najmniejszej szansy — powiedziała, kiedy już doszła do siebie. — Nawet kiedy nie ma tu studentów, przeżywamy wyjątkowo gorący okres. To jedyna pora, kiedy jesteśmy w stanie zająć się uaktualnianiem katalogów. W podręcznej bibliotece mamy mnóstwo pracy, tak wiele, że większość ludzi nie może sobie tego nawet wyobrazić.

Odparłem, że ja mogę to sobie wyobrazić znacznie lepiej niż większość ludzi, bo sam także jestem takim jakby trochę podręcznym facetem, po czym zapaliłem kolejnego papierosa.

— Pan, zdaje się, mówił, że pracuje w Filadelfii, tak? — zapytała, gdy ja tymczasem napełniłem się papierosowym dymem aż po czubki palców u nóg.

Potwierdziłem.

— W takim razie sam pan może poszukać tych informacji. Jak mi wiadomo, biblioteka publiczna w Filadelfii posiada niemal cały komplet roczników „Alumni Weekly”. Brak im tylko pierwszych numerów, ale to przecież nie ma żadnego znaczenia dla pańskich poszukiwań.

Była to dobra wiadomość, a w dodatku tak niespodziewana, że aż dym wpadł mi nie tam, gdzie trzeba. Zanosząc się gwałtownym kaszlem rzuciłem słuchawkę, ślaniając się na nogach okrążyłem dwukrotnie biurko, klepnałem się w plecy i ponownie usiadłem. Kiedy już przestałem się dusić, wziąłem słuchawkę i zanim odłożyłem ją na dobre, podziękowałem jeszcze pannie Patack za pomoc. Potem nalałem sobie filiżankę wody z ochładzaczka, pociągnąłem spory łyk, i kiedy mój oddech wrócił już całkowicie do normy, spojrzałem na zegarek. Na dotarcie do centrum miasta przed zamknięciem biblioteki pozostała mi niespełna godzina.

Przed wyjściem z biura musiałem jednak zadzwonić jeszcze do Nancy, by powiadomić ją o śmierci Botubota, to znaczy, o ile nie dowiedziała się już o tym z czołówek wieczornych gazet. Chciałem także zapoznać ją z moją najnowszą teorią na temat udziału Stipella we wrobień Chucka w morderstwo.

Wyciągnąłem telegram z kieszeni i połączyłem się z recepcjonistą hotelu o nazwie „Dragona”. Brzmienie jego głosu raczej nie wskazywało na to, by osobnik ten miał na brodzie dwudniową szczecinę obrastającą wygasły niedopałek cygara. Tonem dającym do zrozumienia, że ceny noclegów w tym hotelu nie schodzą poniżej dwudziestu dolców oznajmił mi, iż panna Canady jest w tej chwili nieobecna i czy wobec tego nie chciałbym zostawić dla niej wiadomości. Odparłem, że nie mam dla niej żadnej wiadomości, dodając, że zadzwonię później.

Czując się zupełnie jak dzieciak, który właśnie zobaczył, że pies zjadł mu cukierka, zamknąłem biuro i wyruszyłem samochodem do miasta.

## 25.

Kiedy jechałem na spotkanie przy autostradzie numer jeden, po zachodniej stronie Kirklyn, z olbrzymich wodnistych chmur, które rozlały się po niebie nad doliną Delaware niczym atrament ośmiornicy, lunął ołowiany deszcz. Z konieczności posuwałem się w iście żółtym tempie. Ulewa ani myślała zelżeć, ostatecznie jednak dowlokłem się do kliniki Van Getza, choć niezupełnie o ósmej trzydzieści.

Zaparkowałem w tym samym miejscu co ostatnim razem, postawiłem kołnierz i pędem pobiegłem wysypaną żwirem ścieżką do szklanych drzwi kliniki. Ponad wysokim, opadają-

cym po stoku lasem za starym domem przeleciała błyskawica. Towarzyszące jej świsty i trzaski zwały się w przeciągły grzmot, przywodzący na myśl wysadzanie dynamitem litej skały. Odczekałem, aż fortissimo łoskotu przejdzie w łagodny pomruk, i nacisnąłem dzwonek z napisem: „Pani A. Winterfield”.

Drzwi otworzyły się prawie natychmiast i na frontowej ścianie domu ujrzałem jaskrawożółty trójkąt, stanowiący tło dla sekretarki doktora Van Getza. Auriol Winterfield, z wielką parasolką w ręku, bosą podbiegła do mnie zwinnymi susami, unosząc rąbek długiej do pół łydki sukienki.

Schroniłem się koło niej pod bawełnianą osłoną i wziąłem ją pod rękę. Po drodze przez trawnik na werandę wymieniliśmy powitalny uśmiech.

— Paskudna pogoda — odezwała się w końcu Auriol Winterfield, strzepując wodę z parasolki i zamykając drzwi. — Zawsze się bałam piorunów.

Wrzuciła parasolkę w antyczny żelazny stojak na laski i uśmiechnęła się. Staliśmy w długim korytarzu z licznymi drzwiami po obu stronach; szerokie schody przed nami prowadziły na półpiętro.

Auriol Winterfield miała na sobie luźną, wydekoltowaną lnianą sukienkę bez pleców, utrzymaną w tonacji różowej i ozdobioną przy staniku i w talii sztucznymi perłami i brylancikami. W uszach i wokół gardła również nosiła perły i brylanty, te jednak były prawdziwe.

— Proszę się rozgościć, panie Dime — powiedziała wskazując na otwarte drzwi po lewej. — Ja tymczasem wytrę stopy i poszukam pantofli. Wracam dosłownie za chwilkę.

Zaczekałem, aż wejdzie ciemnymi schodami na półpiętro i zniknie za zakrętem, po czym zajrzałem do długiego, niskiego pokoju. Wyglądało na to, że mimo swych dwustu lat spokojnie przetrwa następne dwa wieki. Ze ściany na wprost długiego, ponurego zegara, który dawno już przestał odmierzać czas, padało dyskretne światełko, któremu w sukurs szedł nikły blask ognia na palenisku kominka z surowego kamienia.

Kominek z obu stron otaczały aksamitne kanapy o barwie dojrzałych brzoskwiń. Stały frontem do siebie, przedzielone tylko kufrem z posagu starszej pani, którego poplamione zielone ścianki zdobiły trzy łukowate intarsje przedstawiające splecione w uścisku jednorożce na tle pajęczyny kwiatów. Na wieku stała pełna czerwonych jabłek płaska brązowa misa z emaliowanej gliny, zapewne rówieśniczka kufra.

W tle rozbrzmiewała cicha muzyka — harfy i ckiwe smyczki — kojarząca się z hollywoodzką wersją opowieści biblijnych, a zwłaszcza ze sceną, w której Saba, odprawivszy pokojówkę, podejmuje Salomona kawą i ciasteczkami.

Gramofon stał na orzechowej szafce, prezentującej się nader stosownie pod oknem witrażowym z nieodkrytymi okiennicami. Przeszedłem przez zwyczajny dywan o barwie owsianki, przykrywający wypolerowane, nierówne deski podłogi, kierując się do popielniczki na gramofonie. Podniosłem okładkę płyty, na której łysy Słowianin w gorsie i fraku wymachiwał batutą. To jednak nie okładka zwróciła moją uwagę, lecz ciemne światło padające z pokoju, w którym — jak to sam kiedyś słyszałem — Auriol Winterfield czytała na głos Belindzie Van Getz. Co pewien czas jakiś cień przesunął się powoli po żółtej plamie światła na mokrej trawie za oknem — ktoś chodził po pokoju.

Odłożyłem okładkę, bo weszła Auriol Winterfield. Miała teraz na nogach pantofle na wysokim obcasie, idealnie dopasowane odcieniem do różowej sukni. Ale nie była to jedyna zmiana. Dziewczyna wyjęła z koka małą złotą szpilkę, dzięki czemu włosy spłynęły jej długimi falami na ramiona, a szyja wydawała się jeszcze bardziej łabędzia. W mrocznym świetle włosy zlewały jej się z ciałem, przez co wyglądała jak wyrzeźbiona w zlocie.

— Drugi Rachmaninowa pod Kusewickim — wyjaśniła z podziwem, kiedy muzyka, jakby na zawołanie, doszła do kulminacji.

— Ja bardziej gustuję w tym, co robi Winky Finklenook — odparłem.

Auriol Winterfield uklękła przy kominku.

— Finklenook? Czy miałam okazję poznać jego twórczość?

— Wątpię. — Uśmiechnąłem się poprzez chmurę dymu. — Winki grał na tarce z Kansas City Hillbilly Five. Wysmażyli nawet jedną płytę, ale zanim ktokolwiek zdążył ją wrzucić na talerz, zeżarł ją muł, który ciągnął ich wóz.

Roześmiała się w głos, podnosząc polano ze stosu szczap obok kominka.

— Natrząsanie się z gospodyni nie najlepiej świadczy o wychowaniu — zganiała mnie.

Nastąpiła krótka przerwa w konwersacji, gdy dziewczyna wrzuciła polano do ognia i poprawiła je mosiężnym pogrzebaczem.

— Zapewne dziwi pana rozpalanie kominka w środku sierpnia, panie Dime — podjęła, gdy płomienie z traskiem otoczyły szczapę — ale prawdę mówiąc, należę do stworzeń zimnokrwistych, a w tych kolonialnych domach jest tak zimno. Niektóre mają ściany metrowej grubości.

— Dzięki temu powstrzymały czerwonoskórych — wtrąciłem.

Uśmiechnęła się przez grzeczność.

— Poza tym ogień na kominku jest taki przytulny i... — spojrzała mi w oczy i splonęła rumieńcem. — I chyba romantyczny?

Po raz pierwszy jej głos nie przypominał arbitra, który podaje stan meczu tenisowego. Był ciepły, że aż miło. Choć z drugiej strony nie brzmiał swobodnie.

Blondynka odeszła od kominka.

— Ale my tu gadu, gadu, a ja nawet nie zaproponowałam panu nic do picia. Proszę mi wybaczyć. Czego pan się napije? — Przystanęła koło suto zastawionej srebrnej tacy na wózku zaparkowanym pod wielkim brezentem. — Miło mi stwierdzić, że mamy wszystkiego pod dostatkiem.

Dołączyłem do niej i rzędu butelek. W pantoflach na wysokim obcasie była dokładnie mojego wzrostu.

— Łyknię szkockiej z lodem — odparłem.

Pani Winterfield podniosła kryształową szklankę.

— Widać, że należy pan do mężczyzn o niewyszukanych gustach — oświadczyła nalewając szczodłą porcję przedniej whisky. — Może to zresztą i prawda, że najprostsze rzeczy dostarczają nam najgłębszych przeżyć. — Uniosła pokrywkę kubelka na lód i skrzywiła się. — Ogromnie mi przykro, ale nie ma lodu. Zupełnie o tym zapomniałam. Przepraszam na chwilkę, pójdę się zająć pańską whisky.

Auriol Winterfield odplynęła, zabierając moją szklankę ze sobą. Stojąc przy barku, zabijałem czas podziwianiem płótna przedstawiającego stary dworek. Najmniejsze źdźbło trawy, najmniejszy liść czy cegłę odpicowano tak, że okładka „Saturday Evening Post” wyglądałaby przy tym jak pobieżny szkic.

— Piękny, prawda? — odezwała się nad moim ramieniem pani Winterfield. — To mój dom rodzinny, namalowany przez miejscowego artystę w czasach, gdy jeszcze był zupełnie nieznan. Teraz, o ile mi wiadomo, cieszy się międzynarodową sławą.

— Taki sam efekt można by uzyskać na kliszy kodaka — odparłem. — Tylko że zdjęcie kosztowałoby trzydzieści centów.

— Fotografia to jednak nie sztuka, panie Dime. Nie jest wytworem wyobraźni, lecz efektem gry światła, utwalonym za pomocą kuwety z chemikaliami. Zdjęcia przypominają nam tylko znane z przeszłości widoki, ale w przeciwieństwie do obrazu, nie mówią, jak na nie patrzyliśmy.

Podawała mi whisky, uzupełnioną lodem.

— Pochodzę z Vermont — ciągnęła wracając do tacy. — Przepiękna okolica, na południe od Newport. Zna pan te strony, panie Dime?

— Przejeżdżałem kiedyś tamtędy. — Upiłem łyk whisky. Łagodna i słodkawa, nie zabrała mi śluzówki z podniebienia. — Tak swoją drogą, chyba już czas przejść do tej ważnej



sprawy, o której nie mogła pani rozmawiać przez telefon? — dodałem przysiadając na skraju jednej z dwóch kanap.

Nalała sobie soku pomidorowego z małej buteleczki i usiadła obok mnie.

— Przepraszam — rzekła. — Gdybym wiedziała, że spieszy się pan z powrotem... — Zawiesiła zdanie w powietrzu.

— Wcale mi się nie spieszy. Po prostu jestem ciekawy.

Do ciekawości doszło jednak coś jeszcze. Cała ta kombinacja z lodem wydała mi się podejrzana. Było to tak sprzeczne z jej charakterem, że prędzej już chyba Hitler najechałby Polskę bez swojego wąsika. Jeśli jednak szykowała coś więcej niż tylko parę szklaneczek, to nie pozostawało mi nic innego, jak czekać.

— To cudownie — szepnęła. W jej oczach zamigotały ogniki z kominka. — Chwilowo nie leczymy na miejscu żadnych pacjentów, doktor Van Getz wyjechał, więc mam cały wieczór tylko dla siebie.

Pomyślałem o papierosach, ale z whisky było mi całkiem dobrze. Po chwili jednak uznałem, że z papierosem będzie mi jeszcze lepiej, toteż zapaliłem camela i cisnąłem zgaszoną zapalkę w ogień.

— Nie czuje się tu pani samotna? — spytałem gdy płomienie strawiły cienki patyczek. — To duże mieszkanie jak dla jednej osoby.

— Samotność jest stanem umysłu, panie Dime. Tak jak strach czy może śmierć. A zresztą pracując dla kogoś takiego jak doktor Van Getz ma się pełne ręce roboty. Gdybym chciała sobie wziąć wolne, to mam stąd bezpośrednie połączenie telefoniczne z kliniką oraz telefon wewnętrzny. — Jakby dla podkreślenia swych słów, zatoczyła łuk ręką. — Doktor Van Getz mówi, że jego dzwonek obudziłby umarłego.

— Często tu macie truposzy? — zainteresowałem się, popijając whisky.

— Wie pan dobrze, panie Dime, że mówiłam przenośnie. — Spojrzała na moją prawie pustą szklanę. — Doleję panu.

— Czy to mieszkanie służbowe? — spytałem.

— Owszem — odparła. — Dlaczego pan pyta?

— Żeby podtrzymać rozmowę nie wspominając o Belindzie Van Getz. — Przerwałem i przysałem się do papierosa. — Czy nie o to pani chodzi?

Auriol Winterfield podała mi drugą szkoćką i znów usiadła w rogu kanapy.

— Niech mi pan powie, panie Dime — rzekła opierając gołe plecy o pstrokate poduszki — skąd panu to przyszło do głowy?

— Myślałem, że pani mi to wyjaśni, pani Winterfield. — Odstawiłem nietkniętą szklanę na kufer, obok jej soku pomidorowego. — To tylko przecucie. Miewam je od czasu do czasu. Można by rzec, że to zboczenie zawodowe.

Z ciepłym, łagodnym uśmiechem wyjęła mi papierosa z dłoni i rzuciła go w ogień. Spuściła oczy i spojrzała na mnie przeciągle, znacząco, a wszystko to z łatwością, z jaką chiński kuglarz obraca talerzami na czubkach bambusowych kijów.

— O zboczeniach zawodowych opowiesz mi później — szepnęła muskając czubkami palców mój policzek. Rozchyliła usta i pochyliła się, zrzucając pantofle i zamykając oczy. — Pocałuj mnie.

Głośno przełknąłem ślinę, próbując znaleźć stosowny do sytuacji odpowiednik słowa „nie”. Ale i tak nic by mi z niego nie przyszło, nawet gdyby moje poszukiwania okazały się owocne. Auriol Winterfield zarzuciła mi ręce na szyję i przycisnęła mnie mocno, kładąc swe usta na moich. Miała cienkie, twarde w dotyku wargi, tylko na samym środku dostatecznie miękkie, by mogły całkiem przylgnąć do moich. Ale nie narzekałem. Gdy dłużej już nie potrafiłem się opierać, Auriol Winterfield wsunęła mi czubek języka między zęby i przystąpiła do wymyślnych pieszczot mojego gardła. W końcu cofnęła się, lecz niedaleko, wciąż jeszcze mogła odczytać pod kołnierzykiem mój numer koszuli.

Jej perfumy, nocny jaśmin zmieszany z piżmem, były odurzające.

— To dla ciebie nie pierwszyna — wychrypiałem. — Już ja się na tym znam.

— Pocałuj mnie jeszcze — mruknęła rozluźniając mi krawat.

— Przecież jesteś mężatką — zaprotestowałem. — A jeśli wejdzie twój mąż?

— Jestem mężatką, to prawda — przyznała głosem tak gładkim, jak ruch jachtu po jeziorze w poświęcie księżycy. — Ale rozwiodłam się dawno temu. Moje obecne małżeństwo jest zupełnie innego rodzaju, dużo głębsze i trwalsze.

Rozpięła górne guziki mojej koszuli i łagodnie zaczęła masować mi szyję. Chciałem ją powstrzymać, lecz byłem dziwnie ociężały, jak gdybym próbował płynąć w betonowych slipach.

— To znaczy jakie? — spytałem powoli.

— Za głupi jesteś, żeby to zrozumieć. — Jej nastrój zmienił się nagle. Szybko wstała z kanapy.

— Czyżby? — rzuciłem. Ale już tego nie słyszałem. Słowa wyrwały mi się z ust i zniknęły, a serce zaczęło mi łomotać o pierś niczym ześlony pijak dobijający się do meliny w czasach prohibicji.

— Co się dzieje? — wyjąkałem całkiem niepotrzebnie.

Kwas barbiturowy odkryto w roku 1864. Jego pochodne są szeroko znane jako barbiturany i niemal wszystkie działają nasennie. Pierwszym lekarstwem wyprodukowanym na bazie tego kwasu był wprowadzony do obiegu w 1903 roku weronal, a następnie luminal — pierwsza nazwa handlowa fenobarbitalu. Od tej pory rynek zarzuca się setkami kolejnych odmian wszelkich możliwych kształtów, wielkości i kolorów. Pojawiają się w formie kapsułek, tabletek, syropów i proszku, a także zmieszane z czym tylko się da, począwszy od witamin, a skończywszy na środkach neutralizujących kwas. Ja zaś właśnie wypilem dawkę barbituranów rozpuszczonych w whisky. Trudno o gorszą kombinację.

Z niemałym trudem opuściłem nogi na dywan i wstałem. Podłoga była gąbczasta jak ciasto według przepisu Betty Crocker. Pokuśtykałem kawałek na miękkich kolanach, wyciągnąłem rękę do nie istniejącej poręczy i runąłem sztywny jak podszywka tandetnego prochowca. Leżąc nie czułem bólu; szeroko otwartymi oczami wpatrywałem się w stare, chropowate krokwie, próbując zmusić ręce i nogi do tego, co nakazywał im mózg. Z oddali dobiegł mnie czyjś głos:

— Nie fatyguj się. Etap, w którym mógłbyś się jeszcze zmobilizować, masz już dawno za sobą. Jeszcze trochę, a przestaniesz nawet oddychać.

— Wszedłem ci w drogę, tak? — Mój głos był cichy i ochryply, jak gdyby dobiegał z megafonów na stacji Penn Central. — A może cię tylko zirytowałem? W każdym razie zagrażam dziełu doktora Van Getza Zwłoki mają jednak to do siebie, że się je znajduje. Nawet w przypadku prywatnych detektywów. Potem koroner je kraje i znajduje to, czego w nich być nie powinno. — Zmuszałem się do każdego słowa, kleciłem zdania tak, jak drukarz kleci ręczny skład czcionką Bodoniego. — A w końcu koroner daje znać na komendę i zanim zdążysz powiedzieć „Drugi Rachmaninowa pod Kusewickim” gliny wykopują drzwi i recytują ci twoje prawa.

— Pańskim zwłokom, panie Dime, żaden koroner nie zechce się przyjrzeć. — Auriol Winterfield wybuchnęła śmiechem. — A jeśli nawet, to stwierdzi, że jakiś pijaczyna wjechał podczas burzy do rzeki. Na tym odcinku Brandywine takie wypadki są na porządku dziennym.

Zmusiłem się, by unieść głowę i spojrzeć na Auriol Winterfield. Przez sekundę widziałem dwie twarze, potem trzy, cztery... A potem, wraz z całym pokojem, jej lawendowe oczy, spłowiałe włosy i bladoróżowe wargi rozplynęły się, migocąc niczym ściany tunelu oglądane przez zaciemnione szyby rozpędzonego wagonu metra.

## 26.

Zapadałem się w otchłań. O dziwo, nie widziałem bezgłowych potworów, szalejących demonów, dołów z pełzającymi węzami, ba — nawet odziana w łachmany śmierć na czarnym koniu nie przegalopowała korytarzami piekieł. Mój sen był spokojny jak para wełnianych gaci suszących się na słońcu.

Najpierw ujrzałem, że jako dorosły patrzę na swoją dziecięcą postać. Po chwili stałem się dzieckiem. Niczym jaskółka śmigiałem po bezchmurnym, błękitnym niebie, nad ciągnącymi się po bezkresny horyzont łąkami, upstrzonymi miriadami jaskrów. Później zmieniłem się w chłopca w marynarskim mundurku. W cieniu rozłożystego cisu popijałem lodowatą lemoniadę, wsłuchany w ciche bzyczenie pszczół w ogrodzie różanym, odległy zgrzyt piły tartacznej i wysoki, nieustający warkot małego, jednosilnikowego samolotu, który zataczał koła po niebie. Stopniowo odgłosy te przybrały na sile, zwały się w jeden natarczywy, narastający crescendo dźwięk, który przerwało staccato wystrzałów z rewolweru. Sześć strzałów i dziki ryk, który okazał się krzykiem kobiety.

Długo wracałem do przytomności, wreszcie jednak mój sen bladł niczym obraz w kinie, gdy nagle zapali się światło.

Otworzyłem oczy i stwierdziłem, że leżę jak długi na podłodze, a donośny dzwonek telefonu wewnętrznego w gabinecie doktora Van Getza terkocze niecierpliwie. Leżałem na wznak, z niejasnym wrażeniem, że moją głowę wykorzystano jako gong obiadowy w przytułku dla niesłyszących. Prawą stopę miałem właściwie w ogniu — usmażona skóra buta stanowiła miniaturowy piekarnik. To właśnie przysmażone palce u nogi przedwcześnie wyrwały mnie z narkotycznego snu. Podciągnąłem nogę i dowlokłem się do kanapy. Nie miałem siły schylić się i zмагаć się ze sznurówkami, opadłem tylko na oparcie, czekając, aż wystygnę.

Po dłuższej chwili przełamałem słabość na tyle, by pokuśtykać przez pokój do otwartych drzwi. Auriol Winterfield przepadła bez śladu, za to w klinice paliło się drugie światło, a dzwonek wciąż terkotał natarczywie.

Wytoczyłem się na kamienne schody między śpiącymi trawnikami, wdychając rześkie nocne powietrze.

Z niedawnej ulewy pozostał tylko drobny kapuśniaczek, który przyjemnie omywał mi twarz, ale nie ułatwiał chodzenia. Dwa razy pośliznąłem się na śliskiej trawie, zanim wyszedłem na żwirowaną ścieżkę prowadzącą do drzwi frontowych kliniki. Tuż za moim pontakiem stał przedwojenny, ośmiocylindrowy ford-kabriolet z białymi oponami. Miał zapalone reflektory. Ciemna, garbata karoseria lśniła na deszczu niczym grzbiet ropuchy. Przytrzymując się jeszcze ciepłej maski wozu, wszedłem na stopień i zajrzałem przez boczną szybę do środka. Pomimo ciemności, bez trudu dostrzegłem na siedzeniu kierowcy otwarte pudełko amunicji kaliber 0,45. Na dobrze utrzymanej, choć nieco wytartej tapicerce leżał też złożony parasol z trzcinową rączką, obok niego zaś staromodny kapelusz pilśniowy, jakże typowy dla Anglików. Był wywrócony podszewką do góry, dzięki czemu dostrzegłem metkę kapelusznika z Savile Row, w Londynie.

Po chwili wythnienia puściłem się forda i względnie normalnie wszedłem po schodkach w otwarte drzwi kliniki.

Wielką, kanciastą poczekalnię oświetlało kilka mrocznych kinkietów w kształcie półksiężycy. Po raz pierwszy, odkąd odzyskałem przytomność, zdziwiłem się, co jeszcze robię wśród żywych.

Wsunąłem rękę pod marynarkę, szukając broni. Bez skutku. Przepadła. Została mi pusta kabura. Bezbronny, rozkojarzony i nieco wystraszony, stałem wyżejając słuch. Dzwonek w

starym kamiennym domu już ucichł, towarzyszyły mi tylko cienie, nieznane wnętrza oraz iście grobowa cisza.

Przez otwarte na oścież drzwi do korytarzyka prowadzącego do gabinetu doktora Van Getza dojrzałem następne kinkiety na ścianach. Na palcach ruszyłem po wypolerowanych deskach z drewna cedrowego. Czułem się okropnie. Ból głowy nasilał się z każdym krokiem, w dodatku usta zasypano mi chyba talkiem. Czułem się, jakbym właśnie skończył milion lat. Dość miałem chodzenia po korytarzach, wyczekiwania za zamkniętymi drzwiami i kombinowania, w jaki bigos wpadnę po drugiej stronie. Męczyło mnie już to wieczne rozmijanie się z czasem o dzień wte czy wewte. Czułem się jak pierwszy i ostatni prywatny łaps na tym świecie, jak detektywistyczna alfa i omega. Chciałem krzyknąć, że mam już tego dość, że jestem do wzięcia. Dla pierwszego lepszego klienta, który zaproponuje mi dwadzieścia pięć centów i miękkie ramię, na którym mógłbym się wypłakać.

Nagle poczułem zapach kordytu. Silniejszy niż powiew perfum z damskiej rękawiczki, o wiele silniejszy. Taki, jak po wystrzeleniu całego bębena rewolweru kaliber 0,45. Od drzwi gabinetu doktora Van Getza dzieliły mnie ze dwa metry. Gryzący zapach przybrał na sile, gdy zrównałem się z uchylonymi drzwiami. Pchnąłem je czubkami palców, zaczekałem, aż cofną się na zawiasach, i dopiero wtedy wszedłem do pokoju.

— Śmiało, panie Dime — usłyszałem dobiegający z półmroku głos, który wydawał mi się dziwnie znajomy. — Strzelanina skończona.

W ponurym, mrocznym pokoju, gdzie doktor Van Getz wysłuchiwał niegdyś zwierzeń bogatych starszych kobiet, znajdowały się trzy osoby. Milczące, sztywno wyprostowane, przypominały postacie z wiktoriańskiego dramatu w ostatniej scenie przed zapadnięciem kurtyny. Jedna z nich miała już tak pozostać na zawsze.

Mężczyzna, który mnie powitał, siedział na skórzanej kozetce. Ubrany był w rozpięty ciemnoszary płaszcz, kamizelkę w czerwono-złote pasy oraz frakową koszulę z muszką. Miał mądre, przysłonięte powiekami oczy z głębokimi zmarszczkami po bokach oraz grube fałdy chropowatej skóry pod brodą. A jednak reszta jego starczej skóry była zadziwiająco gładka, o barwie i fakturze pasty łososiowej. Pod wysokim czołem i garbatym arystokratycznym nosem widniały proste, zaciśnięte usta, niżej zaś długi, lekko wysunięty podbródek. Wypielęgnowane rzadkie włosy miały ten sam odcień co srebrnoszare przystrzyżone wąsy. Całą postać cechowała ta sama godność, która przebijała z głosu tego człowieka.

Trzymał on w ręku wojskowy rewolwer, tym tylko różniący się od handlowej wersji tego modelu firmy Smith Wesson, że niebieskie wykończenie było matowe, a nie błyszczące. Inna sprawa, że z punktu widzenia kogoś, kto znalazł się na linii strzału, mógłby mieć białoczerwono-niebieskie gwiazdki. Kula kalibru 0,45 przechodząc przez ciało i krew niewiele za sobą zostawia.

Niepewnie przeszedłem na środek pokoju, nie spuszczać wzroku z broni.

— Zostało coś jeszcze w tej armacie? — spytałem dziwiąc się, jak spokojnie brzmi mój głos.

Stary uniósł rewolwer, bym mógł się lepiej przyjrzeć, przekręcił kciukiem pusty bębenek i rzucił broń na podłogę. Z lufy wciąż ulatywał dym.

— Nikogo dotychczas nie zabiłem — powiedział. — Jednakże nie myślę się chyba sądząc, iż doktor Van Getz nie żyje?

Zerknąłem na doktora i przytaknąłem. Ubrany w biały lekarski fartuch, leżał oparty twarzą o blat biurka. Jedna ręka zwisała mu swobodnie, druga, zagięta, otaczała głowę, jednocześnie naciskając przycisk, który uruchomił dzwonek telefonu wewnętrznego w domu Auriol Winterfield. Przez otwarte drzwi gabinetu znowu słyszałem go wyraźnie. Dokoła pełno było krwi, która litrami wyciekała z podziurawionych zwłok doktora. Ale nie wszystkie kule doszły celu. W drewnianej boazerii za biurkiem ujrzałem dwie odłupane drzazgi, a na suficie

czarną plamę. Sądząc jednak z krwawej kapieli, w której pławił się wielki, kościsty łeb Van Getza, przynajmniej jedna kula przebiła mu czaszkę. Nie widziałem otworu wlotowego, ale obok łokcia doktora zebrała się różowa mokra masa przypominająca psie rzygowiny, która wyciekła strumyczkiem z dziury w czaszce, gdzie kiedyś znajdował się jego mózg.

Trzecią *dramatis personae* była Auriol Winterfield. Ni to siedziała, ni to klęczała u stóp zmarłego, gołymi ramionami obejmując grube uda doktora. Twarz i włosy miała umazane jego krwią. Podwinięta sukienka odsłaniała jej nogi. Zobaczyłem, jak duża czerwona kropla krwi spada z krawędzi biurka na odkryte udo i ścieka dalej na parkiet. Auriol Winterfield nie zwróciła na to uwagi, jej wszystko było obojętne. Szok sprawił, że zastygła jak sparaliżowana; gdyby nie strumienie łez na policzkach, spokojnie można by ją wziąć za kolejnego nieboszczyka.

Odwrociłem się do człowieka na kozetce.

— Wcale nieźle, jak na pierwszy raz — stwierdziłem. — Bałagan wprawdzie niewąski, za to sukces pełny. — Podeszedłem bliżej i dorzuciłem cieplejszym tonem: — Może chce pan się przed kimś wygadać?

— To bardzo uprzejmie z pańskiej strony — odparł starzec poważnie. — Sądzę jednak, że najpierw powinienem się przedstawić. — Odchrząknął i dodał ciut mniej formalnym tonem: — Nazywam się Teagarden. Do dziś byłem osobistym lokajem pana Louisa Botubota. Prawdę mówiąc, miałem okazję spotkać się z panem, choć tylko przelotnie. Z żalem muszę stwierdzić, że spotkanie to miało jednostronny charakter.

— Rozmawialiśmy przez telefon — rzekłem. — Wtedy, jak dzwoniłem w związku z aktami Botubota w sprawie Chucka Westerna. Ale nie przypominam sobie, żebyśmy się spotkali?

Teagarden pochylił głowę.

— Czy chce pan, żebym to wyjaśnił?

Podeszedłem do biurka i zdjąłem rękę Van Getza z przycisku. Brzęczenie ustało natychmiast; zapadła odświeżająca jak zimny prysznic cisza.

— Jasne, nie ma to jak wyjaśnienie. — Na biurku stał także normalny telefon. Zostałem komplet odcisków palców na słuchawce i obejrzałem się na lokaja. — A może bym tak zaprosił tu gliny? Coś mi się zdaje, że oni też by chcieli posłuchać.

Teagarden siedział pochylony, z rękami zwieszonymi po bokach.

— Wszystko w swoim czasie, proszę pana — oświadczył prostując się i spoglądając mi w oczy. — Ostrzegam, że w obecności policji moje zeznanie w znacznym stopniu będzie się różnić od tego, co gotów jestem powiedzieć panu.

Otworzyłem paczkę cameli i stanąłem przed lokajem.

— To znaczy? — spytałem podsuwając mu papierosy. Odmówił kiwnięciem głowy.

— Dowiedzą się tylko, że zabiłem Van Getza, to wszystko. Bez żadnych motywów, jedynie suche stwierdzenie faktu. Powiem im, że mogą ze mną robić, co chcą.

Zapaliłem papierosa i rozejrzałem się za popielniczką. Na niskim stoliku pełnym dziecięcych zabawek stała blaszana lokomotywa. Podniosłem ją i usiadłem na skórzanym krześle przy kozetce.

— Ale mnie zdradzi pan więcej?

— Naturalnie — odparł Teagarden. — Jak rozumiem, fakty te mają bezpośredni związek ze sprawą, w którą został pan uwikłany. Co więcej, wierzę, że detektywa prywatnego wiąże z klientem tajemnica zawodowa podobna tej, jaka istnieje między lekarzem a pacjentem. — Uniósł brwi, tworząc nad brwiami sekstet zmarszczek. — Mam rację?

Skinąłem głową.

— Zdarza się, nie powiem.

— Otóż to — ciągnął Teagarden. — Niestety, policja nie wykazuje szacunku dla spraw intymnych. Uniemożliwiają to ich konszachty z prasą. W miarę mojej opowieści zrozumie

pan jednak, że powody, dla których splamiłem rękę morderstwem, muszą pozostać w tajemnicy. Proszę jedynie o to, żeby potraktował mnie pan tak, jak klienta.

— Z miłą chęcią — odparłem. — Ale jeśli chce mi pan coś opowiedzieć, to niech się pan streszcza. — Wskazałem kciukiem nogi Auriol Winterfield, jedyne widoczne dla nas części jej ciała. — Pół godziny temu chciała mi zorganizować ostatnią w życiu kąpiel w Brandywine. Gdyby Van Getz padając na biurko nie uruchomił dzwonka, pewnie bym już nie żył. Szok minie lada chwila. A skoro już raz próbowała mnie dziś załatwić, nie zdziwię się, jeśli spróbuje ponownie.

Lokaj zdobył się na starczy, niewesoły uśmiech, składający się w jednej trzeciej z ironii, a poza tym sardoniczny, z kilkoma kroplami melancholii i domieszką znużenia. Nikt nigdy nie uśmiechnął się równie twardo.

— Sądzę, że nie musimy się obawiać dalszych kłopotów ze strony pani Winterfield — stwierdził. — Ona działała jedynie jako narzędzie woli Van Getza. Teraz, kiedy już doktor nie żyje, jest całkiem nieszkodliwa.

Strzepnąłem popiół z papierosa do węglarki za lokomotywą.

— Nie spotkałem jeszcze nieszkodliwej kobiety — odparłem spoglądając na lokaja. Dopiero teraz zauważyłem, że nosi białe bawełniane rękawiczki i że dłonie mu się lekko trzęsą.

Spytałem go, jak się czuje.

— Przypuszczam, że nie ma pan żadnego alkoholu? — rzekł Teagarden. — Czuję się doprawdy nieszczególnie.

— W domku za kliniką jest whisky i nie tylko. Ale nie polecałbym tego. Chyba że do kompletu brakuje panu kaca. — Widząc, że patrzy na mnie pustym wzrokiem, dorzuciłem: — Tutaj serwują gorzałkę z wkładką.

Pokiwał głową.

— Rozumiem. W takim razie chętnie skorzystałbym z pańskiego papierosa, skoro pan tak uprzejmy.

Nachyliłem się z otwartą paczką cameli i podałem staremu ogień. Dopiero z tak bliska uświadomiłem sobie, że jest o wiele wyższy, niż mi się zdawało — chudy, mizerny starowina o niezwykle wielkich stopach. Jego nieskazitelne buty z juchtowej skóry miały głębokie zagięcia tuż za palcami. Wyglądało na to, że Teagarden spędził niemało czasu, przemykając się w nich bezszelestnie po dywanach.

— Dziękuję panu — odparł lokaj uprzejmie. Szybko, niema! ukradkowo zaciągnął się kilka razy, odetchnął i trzymając papierosa koniuszkami długich białych palców, rozpoczął opowieść.

## 27.

— Nastąpiłem w domu Botubotów w dniu narodzin panicza Louisa. — Teagarden przyznał oczy, jak gdyby przywołując obraz tego zdarzenia. — Louis miał rodzeństwo, starszą o trzy lata siostrę Elly. Poród był trudny i niecały tydzień po przyjściu Louisa na świat jego matka umarła. Ta nagła śmierć zupełnie załamała ojca Louisa, Gilberta. W rezultacie coraz bardziej zamykał się w sobie, ponury i nieprzystępny. Nigdy wprawdzie nie okazywał ciepła, teraz jednak przechodził sam siebie, by odtrącić uczucia swych dzieci, które — jak się pan chyba domyśla — z powodu braku matki były tym gorętsze.

Teagarden spojrział na papierosa, ale nie podniósł go do ust. Wystarczała mu sama jego

obecność, sam niebieskawy dym, który bezgłośnie unosił się długimi smugami.

— Jednakże pięć lat po śmierci żony Gilbert Botubot ożenił się ponownie, z kobietą dwa razy młodszą od siebie — ciągnął lokaj. — Smutne to, lecz, w przeciwieństwie do siostry, Louis nie potrafił sobie ułożyć stosunków z macochą. Od samego początku zarysowała się przepaść nie tylko między macochą i pasierbem, lecz także między Gilbertem a Louisem. Sytuację zaostrzał fakt, że w tysiącu drobnych konfliktów, które zatruwają życie rodzinne, Gilbert zawsze brał stronę swej żony, a nie syna.

Teagarden przerwał, bo popiół spadł mu z papierosa na spodnie w prążki. Strzepnął go kantem dłoni, zostawiając na rękawicze szarą smugę.

— Louis był z natury pogodny i każdego traktował bardzo serdecznie, nawet obcych.

— Ale nie drugą panią Botubot? — wtrąciłem na znak, że słucham uważnie.

— Otóż to, proszę pana. Najbardziej kochał swoją siostrę. Oboje byli niezwykle muzycalni i nic nie sprawiało im większej radości, niż wspólne śpiewy i brzdąkanie na instrumentach od rana do wieczora. Louis wyróżniał się znakomitym słuchem, a z biegiem lat wykształcił także wspaniały głos. Często zwierzał mi się, że chciałby zrobić karierę jako muzyk. Jego ojciec miał jednak inne plany. Skąd my to znamy: Louis miał skończyć prawo i zostać współnikiem ojca. W żaden ludzki sposób nie mógł zmienić tej decyzji.

— I dlatego Botubot junior dał się wpakować do Princeton?

Teagarden wpatrywał się w punkt w oddali; punkt, który tylko on jeden widział.

— Louis był niezwykle atrakcyjnym młodzieńcem, tak pod względem fizycznym, jak i od strony wdzięku i pogody ducha. Kiedy wyjeżdżał na studia, odprowadziłem go do pociągu, a gdy mi pomachał z wagonu, czułem się tak dumny, jakby był moim własnym synem.

— Ale Princeton go zmieniło — rzekłem sucho. — A ściślej mówiąc, Victor Van Getz.

Szczęka starego lokaja zjechała na jego czerwono-złotą kamizelkę, potem na prążkowane spodnie, aż wreszcie opadła z łoskotem na podłogę. Teagarden podciągnął ją z wysiłkiem.

— Czy można spytać, skąd pan się dowiedział o związku pana Botubota z... — na ułamek sekundy zawiesił głos — Victorem Van Getzem? — Gdy padło nazwisko doktora, rysy lokaja stwardniały, a w jego płynną, potoczystą opowieść wkradło się napięcie. — Pytam wyłącznie z tego powodu, że obaj aż do przesady starali się utrzymać swoje stosunki w tajemnicy. Nawet w Princeton rzadko pokazywali się razem w towarzystwie innych studentów, a po dyplomie jak ognia unikali wszelkich prób wciągnięcia do licznych kótek towarzyskich, tak typowych dla absolwentów. — Przerwał na chwilę. — Chyba żaden z nich nie zdradził się z tą tajemnicą przed panem, człowiekiem zupełnie obcym?

— Nie wprost — odparłem. — Spędziłem godzinkę w bibliotece publicznej na wertowaniu starych roczników „Princeton Alumni Weekly”. — Zgasilem papierosa i od razu zapaliłem następnego. — Trafił pan w dziesiątkę mówiąc, że się nie afiszowali. Przerzuciłem trzysta numerów gazety, a tylko raz trafiłem na wzmiankę o Botubocie i Van Getzu, na kolumnie sportowej. Tytuł brzmiał: „Nieszczęśliwy wypadek kolegów z Clio Hall podczas turnieju szermierczego”. W kilku zdaniach pisano, jak to Victor Van Getz przebił szablą uszkodzoną maskę Louisa Botubota, omal nie wybijając mu oka. Zacytowano też stwierdzenie studenta drugiego roku Van Getza, który oświadczył, że w rezultacie wypadku nigdy już nie stanie na planszy.

Papieros lokaja wypalił się do końca. Pchnąłem lokomotywę po podłodze, a Teagarden starannie zdusił niedopałek obok mojego peta.

— Blizna na twarzy panicza to drobiazg w porównaniu ze spustoszeniami, jakich dokonało w jego charakterze zepsucie i wyuzdany erotyzm Van Getza — rzekł gorzko. — Oprócz mnie nikt nie dostrzegł zmian zachodzących w paniczu Louisie ani w trakcie studiów, ani później. Wydawało mi się, że on zdaje sobie sprawę, iż wiem o wszystkim, nigdy jednak o tym nie wspominał.

— A co nastąpiło po Princeton? — spytałem. — Ślub?

— Wkrótce po rozpoczęciu pracy w firmie ojca Louis ożenił się z wyjątkowo nieodpowiednią dziewczyną. Była jeszcze nastolatką, a już prowadziła zatrzważająco swobodny tryb życia. Widząc, że sprawy mają się coraz gorzej, na własną prośbę odszedłem ze służby u Gilberta Botubota i zostałem lokajem panicza Louisa.

Czerwone obrzeża kruchych oczu Teagardena zwilgotniały. Lokaj wyciągnął z górnej kieszeni wielką białą chustkę i wytarł nos.

— Związek mojego pana z Van Getzem trwał jeszcze długo po tym, jak obaj się ożenili, ale doszedłem w końcu do przekonania, że panicz Louis za wszelką cenę chce zerwać z doktorem, choćby po to, by ratować swoje małżeństwo. Jednak Victor miał zbyt silną osobowość, był zbyt władczy dla kogoś takiego jak Louis.

— Przepraszam, ale nie rozumiem, co to ma wspólnego ze mną i z moim klientem.

— Zaraz do tego dojdę, proszę pana. — Teagarden raz jeszcze dmuchnął w chustkę i schował ją z powrotem. — Van Getz dzwonił do panicza Louisa wyłącznie do domu, i to najwyżej raz w miesiącu. Zawsze rozmawiali krótko, zamieniali ledwie kilka słów, umawiając się na spotkania w prywatnym klubie niedaleko gmachu Fiska, gdzie mogli się czuć swobodnie. Z czasem Van Getz telefonował jednak coraz częściej, a tuż przed zabójstwem właściciela klubu, które wywołało taką wrzawę w prasie, potrafił wydzwaniać nawet dwa razy dziennie.

— Rozumiem, że ma pan na myśli Ike'a Wreema — wtrąciłem. — Szefa klubu „Dżungla”.

— Tak jest. — Teagarden znowu odchrząknął i zacisnął dłonie na kolanach. — Z chwilą, gdy panicz Louis przeczytał rano o morderstwie, zmienił się nie do poznania. Zaczął pić na umór, czego w przeciwieństwie do swej żony nie miał w zwyczaju. I choć zawsze rozmawialiśmy swobodnie na wszelkie tematy, bardziej jak przyjaciele niż jak pan i sługa, to od tej pory oprócz zwykłych formalności nie odzywał się do mnie ani słowem.

— Na bani ludzie stają się mało rozmowni. To fakt.

— Istotnie, proszę pana. — Teagarden nerwowo pomasażował kolana. — W tym momencie muszę się przyznać do czegoś, czego zapewne pan nie pochwali. Otóż w miarę służby u Louisa Botubota zacząłem podsłuchiwać w zasadzie wszystkie jego rozmowy telefoniczne. Muszę jednak wyjaśnić, że czyniłem to wyłącznie dlatego, że im więcej sługa wie o swoim panu, tym większy z niego pożytek. W dniu, kiedy panicz Louis wyjeżdżał na wakacje, tuż przed pańskim telefonem, podsłuchiwałem długą rozmowę Louisa z doktorem Van Getzem. Z tego, co wiem, panicz po raz pierwszy wykazał inicjatywę. W pijackim amoku zdradził doktorowi, że po południu odwiedził go niejaki Mike Dime, detektyw prywatny. Stwierdził, że jego zdaniem pan coś wywąchał, co zresztą niedługo się okaże. Powiedział też, że najwyższa pora zawiadomić policję, bez względu na konsekwencje dla niego czy dla firmy ojca. Upierał się, że pełne zeznanie to jedyne wyjście. Nastąpiła ożywiona dyskusja, aż wreszcie Van Getz ułagodził panicza, który przystał na schadzki i zgodził się omówić wszystko w cztery oczy. Wyjeżdżając z domu, panicz Louis wciąż jeszcze był pijany, a kiedy poprosiłem go o adres, na wypadek, gdybym musiał się z nim pilnie skontaktować, odesłał mnie do diabła. Wszystko to bardzo mnie przygnębiło.

Zza biurka dobiegło nagle głośne westchnienie, jak gdyby ktoś przebudził się z głębokiego snu. Wstałem i przeszedłem przez pokój, by móc zobaczyć całą Auriol Winterfield, a nie tylko jej nogi. Gdy znalazłem się w jej polu widzenia, spojrzała na mnie, ale nie mogła skupić wzroku. Przez kilka sekund wpatrywała się w przestrzeń, lecz wkrótce zamknęła oczy z powrotem, a głowa opadła jej na zimne, sztywniejące udo trupa. Pstryknąłem palcami i dwukrotnie zawołałem: — Auriol! — Bez odpowiedzi. Nic do niej nie docierało.

Wróciłem do krzesła.

— Wspomniał pan, że zadzwoniłem po wyjeździe Botubota. Co działo się potem?

— W związku z pańską prośbą miałem poważny dylemat. Nie znając miejsca pobytu



panicza Louisa, nie mogłem go ostrzec.

— Czy domyślał się pan, co zawierają akta?

Teagarden złożył chustkę w kwadrat i przetaił czoło.

— Nie, proszę pana. Wiedziałem tylko, że skoro zajmuje się pan tym po godzinach pracy, to sprawa jest poważna, a zatem nie mogę się zdać na sekretarkę panicza. Postanowiłem więc przejąć inicjatywę i sprawić, aby akta te nie dostały się w niepowołane ręce.

— A więc to pan omal nie rozwalił mi czaszki w gabinecie Botubota?

Teagarden uroczyście pokiwał głową.

— Właśnie tam się spotkaliśmy. Dysponuję kompletem kluczy zarówno od domu, jak i od biura. Z przykrością muszę stwierdzić, że przyjechał pan akurat w chwili, kiedy wychodziłem. Niezmiernie żałuję, ale nie miałem wyboru.

— Nie ma o czym mówić — mruknąłem. — To pestka w porównaniu z tym, co szykowali mi Van Getz i jego dystyngowana sekretarka.

Dopaliłem drugiego papierosa i zabrałem się za trzeciego z rzędu.

— Przeglądał pan może te akta?

— Przeczytałem je słowo w słowo. Jednakże dla moich niewprawnych oczu było to tylko proste streszczenie wspomnień pana Westerna z nocy, w której go aresztowano. Jedyne strona trzecia mogłaby wzbudzić podejrzenia, choć może to zbyt mocno powiedziane. Przepisano ją dwukrotnie, ale na duplikacie opuszczono ósmy akapit.

— Pamięta pan jego treść? To bardzo ważne.

Teagarden zamyślił się głęboko.

— Jeśli mnie pamięć nie myli, chodziło o to, że pan Western wypił przy barze szklanceczkę z panem Botubotem, zanim przysiadł się do gości na przyjęciu urodzinowym Belindy Van Getz. Ale jakie to może mieć znaczenie, jeśli wolno spytać?

— Nie wyglądałoby to najlepiej, gdyby się rozeszło, że Botubot popijał z Westernem w kontrolowanym przez mafię klubie jazzowym na godzinę przed zamordowaniem Ike'a Wreema. Wybitni adwokaci nie szlajają się z marnymi perkusistami, i to w melinach, w których królują taniec i narkotyki.

— W takim razie dlaczego nie wyrzucił tego zeznania?

— Przepisała je sekretarka Botubota. Innymi słowy, był świadek, że takie zeznanie zostało złożone. Nie mógł go więc zniszczyć, ale mógł się postarać, żeby odpowiedni akapit został usunięty na wypadek, gdyby sąd zażądał przedstawienia kopii. Gdyby zaś ktoś podważył treść dokumentu, co jest mało prawdopodobne, chyba że Western przypomniałby sobie, jak to było naprawdę, zawsze pozostawał jeszcze oryginał.

Teagarden zmarszczył brwi, przetrawiając w myślach moje słowa. Ja tymczasem także pogłótkowałem. Wciąż jeszcze istniało zbyt wiele nie wyjaśnionych kwestii, na przykład dlaczego Teagarden zabił Van Getza, kto zastrzelił Wreema i kto utopił Louisa Botubota. To tylko największe luki, bo przecież pozostawało mnóstwo drobniejszych niejasności. Spojrzałem na lokaja, który przyglądał mi się z ciekawością kartografa.

— Przepraszam, ale widzę po pańskiej twarzy, że moja opowieść wszystkiego nie wyjaśnia. — odezwał się. — Celowo jednak zatrzymałem na koniec coś, co powiąże elementy tej sprawy w spójną całość. Musiałem się upewnić, że informacje, które za chwilę przekażę, zachowa pan wyłącznie dla siebie. Proszę mnie zrozumieć, ujawnienie prawdy o stosunkach panicza z Van Getzem i jego roli w zabójstwie Wreema zrujnowałoby reputację ojca Louisa. A on i tak już dużo stracił.

— Jeżeli nie dowiem się od pana o wiele więcej, to amant mojej klientki skończy na krześle elektrycznym — warknąłem.

— Rozumiem. — Teagarden sięgnął do wewnętrznej kieszeni płaszcza i wyciągnął zmiętoszoną kopertę. — Otrzymałem ten list dziś rano — powiedział. — Zaraz po tym, jak policja przybyła zawiadomić panią Botubot o śmierci męża. Obawiam się, że niepotrzebnie

przejaskrawili swą relację.

Stary lokaj ujął list dwoma długimi palcami, niczym chirurg podający szczypcami jakiś kruchy organ.

— To od panicza — wyjaśnił, podając mi kopertę.

Otworzyłem ją, wyciągnąłem list i rzuciłem okiem na niestaranne pismo maszynowe. Do czytania było za ciemno, podszedłem więc do biurka i zapaliłem stalową lampę w kształcie rury, z wysokim, cylindrycznym szklanym kloszem. Podsunałem list pod światło.

### *Kochany Teagarden*

*Jak zwykle jestem na rauszu i niełatwo mi rozpocząć ten list. Nie mam pojęcia, co sobie pomyślisz, bo prawdę mówiąc, mój stary, ja sam nie wiem, co o tym myśleć. Sądząc z tego, jak śledziłeś każdy mój krok przez te wszystkie lata, przypuszczam, że wiesz już niemało, ale znajdziesz tu sporo nowych szczegółów.*

*Wszystko zaczęło się pod koniec wiosny. Victor zadzwonił do mnie i powiedział, że potrzebna mu moja pomoc. Szukał dwóch policjantów, którzy, jak to określił, znani są z naginania przepisów dla osobistych korzyści. Zwrócił się z tym do mnie, bo wiedział, że mam dobre układy z chłopakami w prokuraturze i w ratuszu i wiem, który z nich nie pogardzi stówką. Nie widziałem nic zdrożnego w znalezieniu dwóch sprzedajnych gliniarzy dla celów ściśle naukowych, więc po namyśle zgodziłem się mu pomóc. Uważałem, że Victor w związku ze swoją pracą zawsze miał dziwaczne pomysły, ale że nie przekracza granicy prawa.*

*Załatwiłem mu tajniaka o nazwisku Clooney i mundurowego Angelo Stipello. Jak wiesz, Victorowi niełatwo było dogodzić, teraz jednak wpadł w zachwyty, co z kolei radowało mnie. Mniej więcej po tygodniu zadzwonił z kolejną dziwną prośbą. Kazał mi odwiedzić klub „Dżungla” i nawiązać znajomość z perkusistą orkiestry Lucky Moonsa, niejakim Chuckiem Westernem. Chodziło o to, żeby w razie kłopotów Western zwrócił się do mnie. W pierwszej chwili myślałem, że Victor żartuje, on jednak był śmiertelnie poważny. Bez ogródek oświadczył, że jeśli odmówię, to z naszą przyjaźnią koniec. Z pewnością zdajesz sobie sprawę, iż tego jednego bym nie zniósł. Może to bezsensowne, ale przez całe moje życie tylko związek z Victorem Van Getzem dawał mi poczucie bezpieczeństwa. Bałem się już samej myśli, że mogłoby się to skończyć. Dlatego też, wbrew własnej woli, wkradłem się w zaufanie Westerna — skądinąd całkiem łatwo — i moje stosunki z Victorem układały się jak najlepiej.*

*Aż wreszcie rankiem w dniu urodzin swej żony Victor zaproponował mi spotkanie po pracy. Ciekaw, co tym razem ma w zanadrzu, spotkałem się z nim tam, gdzie zawsze. Wręczył mi fiolkę z dwiema tabletkami i powiedział, że jego żona zadurzyła się w Westernie i że aby się przed nim pokazać, wydaje w „Dżungli” przyjęcie urodzinowe. Znając Belinę, uwierzyłem bez trudu. Przez te wszystkie lata nie pamiętam tygodnia, kiedy nie robiła z siebie idiotki z powodu nowego kochanka. Victor wybierał się na przyjęcie, bo — jak to ujął — chciał się ubawić kosztem Westerna. W ramach dowcipu kazał mi wrzucić te tabletki do alkoholu perkusisty, ale tak, żeby goście nic nie zauważyli. Miałem z tym zaczekać, aż orkiestra zejdzie z podium. Pytałem Victora, co to za proszki, ale zapewnił mnie, że są całkiem nieszkodliwe i że to tylko zabawa. Powiedział, że Western robi się po nich senny i że kiedy Belinda zacznie go szukać, stwierdzi, że jest zbyt zaszpany, by móc skorzystać z jej propozycji. Nie wierzyłem mu ani przez chwilę, jednak nie mogłem udowodnić, że kłamie. Nie miałem zresztą dosyć odwagi — czy raczej siły woli — żeby odmówić, pomimo iż podejrzewałem, że pakuję się w głupią, a może nawet niebezpieczną historię. Na przekór sobie wykonałem polecenie Victora i opuściłem klub dygocąc ze strachu.*

*W drodze powrotnej wstąpiłem do mojego klubu, licząc, że spotkam tam Victora. Ale go nie zastałem. Wróciłem dopiero koło drugiej, a o piątej trzydziści wyrwał mnie z koszmarne-go snu telefon Chucka Westerna. Dzwonił z więzienia. Gdy mi powiedział, że aresztowano go pod zarzutem morderstwa, od razu pomyślałem, że „dowcip” Victora miał służyć za parawan*

dla jakiejś grubszej afery. A kiedy złożył mi w końcu zeznanie, przypominając, jak to popijaliśmy razem po ostatnim występie orkiestry, moje podejrzenia się potwierdziły. Wyobrażałem sobie, że Westerna wrobiono w zabójstwo Wreema i że razem z Clooneyem i Stipello wpakowałem się po uszy. Ale to nie koniec. Gdy znów porozumiałem się z Victorem, nalegał, żebym za darmo podjął się obrony Westerna, po czym nie robił nic w tym kierunku. Plan Victora przewidywał, żeby ciągle zwracać się o odroczenie obrony, i w ten sposób przetrzymać Westerna w więzieniu, dopóki się da. A kiedy już zmuszą nas do wystąpienia w sądzie, miałem pozwolić prokuratorowi okręgowemu, żeby się po mnie przejechał. Victorowi chodziło o to, żeby Western został skazany na krzesło elektryczne.

Z miejsca odpartem, że chyba postradał zmysły. Ale on się tylko roześmiał i powiedział, że mam robić, co każe. Oczywiście protestowałem. Mógłbym wymienić tysiąc i jeden powodów, dla których tak nieetyczna postawa adwokata o mojej pozycji równałaby się samobójstwu, nie mówiąc już o moralnym aspekcie świadomego skazania Chucka Westerna na śmierć. Pomimo wszelkich protestów wiedziałem jednak, że w końcu Victor dopnie swego, jak zawsze. Odkąd dorosłem, był on dla mnie jedynym źródłem prawdziwego uczucia — a ściślej, jedynym człowiekiem okazującym mi miłość w taki sposób, który potrafiłem odwzajemnić. Wywierał wpływ na wszystko, co robiłem czy mówiłem, aż wreszcie podświadomie pozwoliłem mu przejąć całkowitą kontrolę nad sobą.

Zdaję sobie sprawę, że całkiem niepotrzebnie wyjaśniam kwestię moich uczuć do Victora — i tak sam o tym wiesz. Czy jednak potrafisz to zrozumieć? Chyba nie. Ludzie przeważnie nie akceptują miłości pomiędzy mężczyznami, a cóż dopiero sytuacji, gdy miłość ta przekształca jednego z nich w potwora, drugiego zaś w bezmyślnego niewolnika? Chryste Panie, Teagarden, czy naprawdę musimy sobie tak zatruwać życie? Czy to aż takie proste?

Nie muszę ci przypominać, co działo się potem. Od czasu aresztowania Westerna zapijałem się, aż w końcu moja niezborność zawodowa coraz mniej mnie obchodziła. W tych rzadkich momentach, kiedy byłem dość trzeźwy, by zdawać sobie sprawę z tego, co robię, Victor okazywał mi więcej uwagi niż zwykle i przekonywał, że dopóki trzymam język za zębami, nic nam nie grozi. A kiedy nie miałem go pod ręką, szukałem pociechy w butelce. Zdaje się, że butelka to jedyne, co łączy mnie z żoną. Smutne, nie sądzisz? Bardzo, bardzo smutne.

Przez pewien czas życie toczyło się spokojnie i muszę przyznać, że myśl, iż ktoś odkryje prawdę, wydawała mi się coraz bardziej odległa. Nagle ni stąd, ni zowąd odwiedził mnie detektyw prywatny. Okazało się, że Western ma dziewczynę, która wynajęła tajniaka — nazwiskiem Dime — żeby wyniuchał, dlaczego nic nie zrobiłem w sprawie jej chłopaka. Dime najwyraźniej nie miał punktu zaczepienia i zadał mi tylko kilka oczywistych pytań. Ale wyglądał mi na takiego, który może narobić kłopotów. Gdy wyszedł, zadzwoniłem na policję, żeby go sprawdzić. To, czego się dowiedziałem, nie wróżyło nic dobrego ani mnie, ani Victorowi. Dime był swego czasu policjantem, w dodatku uczciwym, a lista jego zasług wojennych jest imponująca. Teagarden, stary przyjacielu, wierz mi, że następne kilka godzin należało do najgorszych w moim życiu. Nie miałem pojęcia, dlaczego Victor tak przemyślnie zaplanował śmierć Westerna. Wiedziałem tylko, że nie ma to nic wspólnego z zazdrością. Nie chciałem zresztą znać powodów, wychodząc z założenia, że znając całą prawdę jeszcze bardziej bym się pogryżył. Oszukiwałem jednak sam siebie — miałem już na sumieniu współudział w jednym morderstwie, a wkrótce miałem się przyczynić do drugiego. Wieczorem zadzwoniłem do Victora i powiedziałem, że rezygnuję, że zamierzam wszystko ujawnić, nie bacząc na konsekwencje. Oczywiście, wściekł się. Zagroził, że mnie zabije, jeśli pisnę choć słówko. Byłem zbyt pijany, żeby się sprzeczać, on zaś po chwili ochłonął i zaproponował obgadanie tego w cztery oczy. Zgodziłem się, skoro i tak w drodze do Atlantic City musiałem przejechać przez Filadelfię. Victor znów wszystko załagodził, przypominając mi wspólnie spędzone lata, a zwłaszcza Princeton. Wkrótce zapomniałem o pogroźkach, a gdy mi powiedział, że odwiedzi mnie znów za kilka dni, nie posiadałem się z radości. Dałem mu swój adres w Atlantic City i wyje-

chałem z miasta o wiele spokojniejszy. W głębi duszy obawiałem się chyba jednak najgorszego — i, tak jak poprzednio, moje obawy wkrótce się potwierdziły.

Po południu Victor zadzwonił do mnie z wiadomością, że detektyw, który mnie odwiedził, pojawił się w jego klinice. Uważał, że miałem rację twierdząc, iż stanowi on dla nas zagrożenie. Asystentka Victora zasięgnęła języka w ratuszu i okazało się, że mamy na głowie prawdziwego zawodowca.

I wtedy Victor wysunął najbardziej szalone żądanie. Jak gdyby nigdy nic powiedział, że-  
bym wykorzystał swe znajomości w świecie przestępczym i znalazł kogoś, kto, jak się wyraził, załatwi Dime'a. Na samą myśl, że miałbym się wpakować w kolejne morderstwo, omal nie zemdląłem ze strachu. Nie chciałem dłużej brać udziału w jego poczynaniach, co zresztą jasno dałem mu do zrozumienia. On jednak, zamiast się wściec, oświadczył zimno, że jeżeli nie pozbędę się Dime'a, to on sam się tym zajmie. Obiecał też, że gdy tylko skończy wizyty u pacjentów, wpadnie do Atlantic City i przywróci mi rozum. Po raz pierwszy w trakcie naszej znajomości odłożyłem słuchawkę modląc się, żeby nie przyjechał.

To wszystko, staruszkule. Nie wiem, dlaczego ci o tym piszę, pewnie dlatego, że zrzucenie ciężaru z serca zawsze przynosi ulgę. Victor będzie tu za godzinę. Mam w związku z tym dziwne przeczucie, jak gdyby strach, którym żyłem przez ostatnich kilka miesięcy, stracił na sile niczym jesiennie słońce. Po raz pierwszy od początku tej parszywej historii przepętnia mnie błogi spokój. Jasne, wiem, że przyczyniła się do tego butelka, ale to, co teraz czuję, nie da się porównać ze spokojem, jaki odczuwałem w przeszłości. Nie potrafię tego wyjaśnić, mam wrażenie, jak gdybym unosił się na fali.

Dzięki, że przez te wszystkie lata byłeś takim wspaniałym kumplem. Wbiłem ci zadrę w serce, Louis.

Podpis na dole ostatniej kartki skreślono piórem.

Ostrożnie schowałem list do koperty i spojrzałem na Teagardena, który palcem wskazującym ocierał kąciaki oczu.

— Victor Van Getz, ten zbrodniczy sadysta, utopił mojego panicza — rzekł stary lokaj, wymawiając każde słowo niczym ksiądz intonujący modlitwę. — Uznałem za swój obowiązek pomścić jego śmierć. Louis Botubot był słabym człowiekiem, którego znajomość z Van Getzem pchnęła na drogę przestępstwa. Nie uwolnię się od tej świadomości do końca życia. Ale zachowam panicza Louisa w pamięci tylko jako dziecko, jako chłopczyka, który tak lubił śpiewać. Kiedyś, gdy jeszcze był bardzo mały, dałem mu w prezencie urodzinowym płytę Caruso, jedną z pierwszych płyt na świecie. Słyszając, jak panicz Louis próbuje udawać wielkiego tenora, skręcałem się ze śmiechu...

Teagarden zawiesił głos. Nie chciałem wrywać go z marzeń, pozostawały jednak dwie kwestie, których list Botubota nie wyjaśniał.

— Kto zabił Wreema? — spytałem cicho. — I dlaczego Western koniecznie musiał skończyć za to na krześle elektrycznym?

Teagarden podniósł na mnie wzrok. Nagle zeszytniał jak dłużnik, który niespodziewanie wpadł na wierzyciela. Otworzył usta, ale kto inny odpowiedział na moje pytanie.

## 28.

— To ja zabiłam Wreema, panie Dime — odezwała się Auriol Winterfield wysokim, napiętym głosem. Brzmiało to, jak gdyby ktoś próbował przekroić struny skrzypiec nożem

rzeźnickim. Stała obok zwłok doktora Van Getza; lampa na biurku oświetlała egzotyczną złotą bransoletkę, perły i dwa cale metalu wystającego z jej zaciśniętej pięści. — Za kilka minut znowu zabiję.

— Ma pani kogoś konkretnego na myśli? — spytałem.

Trzymała broń pewnie, celując w rozcięcie na kamizelce lokaja, gdzie zapewne nosił zegarek kieszonkowy.

— Nas wszystkich — odparła beznamiętnie.

— To nie takie proste — warknąłem. — Ten gnata, który pani trzyma, kopie jak wierzgająca świnia.

Auriol Winterfield roześmiała się.

— Mówiłam panu, panie Dime, że pochodzę z Vermont. To stan myśliwych. Wychowałam się w otoczeniu broni palnej i mężczyzn, którzy jej używali. W porównaniu z tym, z czego strzelałam, policyjna trzydziestka ósemka to wręcz zabawka.

Przełknąłem ślinę i zerknąłem na lokaja, który siedział z opuszczoną na piersi głową. Cała jego godność przepadła bez śladu. Ale się nie bał. Nieporuszony jak rzecz, której kula z rewolweru nie jest w stanie zmienić. Stóg siana przed stodołą ma w sobie więcej życia, niż miał wówczas Teagarden. I stóg o wiele bardziej by mi pomógł.

Znowu spojrzałem na Auriol Winterfield.

— Zanim zacznie się pani bawić w Sokole Oko, może by pani uszczęśliwiła tajniaka przed śmiercią i wyjaśniła, dlaczego trzeba było zabić Wreema, zrobić Chucka w morderstwo i nakłonić Botubota, żeby go wystawił do wiatru?

— Należy się panu ten przywilej — odparła przechodząc sztywno na środek pokoju, tak że ona, Teagarden i ja tworzyliśmy wierzchołki trójkąta. Stała nieco bliżej mnie niż starego lokaja; wylot lufy dzieliły od mojego nosa jakieś dwa metry. — Człowiek, którego pan Teagarden tak bezmyślnie pozbawił życia, poświęcił się wielce oryginalnej i błyskotliwej teorii, która udowodniłaby, że dopiero po pełnym przeżyciu dzieciństwa albo, jak to ujął doktor Van Getz, uwolnieniu umysłu dziecka, możemy w pełni osiągnąć dojrzałość — oświadczyła zwrócona do mnie półbokiem.

— Doktor mówił mi o tym w altanie przy herbatce z cytryną — rzekłem. — Ale wyleciało mi to z głowy.

Rzuciła okiem na zwłoki pracodawcy, którego skóra — jak zwykle w takich wypadkach — przybrała fakturę zamrożonego łoju. Nie widziałem w dziewczynie ani śladu przejścia nową sytuacją, w jakiej się znalazła.

— Teorie abstrakcyjne zazwyczaj trudno jest pojąć — oświadczyła. — Zwłaszcza komuś nie przyzwyczajonemu do myślenia.

— Ale my nie mówimy o abstrakcji, pani Winterfield. Mówimy o Wreemie i Westernie.

Srebrzysty blask jej ręki, w której trzymała broń, szpeciła zaschnięta plama krwi. Nie spuszczać mnie z oka, Auriol Winterfield strzepnęła ją koniuszkami palców, zupełnie jak gdyby odganiała muchę.

— Doświadczenie, w które pan wtrącił swoje trzy grosze, stanowiło szczytowe osiągnięcie pracy doktora — podjęła. — Wreem i Western byli tylko drobnymi częściami tego eksperymentu, częściami, które należało poświęcić.

— A Belinda Van Getz? Ona również?

Auriol Winterfield wstrzymała dech.

— Co pan wie na jej temat? — spytała mrużąc oczy.

— Niewiele — odparłem obojętnie. — Sypia ze swoim misiem, od czasu do czasu wstrzykuje się jej Menzadil i jest specjalistką w dziedzinie skazywania przestępców na krzesło elektryczne. Zapomniałem o czymś?

— Nie doceniałam pana, panie Dime — stwierdziła. — Ma pan zupełną słuszność, Belindę też trzeba było poświęcić. Tyle że ona odgrywała w tym doświadczeniu zgoła inną

rolę. Była obiektem doświadczalnym.

Zapadła krótka cisza — to sekretarka Van Getza dawała mi czas na przyswojenie tej informacji.

— Belinda Van Getz nadawała się do tego idealnie — mówiła dalej Auriol Winterfield. — Jako jedynaczka, w dodatku córka obłądnie bogatego finansisty Franklina Brookhausera, była rozpieszczona do granic absurdu. Pod względem emocjonalnym reprezentowała umysłowość wesołego dziesięciolatka. Oznaczało to, że próbując dotrzeć do jej dziecięcej natury, połowę zadania mieliśmy z głowy.

Przez cały czas niepostrzeżenie przesuwalem się na piętach w kierunku rewolweru. Zabrakło mi zaledwie metra.

— Dość tego! — ostrzegła mnie blondynka, wprawnym ruchem kciuka odwodząc kurek. — Nie robi mi żadnej różnicy czy zabiję pana już teraz, czy za chwilę.

Zamarłem w bezruchu. Nawet paznokcie u stóp przestały mi rosnać, gdy usłyszałem trzask kurka.

— Mówiła pani o Belindzie Van Getz — rzekłem pospiesznie, oblizując wargi. — Skoro tak wam pasowała, to po co wciągnęliście w to Wreema i Westerna. Coś mi tu nie gra.

Po chwili zastanowienia delikatnie opuściła kurek.

— Badania wykazały, że najpoważniejszą przeszkodą w całkowitym ujawnieniu umysłowości dziecka jest wszechobecny strach przed karą — podjęła. — Obawa ta cechowała większość pacjentów doktora Van Getza, niestety jednak nie występowała u Belindy. Z czasem okazało się oczywiste, że ów nieuleczalny brak strachu przed karą jest jej największym mankamentem jako obiektu doświadczalnego. Doktor Van Getz próbował stosować zarówno narkotyki jak i hipnozę, ale bez powodzenia. Faktem jest, że jako dziecko Belinda nigdy nie została ukarana. Ponieważ nie mogliśmy z niej zrezygnować, doktor Van Getz w natchnieniu wpadł na pomysł, by za pomocą narkotyków i hipnozy zredukować jej umysł do takiego stanu, w którym na nowo zacznie przeżywać okres dziecięcy, i wówczas zastosować jakąś drastyczną karę. To prawdziwie genialny pomysł, panie Dime. Starannie rozważywszy wszystkie za i przeciw, doktor Van Getz uznał, że najlepszą karą będzie pozbawienie Belindy czegoś, co jest jej drogie.

— Innymi słowy, dać dziecku zabawkę, a potem odebrać?

— Owszem, trywializując problem, ma pan rację.

— I Western miał spełniać rolę zabawki?

Auriol Winterfield przytaknęła.

— Powszechną oznaką niedojrzałości emocjonalnej jest promiskuityzm, czego Belinda była klasycznym przykładem. Miała niezliczonych kochanków, o których w ramach obowiązków musiałam zasięgać języka w nadziei, że prędzej czy później znajdziemy kogoś odpowiedniego do — jak pan to ujął — roli zabawki. Western okazał się idealny. Nie miał rodziny ani przyjaciół, nikogo, kto mógłby się zainteresować jego aresztowaniem i ewentualnym wyrokiem.

— Miał jednak Nancy Canady — wtrąciłem. — A ona wynajęła mnie.

Auriol Winterfield uśmiechnęła się, zaciskając palec na spuście. Jej oczy zaszklily się jak przed atakiem padaczki. Ja jednak wciąż mówiłem, tylko w tym upatrywałem cię szansy.

— Belinda się zadurzyła — ciągnąłem, choć słowa z trudem przechodziły mi przez usta — a wtedy doktor Van Getz mógł już spokojnie uraczyć ją narkotykami i hipnozą, aż Western stał się najważniejszą osobą w jej życiu. Tym samym Western wpadł jak śliwka w kompot. Korzystając z jego broni, zabiła pani Wreema, Stipello dokonał aresztowania, Clooney zaś postarał się o podkładkę. Botubot miał dopilnować, żeby Western nie wyszedł z kicia. Im dłużej bowiem siedział za kratkami, tym bardziej Belinda cierpiała. Jeśli dobrze rozumiem, szczytowym momentem jej kary miała być egzekucja perkusisty.

Auriol Winterfield naprężyła rękę, unosząc broń na wysokość ramienia.

— Niech pan sam powie, czy to nie mistrzowski plan? — rzekła triumfalnie.

Według mnie, nigdy w życiu nie słyszałem równie obłąkanej historii, ale nie było mi dane tego powiedzieć. Przeszkodził mi Teagarden.

— To dzieło zdeprawowanego maniaka — oświadczył głośno zwracając się do mnie. Wstał. — Człowieka, którego należało usunąć z tego świata.

Prowokacyjnie ruszył długimi krokami w kierunku uzbrojonej kobiety. Przerastał mnie i panią Winterfield najwyżej o dziesięć centymetrów, ale zdawało się, że nad nami góruje. Gdy zbliżył się do rewolweru na trzydzieści centymetrów i otworzył usta, by znów się odezwać, padł strzał. Kula trafiła starego lokaja w pierś, tuż pod lewym obojczykiem. Okręcił się, przyciskając dłoń w białej rękawiczce do rany, lecz ku mojemu zdumieniu nie upadł. Nawet nie krzyknął, jedynie ze świstem wciągnął powietrze i szedł dalej.

Bez namysłu z rozpędu wyrzuciłem Auriol Winterfield w szczękę. Trafiłem ją ciut za lekko i niezbyt celnie i choć wystarczyło to, by zwalić ją z nóg, to jednak nie uratowało Teagardena. Inna sprawa, że nie wiem, czy ratunek znajdował się na jego liście potrzeb. W ułamku sekundy, kiedy szybowałem w powietrzu, kobieta wystrzeliła po raz drugi. Lokaj z krzykiem runął na wznak, tłukąc dziecinne zabawki na stoliku.

Upadłem na podłogę razem z Auriol Winterfield i spod niej obserwowałem agonię Teagardena. Żadnych konwulsji czy gardłowego bełkotu. Śmierć nastąpiła natychmiast. Kobieta leżała bez ruchu, widocznie mój cios był silniejszy, niż myślałem. Odepchnąłem ją, wstałem i widząc, że lokajowi w niczym już nie pomogę, przyjrzałem się blondynce. Leżała na plecach, z przekreconymi na bok nogami, parszając jak ktoś, kto z zajętej zatokami próbuje oddychać przez nos. Schyliłem się, by z bliska obejrzeć miejsce, w które ją trafiłem. Strumyczek krwi wskazywał, że chyba złamałem jej nos. Nawet lekkie uderzenie pozbawiłoby ją przytomności na dobre pięć minut, a mój cios wyłączył ją z obiegu na dużo dłużej.

Orzepałem się, podszedłem do biurka Van Getza i sięgnąłem po telefon. Wybrałem numer ratusza i poprosiłem do aparatu Sama Bananiera, kapitana wydziału śledczego.

## 29.

Było już późno, kiedy pod klinikę zajechały dwie suki, a w nich koroner z asystentem, fotograf z pomagierem od światła, lekarz, pielęgniarka, ze dwie setki mundurowych i Sam Bananier. Wcisnęli się jakoś do gabinetu, gdzie zrobili zdjęcia, zaznaczyli kredą położenie zwłok i dali Auriol Winterfield coś na uspokojenie, gdy odzyskawszy przytomność dostała hysterii.

Najpierw odwieźli Belinę Van Getz na oddział psychiatryczny szpitala uniwersyteckiego, potem panią Winterfield do aresztu w ratuszu, a w końcu zabrali mnie.

W jasno oświetlonym, hałaśliwym gabinecie Sama Bananiera, gdzie stojące wentylatory kroili zatechłe powietrze, usiedliśmy po przeciwnych stronach starego mahoniowego biurka, zarzuconego stertami papierzysk. Krok po kroku zrelacjonowałem całą historię. Powtórzyłem to jeszcze z dziesięć razy, zanim Bananier uznał, że pamięta każdy szczegół. Powiedział jednak, że list Botubota, choć niewątpliwie pomocny, nie uratuje Westerna, jeżeli Auriol Winterfield nie złoży zeznania. Z treści listu wynikało wprawdzie, że Botubot uspił perkusistę oraz że Clooney i Stipello współdziałali w popełnieniu morderstwa, nigdzie jednak nie wymieniono z nazwiska zabójcy Wreema.

Podczas gdy przepisywano moje zeznanie, które po przeczytaniu podpisałem, Bananier wyszedł, by zrobić fotokopię listu. Po powrocie zadzwonił do Clooneya i Stipella, mówiąc, że

chce ich widzieć u siebie za dziesięć minut, choćby w samych piżamach.

Wchodząc do gabinetu prezentowali się nieszczególnie, lecz zegnając się godzinę później, wyglądali o wiele gorzej. Wiedziałem jednak, że ich kiepskie samopoczucie wkrótce minie. Nie bez kozery władze miejskie w Filadelfii i ratusz nazywano siedliskiem korupcji.

O wpół do piątej na biurku Bananiera zadzwonił telefon. Ten, kto zajmował się Auriol Winterfield, zawiadamiał, że doszła już do siebie i że jeśli ktoś chce z nią pogadać, to teraz jest najlepsza pora. Kapitan natychmiast wyszedł z biura, a dwie godziny później wrócił z wyczerpującym, podpisanym zeznaniem.

Na to tylko czekałem. Wziąłem kapelusz, obiecałem nie ruszać się z miasta na wypadek, gdybym był potrzebny jako świadek dowodowy, i powiedziałem światu przestępczemu dobranoc.

Wróciłem do siebie kompletnie wypompowany i ledwie żywy. Musiałem jednak załatwić jeszcze jeden telefon, zanim zmorzy mnie sen.

Sądząc po głosie, nocny recepcjonista hotelu „Dragona” był rześki i wypoczęty, choć dochodziła już siódma. Uprzejmie spytał mnie o nazwisko, kazał mi chwilkę poczekać, a wreszcie połączył mnie z apartamentem.

— Halo? — Nancy Canady ziewnęła głośno.

— Obudziłem panią?

— Gdzie tam, zawsze wstaję parę godzin przed wyjściem do pracy — odparła cicho. — Lubię mieć czas na przepierkę, przyszyć koronek do sukienki i trwać ondulację.

— Nareszcie coś w moim stylu — pochwaliłem ją.

— Rzeczywiście, brzmi to staroświecko.

Zapadła cisza.

— Nie wycofałam się ze strachu o siebie — dodała spokojnie.

— Wiem.

— Chodziło o to, czym ci groził.

— Wiem. Ale teraz to już nieważne. Możesz wracać do domu. Clooney nie będzie cię więcej niepokoił. Ani on, ani nikt inny. Sprawa zamknięta, Nancy. Chuck jest wolny.

— To cudownie — odparła. — Cudownie. — Ale w jej głosie nie doszukałem się przesadnej radości. Złożyłem to na karb szoku. A zresztą pewnie się jeszcze na dobre nie obudziła. — Kiedy go zobaczę? — dorzuciła po chwili.

— Chyba jutro. Prawdopodobnie po południu. Załatwię mu zwolnienie warunkowe, albo licho wie co, ale to musi potrwać.

— Opowiesz mi o tym?

— Jestem wykończony. Muszę się przespać ze dwie godzinki. — Spojrzałem na zegarek. — Spotkajmy się o jedenastej, wyjaśnię ci wszystko przy kielichu.

— Nie wytrzymam do tej pory — dobiegł mnie po drucie jej dźwięczny głos. — Opowiedz mi zaraz!

Przełożyłem więc kielicha na inną okazję i streściłem jej całą historię, pomijając tylko romans Chucka z Belindą Van Getz. Gdy skończyłem opowiadać po raz drugi, Nancy obiecała:

— Zadzwoń do ciebie, gdy tylko życie wróci do normy.

— Nic takiego nie istnieje.

— A owszem, istnieje. Odezwę się jeśli nie w tym tygodniu, to na początku przyszłego. Przyrzekam.

Ostatnie słowo podkreśliła z naciskiem, jak gdyby mogła tym nadrobić niepewność przebijającą z jej głosu.

— Zaczynam odliczać minuty — odparłem i odłożyłem słuchawkę.

I tak się rozstaliśmy.



Przewidywałem, że Nancy się nie odezwie. Przez kilka tygodni po zwolnieniu Chucka Westerna rzadko zaglądałem do biura, głównie dlatego, że prokurator okręgowy na okrągło wałkował akt oskarżenia, domagając się dodatkowych materiałów, jak gdyby nie wystarczało moje zeznanie o wypadkach w gabinecie Van Getza. Auriol Winterfield przyznała się wprawdzie do zabójstwa Wreema i Teagardena, lecz zapowiadał się długi i jałowy proces, gdyż adwokat wystąpił o uniewinnienie z powodu niepoczytalności. Tak więc albo przesiadywałem na sali sądowej, albo uganiałem się w związku z kolejnymi rozwodami. Życie w smutnym świecie mężczyzn i kobiet, którzy po prostu przestali się kochać, biegło swoim trybem, z dala od świata, w którym starzy lokaje i piękna blondynka mordują i trafiają na czołówki gazet.

Minał miesiąc, a Nancy nie dała znaku życia. Zadzwoiłem do niej kilkakrotnie, lecz nikt nie odebrał. Wreszcie na początku jesieni, wracając od klienta z Lansdowne, postanowiłem zboczyć z drogi i do niej zajrzeć.

Drzwi do jej mieszkania zastałem otwarte na oścież; w pokojach zalegał kurz i cisza. Wszedłem bez pukania i rozejrzałem się. Większość mebli upchano w rogu salonu, a zwinięty i złożony w pół dywan zagraadzał wstęp do sypialni. Już miałem zapalić papierosa, gdy z tyłu dobiegł mnie czyjś głos:

— Czym mogę panu służyć?

Odrzuciłem się do starego, zasuszonego dozorca. Miał sztuczną szczękę i zęza. Ubrany w niebieski kombinezon, trzymał w ręku puszkę farby i pędzel.

— Mieszkała tu młoda dziewczyna — rzekłem chowając papierosa. — Nancy Canady.

— Wyjechała. — Szorując nogami, podszedł do otwartego okna. — Jakiś miesiąc temu. Ona i ten jej chłopak od bębnow. Tyle że on się wyniósł wcześniej.

— Wyjechała sama?

— Nie. Z takim dużym, przystojnym gościem pod pięćdziesiątkę — odparł dozorca, ochlapując futrynę farbą w kolorze żółtego sera. — Nosił garnitur za dwie setki, a jeździł jednym z tych nowych kabrioletów Packarda.

Stojąc przy kominku, patrzyłem na ramę obrazu, ozdobionego niegdyś zdjęciami Nancy i Chucka. Zniknęły wszystkie z wyjątkiem jednego. Leżało odwrócone na podłodze, obok stosu powiązanych struną numerów „Vogue”.

Podniosłem je i otrzepałem z kurzu. Fotografia przedstawiała Nancy ze spanielem.

— Czy zostawiła adres? — spytałem chowając zdjęcie do kieszeni.

Dozorca zastanowił się.

— Jak się nazywa ta wytworna szkoła dla panienek z dobrych domów w Springfield, Massachusetts?

— Smith College?

Skinął głową, nie odrywając wzroku od mokrej farby.

— Mówiła, że się tam wybiera.

Po drodze z zachodniej Filadelfii do centrum jest sto pięćdziesiąt barów. Wstąpiłem do każdego. Kiedy płaciłem dolara za wstęp do klubu „Dżungla”, byłem już tak zalany, że mógłbym w rytmie jitterburga składać przysięgę małżeńską. Zamówiłem podwójną szklanicę, puściłem oko do barmana i jego niewyraźnego bliźniaka i zapytałem, co ja tam właściwie robię.

— Nie radzę rozrabiać, pętaku — odparł wycierając szklanke.

— Ani mi się śni. Chcę się tylko dowiedzieć, co się stało z perkusistą orkiestry Moonsa. Nazywał się Western.

Na parkiecie dwaj czarni tancerze w jaskrawożółtych hecnych garniturach i krawatach przetykanych złotą nitką idealnie zgrani zwijali się w coraz szybszym rytmie. Akompaniowało im trio, w którym nie zauważyłem Chucka Westerna ani Lucky Moonsa.

Barman schował szklankę pod ladę.

— Orkiestra Moonsa się rozpadła — rzekł posepnie. — Kobitka go rzuciła, bo podpisała kontrakt z dużą wytwórnią z Nowego Jorku, a Lucky rzucił orkiestrę i sam wyjechał na tournée po Europie.

— A Western?

Barman wzruszył ramionami.

— Perkusiści przychodzą i odchodzą. Ale jak chcesz znaleźć takiego faceta jak Western, to patrz, gdzie panienki ustawiają się w kolejce.

Przełknąłem świństwo, które serwowali tam jako szkocką whisky, i zamówiłem dziesięć następnych. Zamiast nich podesłali mi jednak goryla o stalowych łapskach, który oświadczył, że mam już dość, i wyprowadził mnie na ulicę.

Długo trzymałem zdjęcie Nancy Canady i jej psa, oparte o coraz dłuższy rząd pustych butelek po whisky na biurku. Nawet się przywiązałem do szczeniaka.

Wreszcie pewnego dnia znalazłem na wycieracze list nadany w Connecticut, tak związły, jak to tylko możliwe. Pod nagłówkiem Towarzystwa Jachtowego Canady przeczytałem:

*Szanowny Panie Dime,*

*Dowiedziałem się od córki, że jest panu winna sto dolarów za usługi świadczone podczas jej wakacji w Filadelfii. Czek w załączeniu.*

*Podpisano: Jack B. Canady, prezes.*

Przesunąłem czek między palcami, myśląc o tym, co można kupić za sto dolarów. Ale nic nie potrzebowałem, nie aż tak. Zupełnie nic. Z kieszeni marynarki wyjąłem zapalniczkę, włożyłem czek do popielniczki i przypaliłem róg. W milczeniu patrzyłem, jak papier marszczy się, płonie i zamienia w popiół. Potem wrzuciłem fotografię Nancy Canady i jej psa do kosza na śmieci.

Patrząc na takie zdjęcie facet mojego pokroju prędzej czy później zgłupieje do cna.

KONIEC